

# Bonnie Winter

## Masterton Graham



calibre 0.9.43

Masterton Graham

Bonnie Winter

Pochodziła ze świata, w którym to,

co najlepsze, cierpi najgorszy los.

Była jak róża i żyła tyle co one

-jeden poranek.

Francois de Malherbe

Dzienne potrzeby

Bonnie zebrała dodatkowe spreje, których potrzebowała do dzisiejszej roboty:

płyn Fantastik do czyszczenia różnych powierzchni

Resolve, środek do usuwania plam z dywanów

szampon Woolite do tapicerki

płyn Windex do mycia szyb

lizol

neutralizator zapachów Glade (bezzapachowy).

Dom Glassów

Zajechała pod dom Glassów o 11.42. Spóźniła się ponad dwadzieścia minut z powodu tłoku na

Santa Monica Freeway. Zaparkowała swojego wielkiego dodge'a na ulicy i wyskoczyła z

szoferki.

Inspektor z firmy ubezpieczeniowej czekał na nią w samochodzie z włączonym silnikiem,

próbując chłodzić się powietrzem z klimatyzacji. Kiedy zobaczył Bonnie, wysiadł i założył

okulary przeciwsłoneczne. Był młody i bardzo szczupły, z krótkich rękawów białej koszuli

wystawały ramiona blade jak skóra kurczaka.

Pani Winter? Jestem Dwight Frears z Western Domestic Insurance.

Miło mi pana poznać — odparła Bonnie. — Przepraszam, że kazałam panu czekać.

Cóż, proszę pani, czekanie... — uśmiechnął się — należy do mojego zawodu.

Poranek był upalny, temperatura dochodziła do czterdziestu stopni Celsjusza. Niebo było brązowe od smogu. Bonnie przeszła przez szczeciniasty, niekoszony trawnik przed domem Glassów, stanęła opierając dłonie na biodrach i zaczęła przyglądać się budynkowi. Dwight Frears podszedł bliżej i stanął obok niej, nerwowo trzaskając długopisem.

Szeryf Kellett mówił, że to się stało dwa tygodnie temu — powiedziała Bonnie.

Zgadza się, proszę pani. — Dwight Frears spojrział na deseczkę z klipsem, którą trzymał w ręku. — Dokładnie ósmego lipca.

Bonnie osłoniła oczy dłonią. Dom Glassów niczym się nie różnił od setek takich samych domów w San Bernardino. Miał pokryty gontem dach, werandę w hiszpańskim stylu i garaż z tablicą do koszykówki, zamocowaną na zgiętym pręcie. Jedyna różnica polegała na tym, że był bardzo zaniedbany — klimatyzacja dawno wysiadła, siatka w drzwiach była porwana, a jasnozielone stiukowe zdobienia zaczynały się kruszyć i odpadać.

Podeszła do frontowego okna i spróbowała zajrzeć do środka przez listewki brudnozielonej żaluzji, ale udało jej się zobaczyć jedynie zapadniętą, wyłożoną białym winylem kanapę i własne odbicie: zobaczyła trzydziestoczwolatkę o pełnych kształtach i jasnoblond włosach, ubraną w czarny T-shirt z EWisem i białe dżinsy z gumą w pasie.

Dwight ponownie zajrzał do swoich notatek.

—

Biuro koronera twierdzi, że dzieciaki znaleziono w sypialni od tyłu. Jedno leżało na łóżku, drugie znaleziono skulone w kącie.

Bonnie obeszła dom. Po drodze schyliła głowę i przeszła pod prowizorycznie zamocowanym sznurem do suszenia bielizny. Za budynkiem znajdowało się małe podwórko z huśtawką i

karuzelą dla dzieci, dwoma leżakami i grillem, pokrytym grubą warstwą spalonego tłuszczu.

Tuż obok leżał przewrócony na bok trójkołowy rowerek.

Można było stąd zajrzeć do kuchni. Gdyby nie chmary much, które obsiadły każdy kawałek przestrzeni, wyglądałaby jak każda inna kuchnia. Okno sypialni było pokryte od wewnątrz czymś, co wyglądało jak migotliwa zasłona. Dwight zamierzał coś na jej temat powiedzieć, po chwili zrozumiał jednak, co widzi, i odwrócił się od okna.

Bonnie wróciła do frontowego wejścia.

—

No dobrze... wygląda na to, że trzeba będzie przede wszystkim zająć się tylną sypialnią i zrobić generalne sprzątnięcie całego domu. Zajmie to minimum sześć godzin, co wyniesie tysiąc dwieście plus koszty materiału i transportu, w sumie jakieś tysiąc pięćset.

Kiedy Dwight się odezwał, sprawiał wrażenie, jakby miał trudności z oddychaniem.

—

Tysiąc pięćset...? Myślę, że... no tak, oczywiście.

Siedzieli potem w jego samochodzie i wypełniali formularze dla towarzystwa ubezpieczeniowego. Dwight już kończył, kiedy pojawił się kolejny samochód — poobijany niebieski datsun, mający tylko jedne brązowe drzwi. Wysiadła z niego niewysoka, przypominająca ptaka kobieta z dużym nosem i spiętymi na czubku głowy włosami. Podeszła do okna pasażera samochodu Dwighta i zastukała w szybę.

Cześć, Bonnie. Przepraszam za spóźnienie.

Cześć, Ruth. To jest Dwight.

Cześć, Dwight.

Dwight podpisał kosztorys i bez słowa podał go Bonnie.

S

Kiedy odjechał, Bonnie i Ruth poszły na tył półciężarów-ki. Była załadowana pięciolitrowymi kanistrami z silnym środkiem dezynfekującym, rolkami zielonego plastiku, paczkami wzmacnianych worków na śmieci, puszkami środków owadobójczych oraz skrzynkami wybielaczy i rozpuszczalników.

Dogadałaś się z Dukiem? — spytała Ruth. Wyjęła jas-nożółty plastikowy kombinezon i zaczęła go wkładać.

Chyba tak, chociaż... nie jestem do końca pewna. Jest teraz taki... dziwny. Gdybym nie wiedziała, że jest na to zbyt leniwy, sądziłabym, że spotyka się z inną kobietą.

Bonnie również włożyła kombinezon ochronny. Nawet kiedy było chłodno, nieprzyjemnie oblepiało ciało, a w temperaturze, jaka panowała w tej chwili na dworze, z Bonnie zaczął łać się pot, zanim zdążyła zapiąć suwak. Usiadła na przednim zderzaku ciężarówki i włożyła gumowce.

—  
Wiesz, co tu się stało? — spytała Ruth.

—  
Nie bardzo. Jack Kellett powiedział mi tylko, że doszło do kłótni o opiekę nad dziećmi.

Matka nie chciała oddać dzieci mężowi, a potem sąsiedzi poczuli dziwny zapach, dochodzący z domu. Kiedy weszli do środka, okazało się, że matka zniknęła, a dzieciaki nie żyją.

Ruth podała Bonnie aparat do oddychania i sama też założyła drugi, po czym ruszyły w kierunku domu z dziesięcioma litrami środka owadobójczego i workami na śmieci. Aż do tej chwili ulica była wyludniona, teraz jednak na przeciwległym chodniku pojawił się mężczyzna i zabrał się do mycia samochodu. Mieszkające obok niego małżeństwo również wyszło przed dom i zaczęło się niezwykle uważnie przyglądać swojemu zraszczowi trawnika. Wokół domu Glassów krążyła trójka nastolatków na deskorolkach, zataczając coraz ciaśniejsze kręgi.

Uda Bonnie ocierały się o siebie z plastikowym piskiem, a z powodu aparatu, który miała na twarzy, jej oddech przypominał zdyszane sapanie astmatyka. Doszła do frontowych drzwi i wyjęła klucz, który dostała z agencji handlu nieruchomościami. Na drzwiach przymocowana była mosiężna kołatka w kształcie dużego chrząszcza. Bonnie przekręciła klucz i razem z Ruth weszła do środka.

Był to zwykły, mały dom. Z wąskiego korytarzyka wchodziło się na lewo do salonu od frontu, a za drzwiami po prawej znajdowała się sypialnia. Prowadzące do kuchni drzwi na wprost były lekko uchylone.

W środku kłębiło się od much. Pełzały wszędzie — po ścianach, meblach, oknach. Bonnie dotknęła ramienia Ruth dłonią i zrobiła gest oznaczający odkurzanie. Ruth uniosła w górę kciuk i poszła szukać komórki na szczotki.

W korytarzyku wejściowym wisiał wielki drewniany krzyż z plastikowym Chrystusem, a pod nim przymocowano tabliczkę z wypalonym napisem: NIECH BÓG BŁOGOSŁAWI DZIECI.

Bonnie poszła do salonu z białymi, winylowymi meblami, wśród których stał telewizor z ekranem wielkości sądu hrabstwa Los Angeles. Choć aparat do oddychania oszczędzał najgorszego, czuła fetor rozkładu, który był tu znacznie intensywniejszy. Zanim zabrała się do tej roboty, nigdy nie myślała o tym, jak bardzo śmierdzą ludzie po śmierci. Nawet wyschnięta krew śmierdzi.

Czasami leżała w nocy, nie mogąc zasnąć, i zastanawiała się, jak ludzie mogą się kochać, jeśli wiedzą, jak łatwo się psują i jacy są w środku.

Popatrzyła na dywan. Jego długi, beżowy włos był splątany, a całą jego powierzchnię przecinały we wszystkich kierunkach rzędy brązowych odcisków stóp, przypominające wzory, malowane na podłogach jako pomoc do nauki tańca. Poszła do kuchni, przy każdym kroku strąsając z twarzy chmary much. Pozostawiona na zlewozmywaku sałata zamieniła się w

kupkę żółtego śluzu — tuż obok niej leżał nóż.

Na podłodze sypialni od tyłu zobaczyła porozrzucane zabawki. Dziecięcy telefon.

Jasnobłękitna ciężarówka przewożąca cegły. Pod ścianą stało łóżko, a pod kątem prostym do niego drugie, składane. Na oknie siedziało tyle much, że ledwie dało się dostrzec połyskujące na obu materacach, jakby zrobione werniksem, brązowe plamy.

Bonnie wzięła jeden z worków na śmieci, ściągnęła z karniszy zasłony i poupychała je w workach — razem z tysiącami migoczących szmaragdowo much. Do sypialni weszła Ruth, wsadziła do kontaktu wtyczkę odkurzacza, który przyniosła ze sobą, i zaczęła zbierać nim kłębiące się wokół składanego łóżka muchy z takim spokojem, jakby sprzątała własne mieszkanie.

Ściągnęły wszystkie zasłony i żaluzje.

—

Zatrzymać te? — spytała Ruth, pokazując Bonnie stertę wyblakłego, złotego aksamitu.

—

Pewnie. Zabiorę je do schroniska.

Wyniosły łóżka do półciężarówki i położyły je jedno na drugim — tak, aby sąsiedzi nie widzieli plam na materacach. Pozrywały wykładzinę dywanową i zrolowały ją, przygotowując do wywiezienia.

Najgorsza był ta z pokoju dziecięcego. Kiedy Bonnie odciągnęła jej brzeg od ściany, okazało się, że pod spodem jest pełno robaków. Ruth musiała je zgarnąć szczotką na szufelkę.

Wszystko po kolei lądowało w workach na śmieci: książki, dokumenty bankowe, rodzinne fotografie, gazety, ubrania, kartki urodzinowe. Rysunek kredkami, przedstawiający dwóch chłopców, stojących pod żółtym słońcem, i podpisany: KOCHAMY CIĘ, MAMO. Bonnie cieszyła się, że nie było tu teraz z nimi pograżonych w żałobie krewnych — co czasem się

zdarzało. Nawet bez konieczności wyjaśnienia, dlaczego Bóg na coś takiego pozwolił, sprzątanie po czyjejs śmierci było wystarczająco trudne.

4

Weszła Ruth, która pracowała w łazience. W rękę trzymała jednorazową strzykawkę.

Bonnie zdjęła z twarzy maskę i szerzej otworzyła worek.

—

Wrzuć ją do środka. Powiem o tym Danowi.

Ruth także zdjęła aparat do oddychania.

—

Była w rzeczach do prania. Nigdy nic nie wiadomo... może to ważne.

Bonnie nie odpowiedziała. Często znajdowała dowody, które przeoczyli policjanci, nie zawsze jednak ich o tym informowała. Nie była gliną, a jedynie sprzątaczką, i jeśli zależało jej na pozostaniu w tym biznesie, nie mogła dawać zbyt wielu ludziom do zrozumienia, że dowiedziała się więcej, niż powinna.

Po dwu i pół godzinach dom Glassów był na tyle czysty, że mogły pozwolić sobie na przerwę. Stały przed domem i popijały mocną, czarną kawę, którą Ruth przyniosła w termosie. Sąsiedzi obserwowali je przez cały czas, ale choć przestali udawać, że zajmują się przycinaniem żywopłotu, żaden nie odważył się podejść bliżej.

—

Gdzie to wyrzucisz? — spytała Ruth, wskazując ruchem głowy stertę zebranych na pace półciężarówki śmieci.

—

Nie stanowią zagrożenia biologicznego. Do Riverside.

Sądziłam, że wszyscy są przewrażliwieni na punkcie robaków.



To ja jestem przewrażliwiona na punkcie robaków — odparła Bonnie.

Wyrzuciła fusy z kawy do rynsztoka i wróciła do środka. Została im już tylko sypialnia rodziców. Była urządzone tak, że wyglądała jak tania kopia apartamentu dla nowożeńców.

Kremowe meble z płyty wiórowej miały uchwyty udające złożone, a w tapicerowanej różowej płycie zagłówkowej widać było dwie żółtawe plamy — w miejscach, o które kiedyś opierały się głowy. W rogu stał stolik o owalnym blacie, zastawiony napoczętymi pojemnikami kosmetyków, nad którymi wznosiła się porcelanowa baletnica z odłamaną nogą. Na samym środku blatu stała czaszka z cukru — najprawdopodobniej kupiona podczas meksykańskiego Święta Zmarłych. Ktoś ją nadgryzł.

Bonnie chwyciła skraj zaplamionej krwią białej narzuty, zwinęła ją i wepchnęła do worka na śmieci, po czym sięgnęła po poduszki. Kiedy podniosła pierwszą, zobaczyła, że do jej skraju przyczepiło się coś czarnego, przypominającego małe wrzecionko. Potrząsnęła poduszką i wypadło z niej sześć albo siedem kolejnych czarnych wrzecionek. Błyszczały i łatwo się kruszyły, były spiczaste z obu stron, spiralnie skręcone jak niektóre muszle morskie i raczej brązowe niż czarne — były też nieco przezroczyste, dzięki czemu można było dostrzec, że w środku coś jest. Kiedy Bonnie wzięła jedno z nich do ręki, zrozumiała co to takiego: poczwarka. Motyla, może ćmy, może jakiegoś innego owada.

Uznała, że załęgły się z powodu upałów. Kiedy w poprzednim tygodniu sprzątała apartament przy Franklin Avenue, natknęła się na ogromne larwy much ścierwnic — znacznie większe, niż kiedykolwiek widziała. Zdaniem Ruth był to zły znak, choć nie umiała określić, co miał oznaczać. Była bardzo przesądna jak na kogoś, kto żył ze zmywania z tapicerki krwi samobójców i ofiar psychopatycznych morderców.

Niezbędne składniki

Bonnie wyjęła wszystko, czego potrzebowała do przygotowania kolacji:

kurczaka, pociętego na 8 kawałków

2 ząbki czosnku

1 zieloną paprykę

'A łyżeczki goździków

2 łyżeczki mielonego chili

5

1/2 filiżanki posiekanych pomidorów z puszki

1/3 filiżanki rodzynek

4 łyżki wytrawnego sherry

M 1h filiżanki posiekanych zielonych oliwek.

Dom Winterów

Co to właściwie jest? — spytał Duke, nabijając na widelec kawałek kurczaka.

Kurczak po meksykańsku — odparła Bonnie, nie podnosząc wzroku.

Duke puścił widelec, który spadł na talerz. Przez jakieś dziesięć sekund wpatrywał się w

Bonnie, po czym wyrzucił z siebie:

—

Powiedz mi coś, Bonnie... Czy ja wyglądam jak Meksykanin?

Nie odpowiedziała, jadła dalej ze wzrokiem wbitym w talerz. Siedzący między rodzicami Ray odruchowo odchylił się na krześle do tyłu — jakby odsuwał się od linii ognia.

Przepraszam bardzo — wymamrotał z wściekłością Duke — ale czy widziałaś, żebym ostatnio nosił sombrero?

Nie, Duke. Nie widziałam, żebyś ostatnio nosił sombrero.

Czy mam długie, zwisające wąsy, noszę ponczo albo pokrzykuję arriba, arriba?

Nie, Duke.

Więc nie wyglądam jak Meksykanin?

Nie. — Bonnie miała tak ściśnięte gardło, że ledwie była w stanie przełknąć. Doskonale wiedziała, co Duke zaraz powie i do czego to doprowadzi, ale nie miała pojęcia, jak go powstrzymać.

Rozumiem. Nie uważasz, że wyglądam jak Meksykanin. Wobec tego dlaczego dajesz mi to meksykańskie jedzenie?

Bonnie podniosła głowę.

—

Jadasz potrawy włoskie, a nie widzę pod domem twojej gondoli.

Uniósł brwi ze sztucznym, przesadnym zdziwieniem.

Próbujesz być dowcipna? Mój dziadek był Włochem. Jedzenie włoskich potraw mam we krwi.

Lubisz też potrawy po seczuańsku, a przecież nie jesteś Chińczykiem.

Dlaczego zawsze musisz być taka cwana? Dlaczego nie możesz odpowiedzieć na proste pytanie wprost? Nigdy. Gondola? Co ci się stało? Spytałem tylko, co za żarcie mi podałaś, a ty powiedziałaś, że meksykańskie, więc powiedziałem, że nie jestem Meksykaninem i nawet na niego nie wyglądam. Czy podałaś mi to dlatego, żeby mnie obrazić, czy z jakiegoś innego powodu?

Mnie smakuje — mruknął Ray.

Duke rozłożył ramiona i wzniosł je ku niebu.

—

Wspaniale! Smakuje ci. Od razu widać, jaki z ciebie smakosz. Dlaczego stajesz zawsze po stronie matki? Jesz coś, co mnie osobiście obraża. Wolisz zjeść coś, od czego się pochorujesz, niż przyznać ojcu rację, prawda? Mam nadzieję, że oboje się tym udławicie!

Ściągnął z szyi serwetkę, wstał i wyszedł z kuchni. Wahadłowe drzwi stuknęły, po chwili

stuknęły ponownie, kiedy wychyliły się w drugą stronę, i zapadła cisza. Bonnie bez ruchu wpatrywała się w talerz, trzymając w dłoni widelec, gotowy do wbicia w kolejny kawałek kurczaka. Wisząca nad jej głową lampa sprawiała, że wyglądała jak aktorka na scenie. Ray przełknął jeszcze kilka kęsów, po czym przestał jeść.

Naprawdę ci smakowało? — spytała go Bonnie.

Jasne, było świetne.

Zauważyła jednak, że wybrał rodzynki i ułożył je wokół brzegu talerza.

Posprząтали ze stołu, resztki z talerzy powędrowały do zlewu. W garnku było jeszcze sporo potrawy, ale Bonnie wyrzuciła wszystko do kubła. Bez słowa zaczęła myć talerze. Ray stał obok ze ścierką i czekał, aż poda mu pierwszy do wytarcia. Był wysoki, stale mrugał, ramiona

6

opadały mu, jakby miał w plecach wieszak, a jego włosy zawsze wyglądały, jakby przed chwilą wstał z łóżka.

Miał teraz siedemnaście lat — tyle samo co Bonnie, kiedy go urodziła. Nie mogła w to uwierzyć. Czy rzeczywiście była wtedy taka młoda?

Ray miał na sobie swój ulubiony T-shirt z napisem LA CORONERS DEPT. Duke go nie cierpiał — a przynajmniej tak twierdził.

—

Nienawidzę tej koszulki — mawiał. — Chcesz, żeby ludzie myśleli, że masz niezdrowe zainteresowania? \*

Bonnie podała synowi kolejny talerz.

—

Twój ojciec jest ostatnio bardzo drażliwy — powiedziała. — Zaczynam podejrzewać, że z mojej winy.

—  
Dlaczego? Co takiego zrobiłaś?

Może dlatego, że zaczęłam tę pracę ze sprzątaniami i w dalszym ciągu mam etat w Glamoreksie.

Trudno winić twojego ojca o to, że czuje się nieco niepotrzebny, prawda?

Gdyby chciał, dawno mógłby znaleźć sobie pracę. Ale nawet nie próbuje. Siedzi tylko cały dzień na tyłku i ogląda Dni naszego życia.

Daj spokój, Ray. Nie pracuje niemal od roku. Nie dlatego, że jest leniwy, tylko po prostu...  
wypadł z kursu.

Co nie daje mu prawa wyzywać się na tobie. Bonnie ściągnęła żółte rękawice.

Nieważne. Co powiesz na filiżankę kawy?

Mogę zadać ci osobiste pytanie?

Położyła mu dłonie na ramionach i uśmiechnęła się.

—  
Możesz mnie pytać o wszystko, o co tylko chcesz. Jestem twoją matką.

—  
Chodzi o tatę... no wiesz... w dalszym ciągu go kochasz? Bonnie popatrzyła Rayowi w  
oczy. Miały ten sam kolor co

jej oczy: były bladobłękitne — jak płatki zaszuszonej chabrowej, które znajduje się między  
stronami starej rodzinnej Biblii.

—  
To bardzo skomplikowane pytanie — odparła. — Jest na nie wiele różnych odpowiedzi,  
ale nie znam ich wszystkich.

Wiedziałem, że się wykręcisz.

Tak uważasz? Ale przynajmniej nie wykręciłam się po meksykańsku.

Wtoczył się do sypialni tuż po wpół do trzeciej rano, śmierdział piwem i dymem papierosowym. Bonnie leżała w łóżku, udając, że śpi, i słuchała, jak Duke obija się o ściany. Nagle obcasy jego butów zastukały głośniej i po chwili — kiedy zaplątał się w nogawki spodni — zwałił się na łóżko obok niej.

—  
Bonnie... — wydyszał. Tak mu cuchnęło z ust, że musiała się odwrócić. — Bonnie, posłuchaj mnie... kocham cię. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham. Nie masz... cholera! — zaklął, nie mogąc ściągnąć do końca spodni. — Wiem, że ciągle się kłócimy, wiem o tym, mała. Ale to nie zawsze moja wina. Czasami... czasami twoja. Pracujesz cały dzień i ledwo na mnie patrzysz, choć jestem twoim mężem. A mąż... potrzebuje pewności. Potrzebuje szacunku. A co się dzieje ze mną? Powiem ci, co się ze mną dzieje... tracę robotę i dostaje ją jakiś Meks, a moja droga żona, moja oddana żona, moja najśłodsza dziecina, moja królowa — co robi? Sypie mi sól na rany. Dokładnie właśnie to robi. Nie tylko obcina mi jaja, ale podaje je na kolację i mówi, że to cojones.

Zacisnął dłoń w pięść i zaczął nią walić w poduszkę. Z ust pryskała mu ślina i Bonnie, próbując się zasłonić, podciągnęła kołdrę. Nie bała się, chciała jedynie, żeby przestał wrzeszczeć i dał jej spać.

—  
Kurczak po meksykańsku, na Boga! Kurczak po meksykańsku! Żeby obrócić nóż w ranie? Myślisz, że i bez tego nie mam już dość?  
Odwróciła się i objęła go.

—  
Duke, jesteś pijany. Spróbuj się przespać.  
—

Myślisz, że jestem pijany? Wcale nie jestem pijany. Jestem tylko... jestem... zraniony.

Pogłaskała go po karku.

—  
Zraniony... — wymamrotał w poduszkę. — Jestem zraniony.

Bonnie wciąż jeszcze pamiętała, jak wyglądał, kiedy zaczęli ze sobą chodzić. Był szczupły, miał zaczesane do tyłu czarne włosy z wysoką falą z przodu i zachowywał się w niesamowicie luzacki sposób... Był zabawny, ostry jak żyłeta i zawsze znajdował się w centrum uwagi. Umiał wydymać dwadzieścia kółek z dymu pod rząd. Kumple wołali na niego The Dook i zawsze mu się przy tym kpiąco kłaniali. Ale gdy The Dook dorósł, skończył szkołę i musiał znaleźć pracę, odkrył, że umiejętność wypuszczania dwudziestu kółek z dymu nie zastępuje kwalifikacji zawodowych. Najlepszą pracą, jaką udało mu się znaleźć, było wymienianie instalacji elektrycznych w samochodach, kiedy jednak poprosił o podwyżkę o pięćdziesiąt centów, firma go zwolniła, zastępując go meksykańskim elektrykiem, któremu zapłacili dwa dolary na godzinę mniej.

Podniósł głowę. Choć stojący na nocnym stoliku zegarek świecił bardzo słabiutko, widać było, że jego twarz jest mokra od łez.

—  
Nie opuścisz mnie, Bonnie? Kochasz mnie jeszcze, prawda?

—  
Przestań gadać głupoty i prześpij się. Muszę wstać

0

szóstej.

—  
Nie masz nikogo innego, Bonnie? Widziałem, jak Ralph Kosherick się na ciebie gapi...

jak wywala na ciebie gały, a pieprzony jęzor opada mu aż do dywanu. Nie pieprzyłabyś się z

Ralphem Kosherickiem, prawda? Powiedz mi, że nie pieprzyłabyś się z nim!

Na Boga, Duke, czy możesz przestać? Nudzisz mnie! Natychmiast usiadł.

Nudzę cię! — ryknął. — Nudzę?! — Złapał poduszkę

1

rzucił ją w kąt. — Jestem twoim mężem, próbuję ci powiedzieć, jak bardzo jestem

zraniony, a ty mi mówisz, że cię nudzę?! Może powinienem przestać próbować rozmawiać z

tobą i po prostu zrobić to, co robi z tobą Ralph Kosherick!



Duke, skarbie, możesz przestać krzyczeć? Muszę rano wstać, a Ray idzie do szkoły.

Kogo to obchodzi?! Ja nie muszę wstawać! Mogę leżeć cały dzień w łóżku i nikt tego nawet nie zauważy!

—

Duke...

Ale on gwałtownie ściągnął z niej kołdrę, wlażł na nią i podciągnął jej koszulę nocną. Światło zegarka wydobyło z ciemności obfite piersi Bonnie i duży, zaokrąglony brzuch.

Duke, nie... — jęknęła, próbując ściągnąć koszulę w dół, jednak on siłą rozchylił jej uda.

Ty i ten cholerny Ralph Kosherick... ty i ten... cholerny... Ralph... Kosherick...

Czuła go między udami — był miękki jak dopiero co urodzona myszka. Sięgnął ręką i usiłował się w nią wcisnąć, nie miało to jednak szans powodzenia. Pchał biodrami, sapiąc z wysiłku.

Bonnie cierpliwie leżała i czekała, aż przestanie. Po chwili opadł na nią ciężko i zaczął jej chlipać do ucha. Jego szczecina drapała ją w policzek, łzy skapywały jej na ramię.

Szybko cmoknęła go kilka razy i pogłaskała po włosach. Zauważyła, że znacznie się przerzedziły.

Sprawy do załatwienia w środę

Zrobiła listę wszystkich spraw, które miała dziś załatwić:

odebrać pranie ze Star-Texu

przypomnieć Ralphowi o promocji Nawilż Oczy

spotkać się z Susan na lunchu o 13.30

odebrać oponę do ciężarówki

kupić kotlety, lody i papier toaletowy

zadzwoić do Mikę'a Paretiego w sprawie...

Zajęcia dnia

Ray wszedł do kuchni — rozziwany i potargany jak Flip. Otworzył lodówkę i wpatrywał się w jej wnętrze przez niemal pół minuty. Potem ją zamknął.

Bonnie skończyła pisać listę zajęć, złożyła ją i wsunęła do torebki.

Wczesnie wstałeś.

Wbrrrrr... muszę skończyć zadanie z matmy.

Ojciec cię obudził?

Tylko mnie i pół Los Angeles — mruknął Ray.

Wziął ze spiżarni bochenek chleba, ukroił trzy kromki i posmarował je grubo masłem orzechowym. Potem pokroił banana i udekorował nim kanapki. Włączył telewizor, złożył pierwszą kromkę na pół i zaczął jeść. Co rano jadł to samo, bo przeczytał w jakimś czasopiśmie dla mężczyzn, że banany i masło orzechowe pomagają przybrać na wadze.

Kuchnia była pomalowana na jasnożółto, zasłony w kratkę miały podobny jasnożółty kolor. W porannym słońcu wyglądała jak sceneria z lat sześćdziesiątych, przygotowana do kręcenia reklamówki płatków kukurydzianych. Sidney Omarr, udzielający telefonicznych porad wróżbita, powiedział kiedyś Bonnie, że żółty to jej szczęśliwy kolor. Przepowiedział jej także, że zobaczy więcej śmierci niż większość zwykłych ludzi podczas trzynastu wcieleń. Nie uwierzyła mu. Było to cztery lata przedtem, zanim założyła firmę Bonnie's Trauma Scene Clean.

Twój ojciec poradzi sobie z tym — powiedziała Bonnie. — Zaczekaj tylko trochę.

Naprawdę tak myślisz? — zapytał obojętnie Ray, pochłonięty oglądaniem Scooby Doo.

To dobry człowiek, tylko życie go teraz... trochę mąci mu to wszystko w głowie — odparła, stojąc przy zlewozmywaku i dopijając bezkofeinową kawę. Patrzyła na Raya, oczekując, że odwróci się i coś powie, nie zrobił tego jednak. Wylała resztkę kawy, opłukała kubek i

pocałowała syna w czubek głowy, w plątaninę spoconych włosów. — Zobaczmy się o szóstej.

Nie powinnam przyjść później. Na kolację będą kotlety schabowe.

— W porządku, mamó.

Podjazd był tak wąski, że ledwie mieściły się na nim ich samochody — półciężarówka international Bonnie i siedmioletni buick electra Duke'a. Kiedy się wprowadzali, Bonnie sądziła, że pomieszkają tu dwa, najwyżej trzy lata, a potem kupią sobie coś znacznie większego, z basenem, w którym da się zrobić więcej niż dwa ruchy przed uderzeniem w betonową ścianę, a dym z grilla sąsiadów nie będzie wpadał kłębami przez okno do kuchni. Marzyło jej się też kilka drzew pomarańczy, wielka wanna i może nawet ładny widok w oddali. Od tego czasu minęło trzynaście lat — Ray miał wtedy cztery. Dawno przestała myśleć o drzewach pomarańczy i wannie i już nie marzyła o ładnym widoku z okien. Jednak w dalszym ciągu sprzedawała kosmetyki w firmie Glamorex i usuwała plamy po ludzkich tragediach. Wiedziała, że z jakiegoś powodu musi uparcie pracować — choć nigdy nie odważyłaby się spojrzeć w twarz temu, co robiła.

Uwielbiała Barbrę Streisand. Tak bardzo lubiła Evergreen, że mogła puszczać tę piosenkę na okrągło. Oczywiście kiedy nie było Duke'a.

Pojechała jego buickiem electrą do Venice Boulevard. Klimatyzacja nie działała, a siedzenia były poklejone srebrną taśmą izolacyjną. Gdy dojechała do Venice, bluzka przylepiała jej się do pleców. Znalazła miejsce do parkowania kilkadziesiąt metrów od biur Glamorexu. Kiedy szła szybkim krokiem chodnikiem, dziadek w białej czapce do golfa wyszczerzył się do niej, pokazując sztuczną szczękę. Miał chyba ponad osiemdziesiąt lat.

— No, no. Niezły tyłek — wymamrotał.

Z początku jej mózg nie zarejestrował tego, co usłyszała, ale po chwili zatrzymała się, odwróciła i zawołała:

—

Hej!

Chodnik był jednak pusty. Niemal uwierzyła, że to wszystko jej się przyśniło. Stała przez chwilę ze zmarszczonym czołem, a potem pchnęła obrotowe drzwi, weszła do lodowatego holu i stukając obcasami o polerowany marmur ruszyła w kierunku wind.

Na trzynastym piętrze, gdzie mieściła się siedziba Glamorex Hollywood, Inc., cała recepcja i korytarz za nią były zastawione pudłami. Joyce Bach, kierowniczka dystrybucji, stała pośrodku tego chaosu, a jej kędzierzawe czarne włosy wyglądały jeszcze bardziej nieporządnie niż zwykle. Z jej błyszczących, czerwonych warg (szminka „Szkarłatna Sjesta”) zwiślał wypalony do połowy papieros i za każdym razem, gdy się odzywała, popiół spadał na granatową garsonkę.

—  
Uwierzysz, że dostarczyli mniej niż połowę jesiennych barw farb do włosów?! —

zawołała. — Poza tym wydrukowali do góry nogami napisy na opakowaniu Millennium Face-Glow. Jezu, kto tym kieruje? Orangutany?

Na korytarz wyszedł Ralph Kosherick. W ręku trzymał deseczkę do notatek i wyglądał jak zaszczuty zając. Był wysoki, garbił się nieco i miał dużą, jakby nieco zmiętą twarz. Kiedy Bonnie z nim rozmawiała, zawsze miała ochotę wyjąć nożyczki do paznokci i przystrzyć mu bujne, czarne brwi. Miał na sobie białą koszulę z podwiniętymi rękawami i purpurowe szelki, które tak mocno podciągały spodnie, że ich mankiety latały dwa centymetry nad wypolerowanymi półbutami.

Spóźniłaś się, Bonnie — oświadczył. — Ale ponieważ wyglądasz tak... olśniewająco, wybaczam ci.

Mam nadzieję, że podobne komplementy mówisz także swojej żonie.

Oczywiście, że mówię, jednak tylko wtedy, gdy jest tak daleko, że nie może tego słyszeć. Nie

chcę, żeby woda sodowa uderzyła jej do głowy.

—

Jesteś okropny, Ralph. Gdzie mnie dziś przydzieliłeś? Przejrzał przyczepione do swojej deseczki dokumenty.

Chcę, żebyś najpierw zadzwoniła do Marshalla, a potem pojechała do Hoffmann Drugs i dowiedziała się, czego potrzebują. Przesunąłem twoją promocję „Millennium” na trzecią.

Doskonale, nawet bardziej mi to pasuje. O wpół do drugiej jestem umówiona na lunch.

Odwołaj go. Ja cię zapraszam. Znalazłem lokal przy Melrose, w którym robią gołąbki zawijane w liście winogron, za które warto umrzeć. Spotkajmy się tam, kiedy skończysz z Hoffmannem.

Ralph, to bardzo miłe z twojej strony, ale jak już nieraz mówiłam — powinniśmy utrzymać nasze stosunki na jednoznacznie zawodowej płaszczyźnie.

„Jednoznacznie” nawet mi się podoba. Ale co do płaszczyzny zawodowej...

Żona nigdy cię nie bije?

—

Żartujesz sobie? Nie pobije mnie nawet w scrabble. Bonnie zebrała pudełka z próbkami i LeRoy, goniec, pomógł

jej znieść je na dół. Miał w uszach słuchawki walkmana i szedł z nią do samochodu, podrygując w rytm cicho pobrzękującej muzyki. Bonnie musiała trzy razy trzasnąć klapą bagażnika, zanim udało jej się go zamknąć.

—

Czego słuchasz? — spytała.

LeRoy odsunął jedną słuchawkę od ucha, zmarszczył czoło i popatrzył na nią, jakby jej nie poznawał.

Mówiłaś coś?

Pytałam, czego słuchasz.

Podał jej słuchawki i Bonnie przez chwilę słuchała dudniących rytmów techno, niekończących się riffów i wciąż powtarzanego: Wake up the dayyudd... you kill me bruwa... wake up the

dayyudd... Oddała mu słuchawki.

—

Fajne — powiedziała — ale chyba pozostanę przy Billym Joem Cyrusie.

Szefową działu handlowego u Marshalla była Doris Fein-man — nieduża kobieta w czarnej garsonce, z tak grubą warstwą makijażu na twarzy, jakby szykowała się do występu w japońskim teatrze No. Rozrzuciła wszystkie przyniesione przez Bonnie próbki na biurku i wykręcała każdą szminkę.

—

Jak ta się nazywa? „Krwawy pomarańcz”? Ciekawy odcień, ale nie sądzi pani, że ta nazwa brzmi nieco menstruacyjnie?

—

Nazwy możemy pozmieniać. Żaden problem.

—

To dobra nowina. „Żurawinowe szczytowanie" też mi się nie podoba. Kto wymyśla te nazwy?

Bonnie nie odpowiedziała, ale zmusiła się do uśmiechu. Ponieważ Glamorex był jednym z pomniejszych dostawców Marshalla, Doris Feinman zawsze musiała przerobić ten sam rytuał — pomieszać próbki i rzucić kilka zjadliwych uwag.

—

Ten pogrubiacz rzęs... jest zbyt gruboziarnisty. Dzisiejsze kobiety nie chcą wyglądać jak Goldie Hawn. To zbyt bezmóz-gie. Zbyt uległe, nie sądzi pani?

Bonnie miała trudności nawet z udawaniem, że się uśmiecha. Boże drogi, pomyślała — „uległy" pogrubiacz rzęs?

Doris Feinman potrzebowała półtorej godziny na wybranie próbek i złożenie zamówienia.



Ralph powinien być zadowolony — opiewało na 13 500 dolarów. Nie wzięła jednak ani jednego błyszczyka do twarzy o nazwie „Millennium”. Wypróbowała go na jednej ze swoich asystentek i stwierdziła, że dziewczyna wygląda jak nieboszczka.

Apartament Goodmanów

Kiedy Bonnie jechała do Hoffmanna, zapiszczał pager. Tekst brzmiał: JEDŹ JAK  
NAJSZYBCIEJ NA DE LONGPRE 8210, MUNOZ.

—

Cholera... — zakląła. Skręciła w lewo w Spaulding Avenue, potem w prawo i pięć  
przecznic dalej zobaczyła dwa radiowozy i srebrnego oldsmobile'a z włączonym kogutem na

dachu. Wokół stali sąsiedzi i przechodnie, którzy zbiegli się tu w poszukiwaniu choćby odrobiny podniety z czyjejś tragedii.

Wysiadła z samochodu i jeden z policjantów podniósł przed nią żółtą taśmę, by mogła przejść pod spodem.

—  
Pani do sprzątnięcia, zgadza się? Lepiej ty niż ja, słodziaku...

Bonnie pokazała mu środkowy palec.

Do garaży schodziło się stromo opadającym betonowym zjazdem. Budynek był dwupiętrowym apartamentowcem, ze stiukowym frontem i ochrowymi bocznymi ścianami. Do frontowego wejścia prowadziły wyłożone czerwonymi kafelkami schody. Na ich szczycie stał porucznik Dan Munoz — opierał się o balustradkę, palił jasnozielone cygaro i rozmawiał z Billem Cliftem z biura koronera.

Kiedy Bonnie schodziła po schodach, Dan zaszalutował.

—  
Cześć, Bonnie. Szybko się zjawiaś.

Jak na policyjnego detektywa, był wręcz nieprzyzwoicie przystojny — miał kędzierzawe jasnobrązowe włosy i mocną, niemal kwadratową szczękę. Bonnie zawsze starała się unikać wzroku Dana, bo kiedy patrzyła w jego piwne oczy, miała wrażenie, że porucznik wie o niej wszystko — wie nawet, co zamierza przygotować dziś na kolację.

Dan Munoz miał dziś na sobie niebieski jedwabny garnitur, na szyi zawiązał czerwono-żółtą muchę i pachniał płynem po goleniu Giorgio. Można by pomyśleć, że zamierzał udać się nie na miejsce krwawej zbrodni, ale na elegancką proszoną kolację. Bill Clift wyglądał przy nim jak stwór z innego świata — piegowaty niechluj w wymiętym popelinowym płaszczu i

połamanych okularach, z mostkiem sklejonym plastrem.

Dan objął Bonnie ramieniem i uściśnął ją.

—  
Jeżeli zaczniesz przyjeżdżać jeszcze szybciej na miejsce zbrodni, będziesz mogła zacząć zwijać dywany, zanim zabiorą się za mordowanie.

Bonnie wskazała głową w kierunku uchylonych frontowych drzwi.

Co się stało?

Wejdziesz do środka, to ci pokażę.

Nie jestem pewna, czy chcę. Jestem w tej chwili dość zajęta. Przyjechałam tu tylko dlatego, że miałam po drodze od Hoffmanna.

To paskudna sprawa. Troje dzieci — cztery lata, siedem i dziewięć. Matka wyjechała do rodziców w San Clemente. Opiekunka dostała wolny dzień. Ojciec wszedł do sypialni i zaczął do nich strzelać z samopowtarzalnej strzelby. Potem poszedł do salonu, wsadził sobie lufę do ust i przyozdobił ścianę kawałkami swojej potylicy.

—  
Jezu... wiadomo, dlaczego to zrobił?

—  
Podejrzewam, że mu po prostu odbiło. Nie zostawił listu ani nic w tym stylu.

—  
Gdzie jest matka?

—  
Tutaj. — Dan otworzył notes. — Pani Bernice Goodman, trzydzieści sześć lat. Dlatego po ciebie zadzwoniłem. Dziś po południu pojedzie do przyjaciół, zależy jej jednak na tym, żeby tu jak najszybciej posprzątać.

Bonnie przez chwilę się wahała, w końcu jednak kiwnęła głową.

W porządku... rzucę na to okiem. Twój ludzie skończyli?

Skończyli. Bill, też już jesteś gotów?

—

Jestem. Śmieci pozbierane i wszyscy gotowi do odjazdu. Dan wprowadził Bonnie do

niewielkiego korytarzyka

w kształcie litery L. Ściany były obwieszane zdjęciami zespołów kręglarskich, najwyraźniej robionymi przy użyciu flesza, bo oczy wszystkich sfotografowanych osób świeciły czerwono jak oczy wilkołaków. W jednym kącie stała wielka kolczasta roślina w donicy, a obok niej stolik zastawiony dekoracyjnymi mosiężnymi przyciskami do listów.

—  
To salon — powiedział Dan, otwierając drzwi. — Choć może raczej powinienem powiedzieć „grobowiec”.

Znaleźli się w dużym, pomalowanym na kremowo pomieszczeniu. Verticale w oknach zasunięto, panował więc półmrok. Pomieszczenie umeblowano nowocześnie — fotelami obitymi jasną skórą i szklanymi stolikami do kawy. Nie pasowała do tego stylu jedynie stojąca w rogu staroświecka gablotka, wypełniona rozetkami, srebrnymi pucharami i innymi trofeami kręg-larskimi.

Choć było tu jasno i przestrzennie, w pokoju panowała atmosfera, która zmusiła Bonnie do głębokiego wciągnięcia powietrza — poczuła się, jakby nagle znalazła się w lodowatej wodzie. W większości miejsc, w których pracowała, tragedie miały miejsce kilka tygodni albo nawet miesięcy wcześniej, tu jednak gwałtowna śmierć nastąpiła bardzo niedawno i jej aura była tak wszechogarniająca, że przez ułamek sekundy Bonnie miała ochotę odwrócić się na pięcie, wyjść i nigdy więcej się tu nie pojawić.

—  
Daj spokój... — mruknął Dan, jakby doskonale wiedział, co jej krąży po głowie.

Na ścianie naprzeciw gablotki wisiał abstrakcyjny obraz — był na nim niebieski trójkąt, biały kwadrat i mała, czerwona plamka. Zatytułowano go Spokój III. Ściana na wprost wejścia była zachlapaną krwią i różowawymi kawałkami mózgu. W tynku ziała owalna dziura, w którą Bonnie mogłaby bez trudu włożyć pięść. Wokół niej widać było czarne kropki. Ślady uderzenia śrucin.

Jasna, skórzana tapicerka kanapy również była spryskana krwią. Bonnie obeszła ją i na białym dywanie za oparciem kanapy zobaczyła kałużę tężejącej, kleistej, czerwonej masy. Kiedy jej

ojciec strzelił sobie w głowę, to, co z niej zostało, spadło za kanapę, a krew rozlała się po podłodze.

Dan podszedł do niej i stanął obok.

—  
Zadbał o to, by trafić, co? Bonnie kiwnęła głową.

—  
Owszem. Właśnie tym mężczyźni różnią się od kobiet, prawda? Kiedy kobiety popełniają samobójstwo, robią to na czystej podłodze albo w wannie. Ale co to obchodzi mężczyzn? Siadają na środku salonu i BANG!

Brzmisz, jakbyś brała to do siebie.

Może masz rację. Nie uważasz, że to rozmyślna obraza? Tak, jakby mężczyzna mówił w ten sposób kobiecie nie tylko to, że jego życie już się nie liczy i ich małżeństwo się nie liczy, ale że tak samo przestał się liczyć dom, który razem zbudowali. Kogo to obchodzi, że rozprysnie wszędzie swój mózg? — Popatrzyła na niego. — Masz rację, Dan, biorę to do siebie. Jestem kobietą, a poza tym muszę to posprzątać.

Uda ci się usunąć tę plamę?

Bonnie schyliła się i przeciągnęła dłonią przez długi włos dywanu.

—  
To mieszanka wełny z nylonem. Problem z wełną polega na tym, że krew głęboko w nią wsiąka i nijak nie da się jej usunąć. Mogę spróbować nowego enzymatycznego odplamiacza, ale chyba zostanie brązowawa plama. — Wstała. — Wszystko zależy od ubezpieczenia, jakie ma ta kobieta. Ale zawsze będzie mogła trochę przesunąć kanapę i zakryć plamę.

Porucznik zmarszczył brwi.

Co jest? — zapytała Bonnie. — Próbuję być praktyczna.

Pewnie.

Dan, nie każdą kobietę stać na przemeblowanie domu tylko dlatego, że jej mąż zachował się na tyle egoistycznie, że odstrzelił sobie łeb na środku salonu.

Chyba masz rację. — Dan rozejrzał się i pokręcił głową. — Zastanawiam się tylko, co chodziło mu po głowie, że się na coś takiego zdecydował.

Bonnie wskazała brodą na ścianę.

Tu jest teraz jego głowa. Przyjrzyj się.

I co to twoim zdaniem znaczy?

Chyba to, że istnieje dość spora różnica między tym, czym jesteśmy i z czego jesteśmy zrobieni.

I co dalej?

Nic. Poza tym, że jestem zadowolona, że ta ściana jest zmywalna i pociągnięta nieprzepuszczalnym lakierem, więc krew nie przesączyła się do tynku.

To wspaniale. — Popatrzyli sobie w oczy, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że ich twardość to jedynie teatr. Każdy człowiek poczułby w tym domu dreszcz przerażenia. Panujący we wszystkich pomieszczeniach ponury półmrok, rozbryzgana wszędzie krew i straszliwa pustka musiały zadziałać. Tak samo jak nieustanne brzęczenie much.

Co z sypialniami? — spytała Bonnie.

Sypialnie

Z salonu szło się krótkim korytarzem do sypialni rodziców, łazienki i dwóch mniejszych sypialni. W najmniejszej stało pojedyncze łóżko, biurko i regał na książki. Ściany były udekorowane plakatami z Bradem Pittem i Beckiem. Z okna widać było bok garażu sąsiada, na którego dachu leżała oklapnięta piłka do koszykówki.

—

To pokój opiekunki — powiedział Dan. Zaprowadził Bonnie do ostatniej sypialni. Tu

— na łóżkach

na antresoli — spały młodsze dzieci, czterolatek i jego siedmioletnia siostra. W powietrzu unosił się metaliczny zapach — odór zaschniętej krwi. Pokój wytapetowano w niebiesko-białe pasy i różowe kwiaty, pod oknem stała pomalowana na niebiesko skrzynia na zabawki — wysypywały się z niej lalki Barbie, domki dla lalek, modele samochodów i figurki postaci z Gwiezdných Wojen. Na ścianach, w ramkach, wisiały ryciny z Domu, który zbudował Jack



Randolpha Caldecotta.

Oba łóżka wyglądały makabrycznie. Dzieci głęboko spały, każde ze swoim Królem Lwem, kiedy kołdry zostały poszarpane na kawałki i nasiąkły krwią, zamieniając się w ogromne, potworne kwiaty. Podwójny Król Lew w dalszym ciągu uśmiechał się życzliwie spomiędzy śladów rzezi. Materace na obu łóżkach przesiąkły ciemną czerwienią. Krew obryzgała ściany i sufit, na którym widać było dwa ciemnoczerwone parasole. Nie było żadnym pocieszeniem, że dzieci na pewno nie zorientowały się, co się z nimi dzieje.

Kiedy Bonnie wzięła do ręki szmacianą lalkę, stwierdziła, że wokół jej głowy owinięty jest strzęp ludzkiej tkanki. Ponieważ Dan jej się przyglądał, szybko odłożyła lalkę.

Wiesz co? — powiedział. — Mamy wiele wspólnego.

Tak sądzisz?

Może powinniśmy się kiedyś spotkać wieczorem, pogadać...

Bonnie odwróciła się do niego.

—

O czym chciałbyś ze mną gadać, Dan? Jestem trzydzies-toczteroletnią matką i mogę rozmawiać tylko na trzy tematy: o kuchni, makijażu i sprzątaniu syfu takiego jak ten tutaj.

Widziała, że chciałby coś jeszcze powiedzieć, powstrzymał się jednak. Odwrócił się na pięcie i poszedł do sypialni dzie-więciolatki.

Różowe zasłonki w oknach były podwiązane ozdobnymi paskami, pod ścianą stał stolik, na którym starannie poustawiano kosmetyki-zabawki. Między nimi leżały trzy niemal całkowicie zużyte szminki, które mała musiała dostać od matki. Bonnie wzięła jedną z nich do ręki. Był to „Zaskakujący Szkarłat” firmy Glamorex.

Łóżko dziewczynki było takim samym krwawym pobojuwiskiem jak oba poprzednie, wyglądało jednak na to, że pierwszy strzał tatusia nie odniósł spodziewanych skutków. Na

ścianie widniały odciski dłoni, a leżący przed łóżkiem biały dywanik z baraniego futra był pochłapany krwią i przypominał za-szlachtowane zwierzę.

Odstrzelił jej pół miednicy, ale mimo to próbowała uciekać — powiedział Dan. — Udało jej się

dotrzeć do łóżka.

Widzę.

Kiedy już obejrzeliby cały pokój, Dan spytał:

—

Myślisz, że sobie poradzisz?

Bonnie skinęła głową.

— Tak, ale muszę przedtem porozmawiać z matką tych dzieciaków.

Ustalanie warunków

Pani Goodman siedziała przy stole w kuchni. Obok niej stała policjantka. Murzynka, trzymając dłoń na jej ramieniu. Pani Goodman była szczupłą kobietą z wydatnym nosem i blond włosami w pasemka, spiętymi w ciasny kok. Miała na sobie czarną sukienkę, ale zgubiła jeden but.

Trzymała na kolanach nietknięty kubek z kawą i patrzyła gdzieś w przestrzeń.

Bonnie pomachała policjantce, a ona odwzajemniła się uśmiechem.

—

Cześć, Martho — powiedziała Bonnie. — Nie widziałam cię od wieków. Jak Tyce?

Dan pochylił się nad panią Goodman.

—

Pani Goodman, to nasza specjalistka od sprzątnia, o której mówiłem.

Bonnie również się pochyliła.

—

Pani Goodman? Nazywam się Bonnie Winter, z firmy Bonnie's Trauma Scenę Clean.

Jeżeli to dla pani za wcześnie, proszę powiedzieć. Może mnie pani wezwać w każdej chwili, ale porucznik Munoz powiedział, że chciała pani jak najszybciej doprowadzić swoje mieszkanie

do normalnego stanu.

Pani Goodman nic nie odpowiedziała, nie uniosła nawet głowy.

—

Jest w szoku? — spytała Bonnie Dana. — Czy nie powinniście jej zabrać do szpitala?

Pani Goodman podniosła głowę.

—

Nie trzeba, nic mi nie jest. Chcę tu zostać. Tu zginęły moje dzieci. Chcę zostać.

Bonnie przysunęła sobie krzesło i usiadła tuż obok niej. Poszarpany cień juki kiwał się w górę i w dół żaluzji i z jakiegoś powodu kojarzył się Bonnie z wielką papugą. Delikatnie wyjęła z rąk pani Goodman kubek z kawą i postawiła go na stole.

Dlaczego on to zrobił? — spytała po długiej chwili milczenia pani Goodman.

Chyba nigdy się tego nie dowiemy. Odpowiedź na to pytanie zna tylko pani zmarły mąż i Bóg.

Tak bardzo kochał nasze dzieci... może nawet bardziej niż ja. Zawsze mówił, że jest taki dumny z tego, że są nasze, i że jest też dumny ze mnie...

Nigdy nie da się poznać nikogo do końca — odparła Bonnie. — Na przykład mój mąż... To, o czym myśli, jest dla mnie całkowitą tajemnicą.

Pani Goodman rozwinęła chusteczkę higieniczną i osuszyła sobie policzki.

Mój ojciec zawsze mawiał, że Aaron do niczego nie dojdzie. Twierdził, że jest dla mnie nieodpowiedni i że powinnam wyjść za mąż za prawnika albo pośrednika handlu nieruchomościami, kogoś z naprawdę dobrym zawodem, a nie za właściciela pralni.

Nigdy nie wiemy, w kim się zakochamy.

Tak, oczywiście, ale dlaczego on to zrobił? Rozmawiałam z nim przez telefon pół godziny przed tym, co się stało, i jego głos brzmiał całkiem normalnie. Mówił, że chce pojechać w piątek na ryby. Nie mówi się o wędkowaniu, jeśli zamierza się pozabijać własne dzieci.

Bonnie wzięła kobietę za rękę.

---

Pani Goodman, nie potrafię nawet zacząć myśleć o tym, dlaczego pani mąż zrobił to, co zrobił, mogę jedynie spróbować posprzątać w tym domu, żeby mogła w nim pani normalnie żyć.

Po policzkach pani Goodman znów zaczęły spływać łzy, ale tym razem ich nie ścierała.

---

Były takie piękne... takie piękne. Mały Benjamin, Rachela, Naomi...

Bonnie czekała przez kilka minut, pozwalając pani Goodman się wypłakać. W końcu spojrzała na zegarek.

—  
Ma pani polisę ubezpieczeniową, pani Goodman? Przepraszam, że pytam tak obcesowo, ale tego rodzaju sprzątanie jest dość drogie.

—  
Polisę ubezpieczeniową...? — powtórzyła pani Goodman zdziwiona.

Powinna pani posłuchać Bonnie — wtrącił się Dan. — Ona naprawdę wie, o czym mówi. Pani Goodman, teraz jest pani najśłabsza i ludzie mogą próbować panią wykorzystać — powiedziała Bonnie. — Zaraz zaczną wokół pani krążyć najróżniejsze rekiny. Ktoś zaproponuje pani posprzątanie mieszkania, ktoś inny pozałatwianie problemów prawnych, jeszcze ktoś uporządkowanie pani finansów. Próbuję jedynie chronić pani interesy.

Aaron nigdy nie martwił się o pieniądze. Jeśli coś miał, wszystko wydawał.

Rozumiem, ale sprzątanie mieszkania może kosztować od tysiąca pięciuset dolarów w górę, nie wspominając o wymianie dywanów i mebli. Pewnie nie ma się czym martwić, bo większość towarzystw ubezpieczeniowych pokrywa koszty usunięcia śladów takich tragedii, jaka się pani przydarzyła. Jeśli powie mi pani, jak nazywa się pani agent ubezpieczeniowy, porozmawiam z nim dziś po południu i sprawdzę, czy ma pani prawo do odszkodowania.

Agent ubezpieczeniowy? Nie wiem... Tymi rzeczami zajmował się Aaron.

Nie ma zbytniego pośpiechu. Oto moja wizytówka... kiedy dowie się pani wszystkiego co trzeba, proszę do mnie zadzwonić.

Ale robi to pani? Może pani posprzątać? Może pani sprawić, żeby wyglądało tu jak przedtem?

—

Chyba tak, pani Goodman.

—  
Ale nie może pani sprawić, żeby moje życie wyglądało jak przedtem?

—  
Nie mogę, pani Goodman.

Kobieta mocniej ścisnęła dłoń Bonnie. Miała bardzo zimne palce i Bonnie miała wrażenie, jakby ścisnął ją trup.

Może mi pani mówić Bernice?

Bernice? Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy...

Kiedy Bonnie wychodziła z mieszkania Goodmanów, zjawił się mężczyzna około trzydziestki w lnianym, letnim garniturze. Za nim szła meksykańska dziewczyna z włosami zaplecionymi w warkoczyki. Mogła mieć nie więcej niż siedemnaście lat i była ubrana w granatową sukienkę bez rękawów w wielkie, czarne kwiaty. Mężczyzna był jakieś dwa centymetry niższy od Bonnie, miał jasnopolielate włosy i okulary ze szklami bez oprawek. Dziewczyna nie była zbyt ładna, jej twarz przypominała księżyc i była pokryta młodzieńczym trądzikiem.

—  
W czym mogę panu pomóc? — spytał Dan.

Jestem Dean Willits, przyjaciel rodziny. Przyszedłem po panią Goodman. A Consuela chce zabrać kilka sukienek.

Rozumiem. Pani Goodman jest w kuchni. Poproszę jednego z moich ludzi, by towarzyszył Consueli.

Dean Willits rozejrzał się po salonie.

Jasna cholera... — wymamrotał na widok dziury w ścianie i rozprysniętej dokoła krwi. — Nie wiedziałem, że...

Niech pan zabierze stąd panią Goodman, dobrze? — powiedział Dan.

Tak, oczywiście. Przepraszam. Aaron był moim bliskim przyjacielem... Był wspaniałym ojcem, wie pan? Naprawdę wyjątkowym. Nie tknąłby swoich dzieci nawet palcem.

—  
Oczywiście — mruknął Dan.

Bonnie i Munoz wyszli na zewnątrz i stanęli w palącym słońcu.



Zostawiam resztę tobie — powiedział Dan.

Możesz na mnie polegać — odparła Bonnie.

Coś cię niepokoi?

W zasadzie nie, zastanawiałam się jedynie nad tym samym, nad czym zastanawiała się pani Goodman. Wspaniały ojciec, który bardzo kochał swoje dzieci... Co go tak odmieniło, że je pozabijał?

Dan pokręcił głową.

—

Chyba nigdy się tego nie dowiemy.

Bonnie pochyliła się, przeszła pod policyjną taśmą i ruszyła do swojego samochodu. Dan poszedł za nią i otworzył jej drzwi. Zawiasy zaskrzeczały jak zdenerwowana świnia.

Co powiesz na kolację dziś wieczór?

Nie jestem przecież w twoim typie. Poza tym co powiedziałabym Duke'owi?

Nic mu nie musisz mówić. Jesteśmy w epoce równouprawnienia seksualnego.

Gówny prawda. Jeśli mamy równouprawnienie, to dlaczego zasuwam na dwóch etatach, podczas gdy mój mąż siedzi w domu przed telewizorem?

Powinnaś na chwilę przyhamować, Bonnie, zatrzymać się i powąchać kwiaty.

Przepraszam cię, Dan, ale jestem zbyt zajęta usuwaniem zapachu trupów.

Cyniczka.

Lubieżnik.

Menu obiadowe

Spotkała się ze swoją przyjaciółką Susan Spang w „Green Rainbow” na rogu Sunset i Alta Loma. Zamówiła dla siebie:

— sałatkę z czerwonej kapusty na ciepło z chorizo \*, zielonymi oliwkami i serem owczym —

674 kalorie

\* Chorizo — bardzo ostra kiełbaska, przyprawiana czosnkiem (przyp. tłum.).

wołowinę z małymi kukurydzami, krótko smażoną na małej ilości tłuszczu, posypaną

konfetti z papryki — 523 kalorie

figi z grilla — 311 kalorii

wodę Evian — 0 kalorii.

Znaczenie ludzkiej tragedii

Znały się z Susan od szkoły średniej, nie pamiętała już jednak, dlaczego tak bardzo się zaprzyjaźniły, i nie bardzo rozumiała, dlaczego nadal się spotykają. Susan była wysoka i bardzo poważna, miała czarne, błyszczące włosy sięgające do pasa, bladą, wychudzoną twarz i ogromne czarne oczy. Tego dnia ubrana była w krótką różową sukienkę, ponaszywaną srebrnymi gwiazdkami, włożyła też wielki, miękki filcowy kapelusz, który wyglądał, jakby na jej głowie usiadł średniowieczny karzeł.

Siedziała przy stole w rogu, długie nogi skrzyżowała pod blatem.

Wyglądasz na wy-cień-czo-ną — przywitała Bonnie.

Dzięki, zgadłaś.

Nie drap krzesłem o podłogę. Znowu boli mnie głowa.

Przepraszam. Powinnaś odwołać spotkanie.

—

Nie chciałam. Chciałam się z tobą spotkać. Jestem tak zmęczona nieprawdziwymi ludźmi...

—

Cieszę się, że uważasz mnie za prawdziwą.

—  
Bo taka jesteś. Jesteś w stu procentach prawdziwa. Zawsze taka byłaś. Nie wiem, jak ci się udało taką pozostać.

—  
Ja też tego nie wiem.

Do stolika podszedł chiński kelner w długim, zielonym fartuchu i zaczął wyliczać specjalności dnia.

—  
Sangchi ssam... co to jest? — przerwała mu Susan.

—  
To danie inspirowane kuchnią koreańską: mocno przyprawiana wołowina i tofu, zawinięte w radicchio, przybrane miętą, z sosem chili.

Bonnie marzyła o zwykłym podwójnym cheeseburgerze z boczkiem, tym razem jednak restaurację wybrała Susan, która właśnie połykała tabletkę ibuprofenu i popijała ją wodą Evian. Nie mogę pić perriera — stwierdziła. — Za bardzo przypomina mi Clive'a.

Co u niego?

O, w dalszym ciągu jest z tą nastolatką z plastikowym biustem. Powinnaś go zobaczyć. Nie, chyba nie powinnaś. Ufarbował sobie włosy na blond i wygląda jak przybysz z kosmosu. Cóż, pewnie zawsze taki był. A co z Dukiem?

Wszystko w porządku — odparła Bonnie.

Az Rayem? Założę się, że ma już ze dwa i pół metra. W dalszym ciągu chce zostać zawodowym zapaśnikiem?

Bonnie uśmiechnęła się i pokręciła głową. Czowała się bardzo dziwnie — jakby czas przepływał

obok niej.

A jak firma? — spytała Susan, wykrzywiając się przy tym makabrycznie.

Nieźle, kręci się całkiem przyzwoicie. Jutro mamy sprzątać po naturalnej śmierci, a w piątek po dwóch samobójstwach. Ale ta naturalna też była paskudna. Facet umarł w wannie i znaleziono go dopiero po prawie dwóch miesiącach... tylko dlatego, że zaczął się rozkładać i tłuszcz zatkał rury.

Jezu, Bonnie, nie rozumiem, jak możesz coś takiego robić. Naprawdę nie mieści mi się to w głowie. Nie wiem, co bym na twoim miejscu zrobiła. Porzygałabym się. Straciłabym przytomność. Albo jedno i drugie.

Ktoś musi to robić. Policja nie chce, biuro koronera nie chce, hrabstwo też nie chce. To usługa komunalna, i tyle.

Nawet nie jestem w stanie o tym myśleć. Ten smród... kiedyś w studzience inspekcyjnej w naszym domu zdechł kojot...

Bonnie wzruszyła ramionami.

—

Trochę maści miętowej na górną wargę i nie ma problemu.

Susan wzdrygnęła się.

Kiedy jadły, zadzwonił telefon Bonnie. Dzwonił Dean Willits, przyjaciel Bernice Goodman.

Jechał właśnie samochodem Ventura Freeway, więc jego głos łamał się i zanikał.

Rozmawiałem z agentem ubezpieczeniowym pani Goodman i powiedział, że może pani brać się do sprzątania. Nazywa się Frears i mówi, że panią zna.

To świetnie, panie Willits. Zabiorę się do tego jutro po południu.

Frears ma klucze.

Bonnie wróciła do swojego dania. Włożyła do ust porcję mięsa i jedną minikukurydzą i zaczęła

żyć, ale jedzenie było zimne, tłuste i niedosmażone. Nagle stanęły jej przed oczami dziecięce łóżka z poszarpanymi, krwawymi kołdrami i nie mogła przełknąć. Poczowała mdłości i wypluła wszystko na chusteczkę.

Co się stało? — spytała Susan. — Strasznie zbladłaś...

Przypomniało mi się coś, co widziałam dziś rano. Nie będę ci o tym opowiadać, kiedy jesz.

O Boże, mów! Po co ma się przyjaciół?

Bonnie opowiedziała, jak wyglądało mieszkanie Goodma-nów. Susan słuchała i kiwała głową. To wszystko — mruknęła w końcu Bonnie. — Nie wiem, dlaczego ruszyło mnie to bardziej od wszystkich innych miejsc zbrodni, które widziałam. Może czułam to samo, co pani Goodman? No wiesz, jakby te dzieci ciągle jeszcze tam były... a przynajmniej ich dusze...

Naprawdę miałaś kontakt z ich duszami?

Nie wiem... ale coś poczułam. Jakby ktoś tam był, choć nikogo nie było. Czułam się tam naprawdę okropnie.

Miałaś kontakt z ich duszami? To wspaniałe! Wiesz, co to znaczy?

Słucham? Nie rozumiem.

To gilgul, transmigracja dusz. To, że jesteś w stanie to poczuć, świadczy o twojej wielkiej wrażliwości. Powinnaś się spotkać z moim nauczycielem kabały. Nazywa się Eitan Yar-dani. Kiedy się z nim spotkasz, poczujesz, że twoje życie się spełniło.

O czym ty mówisz?

O kabale. Wszyscy się tym zajmują. Madonna, Elisabeth Taylor. Kabała pokazuje ci, jak znaleźć odpowiedzi na pytania, które zadaje twoje wewnętrzne ja. Istnieje tylko jeden Bóg, En Sof, i jest tak nie do objęcia ludzką myślą, że kabaliści nazywają go Ayin — Nicość.

Ale kabała jest przecież żydowska, a ja jestem katoliczką.

No to co? A Madonna jest żydówką? A Elisabeth Taylor? A ja? Przy poszukiwaniu prawdy ostatecznej nie jest ważne, jaką religię się wyznaje. Kabała uczy nas, że wszystko w życiu ma znaczenie, nawet jeśli go nie dostrzegamy. Bonnie, te dzieci zginęły z jakiegoś powodu — mogłabyś spróbować dowiedzieć się z jakiego.

Chyba nie chciałabym się tego dowiedzieć.

Czułaś ich dusze, Bonnie! Czułaś ich obecność! To w stu procentach kabalistyczne. Może ty

nie chcesz się dowiedzieć, dlaczego zostały zamordowane, ale niewykluczone, że one same chciały ci to zdradzić.

Bonnie nie wiedziała, co powiedzieć. Gdyby Susan nie była jej wieloletnią przyjaciółką, pewnie rzuciłaby widelec i wyszła. Przyzwyczała się co prawda do flirtów Susan z różnymi uduchowionymi filozofiami — w zeszłym miesiącu zachwycała się dalajlamą, a wiosną sufizmem — jednak Benjamin, Rachel i Naomi zostali zamordowani niecałą dobę temu i ich śmierci nie dało się wyjaśnić za pomocą kabały, tarota ani czegokolwiek innego poza prostą, choć okrutną prawdą, że ich ojciec zwariował i dlatego je pozabijał. Koniec, kropka.

Wiesz, co powinnaś zrobić? — powiedziała w końcu. — Powinnaś któregoś razu zobaczyć, jak sprzątam. Nie uwierzyłybyś, ile w ludzkim ciele jest krwi.

Już ci mówiłam, że pewnie bym się porzygała.

Może, jednak wtedy spojrziałabyś wieczności prosto w oczy i zapomniałabyś o tej swojej kabale.

Stroisz sobie ze mnie żarty.

Nie — odparła Bonnie i odsunęła talerz. — Ale chyba nie powinnam była ci o niczym opowiadać.

W przyszłym tygodniu dobieramy obsadę do nowego filmu z Jamesem Woodsem — oświadczyła Susan. — Nie chciałabyś jakiejś roli?

Jakiej? Mam przejechać w tle ciężarówką pełną środków odkażających?

Susan rozgrzebywała na talerzu resztki sałatki z surowego tuńczyka.

Jesteś taka prawdziwa, Bonnie — mruknęła. — Zdziwiasz mnie. Naprawdę mnie zdziwiasz.

Słucham?

Nie mogę... nie wiem... chyba nie potrafię mieć do czynienia z tak dużą dawką prawdy.

Co chcesz przez to powiedzieć? Sugerujesz, że masz mnie dość? Koniec z naszą przyjaźnią?

Dlatego, że jestem prawdziwa, a ty wolisz mieć do czynienia z wrózkami z bajki?

Susan przycisnęła dłonie do blatu stołu i popatrzyła Bonnie prosto w oczy. Oddychała szybko i płytko i prychała, jakby wydobywało się z niej powietrze pod wysokim ciśnieniem.



Coś ci powiem, Bonnie... Całe lata zajęło mi szukanie odpowiedniego sposobu życia, a mówiąc „życie”, mam na myśli tworzenie, spełnienie i przemianę.

Wiem o tym, tylko nie mam pojęcia, co chcesz mi powiedzieć.

Susan otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Była tak zdenerwowana, że zaczynała hiperwentylować.

—

Chodzi o to, że ty zajmujesz się wyłącznie śmiercią — powiedziała w końcu. — Kiedy tu weszłaś, od razu to wyczułam. Nosisz śmierć ze sobą, jakbyś się w nią ubierała... jak czarną woalkę. Przykro mi, ale muszę ci powiedzieć, że mnie to przeraża i dołuje.

—

No i...? Chcesz przestać się ze mną spotykać? O to chodzi?

Susan zaczęła płakać. Machnęła ręką i wcisnęła kostki dłoni do ust.

—

Posłuchaj, Susan... jeśli nie chcesz się ze mną więcej widywać, wystarczy, że mi to powiesz. Jeżeli jestem dla ciebie ucieleśnieniem śmierci, nie zamierzam rzucać cienia na twoją duchową afirmację czy cokolwiek innego. Niech mnie Bóg broni. Albo En Sof czy kto tam.

Podszedł do nich kelner.

—

Wszystko w porządku? — spytał, patrząc na ledwie tknięte potrawy.

Susan wyjęła z maleńkiej torebki chusteczkę i wydmuchała nos. Nie patrzyła na Bonnie.

Ja zapłacę — powiedziała, podając kelnerowi platynową kartę kredytową.

Jestem śmiercią, tak? — spytała Bonnie, kiedy czekały na rachunek. — Naprawdę uważasz, że jestem śmiercią?

Przykro mi, Bonnie. Boli mnie głowa. Miałaś rację... powinnam odwołać to spotkanie.

Kiedy wstała, Bonnie złapała ją za rękaw.

—  
Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

—  
Na pewno — odparła Susan, ale Bonnie wiedziała, że to kłamstwo.

Siedziała przy stole, patrząc, jak przyjaciółka odchodzi. Widziała, jak przechodzi przez Sunset, odsuwając dłonią włosy z twarzy. Ostatnie nieruchome zdjęcie. Pozostało już tylko myślenie o wszystkich razem spędzonych dniach i wieczorach, przyjęciach i podróżach autobusem, wszystkich radościach i smutkach nastolatek. Raz się całowały — na moło w Venice Beach, przy zachodzie słońca, otoczone skrzekiem wszechobecnych mew — ponieważ się kochały.

Niestarzejącą się, wiecznie świeżą miłością, jaka rzadko zakwita między dwojgiem ludzi. Do stolika znów podszedł kelner.

Życzy pani sobie coś jeszcze?

Nie, dziękuję. Tego, czego potrzebuję, nie macie.

Zatrzymała się w drodze do domu na Hollywood Boulevard, parkując „na drugiego”, i poszła do „Super Star Grill”. Wnętrze baru składało się głównie z kafelków i chromowanej stali, było głośno, a Meatloaf ryczał Bat Out of Hell. Bonnie kupiła sobie wielkiego chili dogę z cebulą i kapustą, po czym wróciła do samochodu i zaczęła go jeść, rozrzucając kawałki bułki wokół siebie i wpatrując się w swoje odbicie we wstecznym lusterku.

Jestem ubrana w śmierć, tak? Przerazam, tak?

Skończyła chili dogę i ruszyła, czując, jak jej dłonie lepią się do kierownicy. Zanim dojechała do Vine Street, zalała się łzami.

Duke przeprasza

Kupił jej tuzin czerwonych róż, które leżały i więdły na stole w kuchni. Wszedł z podwórka do kuchni, wydmuchując resztki papierosowego dymu. Nie lubiła, kiedy palił w domu. Miał na sobie spłowiały czarny T-shirt z emblematem Harleya--Davidsona.

—

Hej, posłuchaj... przepraszam — zagał. Bonnie odstawiła torby z zakupami.

—

Za co przepraszasz? Każdy ma raz na jakiś czas gorszy dzień.

—  
To z tym kurczakiem po meksykańsku... to było...

—  
Chore? Zgadza się. Ale to było wczoraj, a dziś jest dziś i dziękuję za kwiaty. Na ile cię okantowali?

Duke wzruszył ramionami. Miał głupawy wyraz twarzy.

Nie były... dostałem je dość tanio.

Jak drogo jest „dość tanio”?

Dostałem je za darmo, może być? Bonnie wzięła kwiaty do ręki.

Dostałeś za darmo tuzin róż? Zabrałeś je z czyjegoś grobu?

Dostałem te róże od Rity z kwiaciarni. Znasz Ritę. Powiedziałem jej, co się stało, i zrobiło jej się mnie żal.

Aha, więc teraz Rita wie wszystko o kurczaku po meksykańsku. Komu jeszcze się zwierzyłeś?

Jimmy'emu z naprawy telewizorów? Karen od kosmetyczki? Mam się spodziewać, że kiedy następnym razem będę szła na targ, wszyscy będą śpiewać La CucarachaP.

Duke walnął pięścią w blat.

—  
Dlaczego zawsze musisz być tak cholernie dowcipna? Dlaczego nigdy nie wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia, nie robiąc z tego zaszranej komedii? Przyniosłem ci róże, bo chciałem przeprosić cię za to, co stało się wczoraj, nie — przyniosłem je, bo chciałem po prostu dać ci róże. No i co słyszę? „Zabrałeś je z czyjegoś grobu?”.

Bonnie ostrożnie odłożyła róże na stół. Już dawno minęła siódma i powinna jak najszybciej zabrać się za kolację.

Wczoraj o tej porze troje dzieci szykowało się do spania... — powiedziała powoli.

Co? Jakie dzieci?

Jedno miało dziewięć lat, drugie siedem, a trzecie dopiero cztery. Wiem nawet, jakie miały imiona.

No i co z tego? O czym ty do cholery gadasz? Popatrzyła na zegar.

To było wczoraj. Dziś już nie żyją.

Że co?

Bonnie podeszła do męża i objęła go mocno.

—

Przestań, nie mogę oddychać!

—

Nie musiałeś mnie przeproszać ani przynosić mi kwiatów. To moja wina. Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Za ostro zasuwasz, to wszystko. Dlaczego nie rzucisz tego sprzątanina? To niemiłe, sama przecież o tym wiesz. Przynosi trochę szmalu, ale przecież moglibyśmy sprzedać ciężarówkę.

Powiem ci coś jeszcze: znajdę robotę, dobra? Przysięgam na Boga, że coś sobie znajdę.

Nieważne co. Będę wyprowadzał ludziom psy... wszystko jedno. Przysięgam na Boga.

Nienawidzisz psów.

Są w porządku. Jestem tylko zły, że ten sznauzer wygryzł mi kawałek dupy.

Bonnie roześmiała się. Po raz pierwszy tego dnia naprawdę się roześmiała.

Następny dzień

itała nago na wadze i patrzyła na siebie w lustrze.

Wzrost: 164 centymetry. Waga docelowa: 60 kilogramów. Waga aktualna: 67 kilogramów.

Do drzwi zapukał Ray.

—  
Pospiesz się, mammo. Spóźnię się na autobus.

—  
Podwiozę cię — powiedziała. Musiała jeszcze przez kilka minut się sobie

poprzyglądać, jakby się bała, że jeśli tego nie zrobi, zniknie.

Sprzątanie

Tego dnia miała dwie dziewczyny do pomocy, Ruth i Es-meraldę. Ruth miała na sobie jaskrawoczerwony dres, włosy związała żółtą szyfonową chustką. Esmeralda była krępą, poważną Meksykanką. Wokół oczu miała czarne kręgi — jakby nie spała od miesiąca. Jak zwykle, także dziś była ubrana na czarno i miała na nogach czarne, wiązane na paski buty, które przy każdym jej kroku skrzypiały.

Najpierw zwinęły dywan z salonu. Musiały przy tym unieść kanapę, która okazała się tak ciężka, że dostały zadyszki.

—

Robię się na to za stara — stwierdziła Ruth.

—

Powinnaś uprawiać jakiś sport. Może zaczniesz chodzić razem ze mną na tai chi?

—

Nie zacznę, tak samo jak i ty nie zaczęłaś.

—

Byłam tam w zeszłym tygodniu. No, może dwa tygodnie temu. Trudno wykroić jakąś wolną chwilę. Moje życie jest takie... wypełnione.

—

Ta plama przeszła do klepki... — mruknęła Esmeralda. Bonnie podeszła bliżej i przyjrzała się podłodze. Zobaczyła,

że krew Aarona Goodmana przesiąkła przez dywan, tworząc nierówną, brązową plamę, jak z testu Rohrschacha.

—  
Nie ma problemu — powiedziała. — To dąb. Na pewno da się ją usunąć perboraksem.

Esmeralda przeżegnała się.

Chyba lepiej będzie, jak wezmę się za ścianę.

Na pewno? Jest chyba najgorsza.

Wcale nie. Biorę ścianę.

Coś się stało? — spytała Bonnie.

Boli mnie kolano. Nie mogę się za bardzo schylać.

Przeżegnałaś się...

Esmeralda popatrzyła na Bonnie tępym spojrzeniem.

—  
To tylko gest za zmarłych, nic więcej.

—  
W porządku. Ruth, ty rób podłogę, a ja zacznę pakować kołdry.

Pracowały półtorej godziny. Urządzenie do czyszczenia parą, którego używała Bonnie, syczało i parskało w sypialni, odkurzacz Ruth dudnił w salonie, a Esmeralda tarła szczotką ściany energicznymi, równymi pociągnięciami, jakby waliła w bęben.

W czasie pracy Bonnie zazwyczaj nuciła Love, ageless and evergreen, jednak w sypialni

Naomi nie potrafiła śpiewać. Nie mogła oderwać oczu od krwawych śladów na ścianie, które dziewczynka porobiła dłońmi, nie mogła się także zmusić do tego, by je zmyć. Gdyby to zrobiła, zaprzeczyłaby temu, że ostatnie chwile bólu i rozpaczyny małej w ogóle miały miejsce.

Zastanawiała się nad tym, co Naomi myślała w ostatnich chwilach o ojcu, pełzną po podłodze.

Nie mogła odsunąć od siebie myśli, że błagała go o pomoc.

Do pokoju weszła Esmeralda ze szmatą i sprejem odplamiającym.



—  
Ściana skończona — oświadczyła, po czym prysnęła na ślady rąk na ścianie i starła je.

Bonnie wyłączyła odkurzacz, który krótko zbulgotał i po chwili zamilkł.

Jeśli chcesz, możesz się zabrać za kanapę — powiedziała.

Ona chce zatrzymać tę kanapę?

Kosztowała chyba z tysiąc dolarów...

Gdyby mój mąż zabił się na naszej kanapie, nie chciałabym jej zatrzymać, nawet gdyby

kosztowała dziesięć tysięcy. Zawsze miałabym wrażenie, że siedzi na niej trup.

Mam takie wrażenie, kiedy siedzę z Dukiem przed telewizorem i zaczynają się rozgrywki międzyligowe w bejs-bolu.

W pokoju było gorąco i wilgotno, pachniało mokrą wełną. Bonnie podeszła do okna i otworzyła je szeroko. Na parapecie, w terakotowej donicy, stał duży fikus. Przesunęła go na wypadek, gdyby zawiał wiatr — wydęta zasłona mogłaby zrzucić doniczkę na podłogę. Kiedy to robiła, z któregoś liścia spadło coś czarnego. Poruszało się.

Bleee! — krzyknęła Bonnie i odskoczyła do tyłu.

Co się stało?

Jakiś robak spadł z fikusa.

Esmeralda podeszła i zajrzała do doniczki. Po pniu wspinała się tłusta, czarna gąsienica, jej ciało falowało.

—

Paskudna — mruknęła Bonnie. — Patrz, jest ich więcej. — W liściach ukrywało się jeszcze kilka gąsienic. Wszystkie bez przerwy żarły i skraje liści były ponacinane w drobne ząbki.

Esmeralda znów się przeżegnała — dwa razy.

Dlaczego ciągle się żegnasz? — spytała Bonnie.

Nienawidzę tego robactwa. To pomiot szatana.

To zwykłe gąsienice. Nic ci nie zrobią.

Czarne przynoszą nieszczęście.

Jesteś okropnie przesadna, Esmeraldo. Gorsza od Ruth. Jeśli ich nie lubisz, to przynieś

permetryn i psiknij na nie. Ale pani Goodman nie będzie chyba zachwycona, jeżeli zabijemy jej

fikusa.

Bonnie rozejrzała się po sypialni, aby się upewnić, że o niczym nie zapomniała. Łóżko Naomi było rozłożone, po południu zamierzała przyjechać jeszcze raz, by je zabrać. Pozostałe dwa łóżka również zamierzała rozebrać i zawieźć do domu dziecka American Humane Association. Ciepła bryza poruszyła firankami, które owinęły się wokół fikusa, co ponownie ściągnęło uwagę Bonnie na gąsienice. Odkąd zaczęła sprzątać, widziała wszelkie możliwe rodzaje robaków i owadów, ale jeszcze nigdy nie widziała czegoś takiego jak tutaj. Pewnie jaja były w ziemi, którą pani Goodman kupiła w kwiaciarni, i po prostu po jakimś czasie wylęły się z nich larwy.

Wróciła Esmeralda — ze środkiem owadobójczym.

—

Zaczekaj — powiedziała Bonnie. — Zachowam jedną. Może doktor Jacobson powie mi, co to za owad.

Wyjęła jednorazową plastikową rękawiczkę, dmuchnęła w nią, a potem podstawiła ten prowizoryczny woreczek pod jedną z gąsienic i potrząsnęła liściem. Gąsienica mocno się trzymała, ale kiedy Bonnie trąciła ją drugą rękawiczką, w końcu spadła. Bonnie oderwała kilka skrawków liścia i wsunęła je do rękawiczki.

—

Nie chcę, żebyś głodowała — mruknęła.

Esmeralda zmarszczyła nos.

Dlaczego chcesz ją zatrzymać?

Z ciekawości. Jestem z natury ciekawska, to wszystko.

Czarne robactwo przynosi nieszczęście — powtórzyła Esmeralda i opryskała fikusa ze wszystkich stron — tak gęstą chmurą, że Bonnie zaczęła kaszleć. Najpierw jedna gąsienica

zaczęła się wiać, potem druga i w końcu wszystkie pospadały na parapet.

Chyba sprawia ci to przyjemność — stwierdziła Bonnie.

Nie mam zamiaru udawać, że nie. — Esmeralda prysnęła preparatem na kolejną gąsienicę. —

Zdychaj, paskudo!

Bonnie wróciła do salonu. Prawie już skończyły. Z pomocą mocno umięśnionego chłopaka,

którego zwerbowały za 10 dolarów na rogu Hollywood i Highland. pocięły wykładzinę podłogową na trzy części, które dało się wynieść, i teraz już leżała na ciężarówce Bonnie.

Ściany były czyste, ale dziura po strzale pozostała. Bonnie nie zajmowała się naprawami, choć w razie potrzeby mogła polecić, kogo trzeba. Skórzana kanapa też była czysta, straciła jednak połysk. Metaliczny odór krwi zastąpił antyseptyczny zapach, podobny do tego, jaki czuć w poczekalniach dentystów. Ruth wszędzie podkurzała, nie polerowała jednak podłóg. To już nie należało do nich.

W miejscu, gdzie rozlała się krew Aarona Goodmana, widać było słaby ślad — jedynym sposobem na całkowite jego usunięcie byłoby tylko zerwanie klepki.

Bonnie obesza plamę. Nie była zadowolona.

—

To wszystko, na co nas stać?

—

Wzარło się w słoje. Jeśli spróbuję mocniejszego rozpuszczalnika, może za bardzo wybielić drewno.

Bonnie krążyła wokół plamy, nie mogąc oderwać od niej Wzroku. Nie miała pojęcia dlaczego.

Z jakiegoś powodu plama k niepokoiła — jak słowa piosenki, których nie można sobie przypomnieć, albo wyszeptane do ucha ostrzeżenie. Podejrzewała, że chodzi o kształt — plama wyglądała jak wielki kwiat albo gigantyczna ćma.

Po południu

Bonnie przyjechała do domu spocona, ze zmęczenia kręciło jej się lekko w głowie. Po uporządkowaniu mieszkania Good-manów razem z Ruth sprzątnęły jeszcze miejsce naturalnej śmierci w Westwood. Kobieta w wieku osiemdziesięciu kilku lat zmarła tam we śnie i odkryto

to dopiero po dziewięciu tygodniach. Kiedy pracowały, syn zmarłej staruszki krążył po korytarzu — gruby, blady mężczyzna w kruczoczarnej peruce, co chwila spoglądający na zegarek. Bonnie musiała się bardzo pilnować, żeby go nie spytać, dlaczego przez tyle czasu nie zadzwonił do matki.

—  
Mieszkam w Albuquerque — powiedział nagle, kiedy chowały plastikowe wiaderka.

Naprawdę? — pomyślała Bonnie z ponurą miną. Nie mają tam telefonów? W drodze do domu przyszło jej do głowy, że powinna mu była pokazać prześcieradło matki.

W salonie Duke oglądał transmisję meczu bejsbolowego. Pocałowała go w czubek głowy i natychmiast przeciągnął palcami przez włosy, żeby poprawić sobie fryzurę.

Jak minął ci dzień, skarbie? — spytała i usiadła na podłokietniku jego fotela.

Chyba dobrze. Zadzwoniłem do Vincenta w Century Plaza. Może będzie miał dla mnie robotę w barze.

Świetnie! Co będziesz robił? Mieszał drinki? Daiquiri na lodzie — już się robi! Pina colada dla pani?

Ee... pewnie będę tylko coś nosił. Bonnie znów go pocałowała.

W każdym razie to praca. Na początek.

— Jasne, na początek — mruknął i odsunął się, żeby nie zasłaniała mu ekranu.

Bonnie umyła się, przebrała w żółtą sukienkę w kwiaty i założyła korale z wielkich, żółtych kulek. Jej szczęśliwy kolor. Poszła do kuchni i wyjęła z lodówki sześć kurzych udek.

Może być smażony kurczak?

Z sosem?

Przypomniały jej się plamy na podłodze mieszkania Good-manów.

—

Tak, z sosem.

Wysypała mąkę na duży talerz i doprawiła ją solą, pieprzem i chili.

Ray jeszcze nie wrócił?

Ray? Jeszcze nie.

Mówił, że ma przyjść później?

Nic nie powiedział.

Ralph chce, żebym pojechała jutro do Pasadeny.

Do Pasadeny? Po jaką cholere?

Na promocję tuszu do rżęs.

On też oczywiście jedzie? Pan Wspaniały?

Co masz przeciwko niemu? Dlaczego zawsze jesteś zazdrosny, kiedy pojawia się Ralph?

Dlatego, że patrzy na ciebie tak, jak patrzy. Nie mów, że tego nie zauważyłaś. Jakby cię rozbierał w myślach.

Bonnie, z rękami w mące, podeszła do kuchennych drzwi.

Duke, wbij to sobie raz na zawsze do głowy: nie jestem zainteresowana Ralphem

Kosherickiem, nigdy nie interesowałam się Ralphem Kosherickiem i nigdy nie będę interesowała się Ralphem Kosherickiem.

Wymieniasz w jednym zdaniu trzy razy jego nazwisko i chcesz mi wmówić, że się nim nie interesujesz?

Bonnie popatrzyła na zegarek na rękę, a potem sprawdziła czas na zegarze w kuchni.

Ray się spóźnia. Mógłby zadzwonić.

Widać to w jego oczach. Jak rozpina ci stanik, a potem ściąga zębami majtki.

Zamknij się, Duke. Nie jestem w nastroju.

Ray nie wrócił na kolację, zjedli więc w salonie — tak jak jadali zaraz po ślubie, oglądając



telewizję.

—

Dobre — wymamrotał Duke, nie odrywając wzroku od ekranu.

Kiedy skończyli, Bonnie zniosła puste talerze do kuchni i wyjęła z lodówki ciasto czekoladowe. Odkroiła dla Duke'a gruby plaster i nieco mniejszy dla siebie. Wsadziła niemal cały kawałek do ust i jadła go, strząsając jednocześnie z talerzy kurze kości do wiadra pod zlewem. Kiedy przełknęła resztę ciasta, wytarła usta i wróciła do salonu.

—

Nie jesz deseru? — spytał Duke.

—

Żartujesz sobie? Sam widok to trzysta trzydzieści kalorii. Duke wzruszył ramionami i odgryzł duży kęs ciasta.

—

Widzisz tego faceta? — spytał, wskazując na telewizor. — Zjadł całego volkswagena.

—

Dlaczego?

—

Skąd mam to wiedzieć? A dlaczego ludzie jedzą ciasto czekoladowe?

Bonnie nie odpowiedziała, choć doskonale wiedziała, dlaczego je ciasto czekoladowe.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, spała głęboko. Natychmiast jednak usiadła na łóżku i zaczęła słuchać — nie wiedziała, czy był to sen, czy jawa. Po chwili dzwonek zadzwonił ponownie. Trąciła Duke'a łokciem i syknęła:

Duke! Duke, obudź się! Ktoś dzwoni do drzwi! Duke skrzeknął jak żaba, ale po chwili uniósł się na łokciu.

Co? Która godzina?

Dwadzieścia pięć po trzeciej.

Co, do jasnej...

Bonnie wstała, zdjęła szlafrok z drzwi i wyszła na korytarz. Kiedy ujrzała za oknami czerwone, migoczące światło, od razu wiedziała, że coś jest nie tak.

—  
Duke, to policja! — zawołała i pobiegła do frontowych drzwi.

Na zewnątrz stało dwóch policjantów — Latynos z małym wąsikiem i Murzyn.

—  
Pani Winter? — spytał Murzyn i poświecił jej w twarz latarką.

—  
Co się stało?! Chodzi o Raya, tak? Co mu się stało?!

—  
Nic mu nie jest, pani Winter. Został ranny, ale nic mu nie będzie. Jest w szpitalu i jeśli chce się pani z nim zobaczyć, możemy panią do niego zawieźć.

—  
Ranny...? Co to znaczy?

W tym momencie w drzwiach pojawił się Duke — w krótkim różowym szlafroku i czarnych podkolanówkach.

Co tu się dzieje? — spytał.

Pan Winter? Pański syn został ranny. Jest w szpitalu.

Co się stało? Miał wypadek samochodowy? Dzieciak nie umie przecież prowadzić!

Nie, proszę pana. Wygląda na to, że uczestniczył w konfrontacji etnicznej.

Duke przycisnął dwa palce do skroni, jakby nie za bardzo pojmował, o co chodzi.

Konfrontacji etnicznej...? Co to znaczy? Mówi pan o rozruchach na tle rasowym?

Nie o rozruchach, panie Winter, choć doszło do napadu na tle rasowym.

Ilu ich było?

Słucham?

—

Właśnie powiedział pan, że mój syn został ofiarą napadu na tle rasowym. Pytam więc, ilu ich było.

—

W sumie około siedemnastu. Pański syn nie...

Siedemnastu?! Siedemnastu czarnych rzuciło się na jednego białego? Jezus, Maria!

Panie Winter, pański syn nie został zaatakowany przez siedemnastu ludzi. Pański syn uczestniczył w bójce, w której brało udział przynajmniej siedemnaście osób. Jedenastu białych i sześciu Latynosów. Nie było Afroamerykanów. Wszyscy odnieśli rany — od ciężkich ran kłutych po poważne stłuczenia. Jeden może stracić oko. Trzech uczestników — w tym także syn państwa — jest jeszcze w szpitalu.

Ray walczył z Latynosami? — spytała z niedowierzaniem Bonnie.

Policjant wyjął notes i otworzył go.

Jedenastu białych chłopców weszło do baru „X-cat-ik Pool Bar” w centrum i doszło do bójki.

Zarekwirowaliśmy trzy noże, maczetę i kij bejsbolowy. Niestety żaden z klientów baru nie chciał przyznać, że cokolwiek widział, nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że atak miał podłoże rasowe.

To niemożliwe, pewnie to jakaś pomyłka — powiedziała Bonnie. — Ray nigdy by się w coś takiego nie wplątał.

Przekazuję jedynie fakty, pani Winter.

Duke znów zaczął pokrzykiwać, ale Bonnie położyła mu dłoń na ramieniu i uspokoił się.

—

Proszę mi powiedzieć, gdzie on jest — poprosiła policjantów. — Trafimy sami.

Młody bohater

Ray leżał w brzydkim, zielonym pokoju na końcu długiego korytarza, w którym wszystko odbijało się echem. Jedna ze świetlówek bez przerwy migotała i buczała jak rój pszczół.

Miał głowę owiniętą bandażem, opatrunek sięgał mu pod samą brodę. Jedną rękę miał w gipsie, z którego wystawały tylko ciemnoczerwone czubki palców. Jego opuchnięte oczy przypominały żółtoczerwone śliwki, a wargi miał spuchnięte i czerwone — wyglądały, jakby

były z gumy.

Lekarz, Chińczyk o palcach żółtych od nikotyny, badał mu ciśnienie.

Państwo jesteście rodzicami? Bonnie skinęła głową i obesła łóżko.

Ray, co ci się stało, kochanie?

Złamanie nadgarstka, liczne stłuczenia i obtarcia, trzy pęknięte żebra, odprysk kości na kostce, dwa złamane palce u stóp i lekki wstrząs mózgu — powiedział obojętnym tonem lekarz. —

Mogło być gorzej.

Mogło być gorzej...? — powtórzył z niedowierzaniem Duke.

Oczywiście. Został kilka razy kopnięty w brzuch. Mogła mu pęknąć śledziona. Ktoś kopnął go też w głowę, tuż za prawym uchem. Przez kilka dni będzie miał tam niezłą śliwę.

Bonnie usiadła i wzięła syna za zdrową rękę.

—

Ray, co ty wyprawiałeś? Chyba nie jesteś w gangu? zekałam na ciebie z kolacją.

Duke nie odzywał się, stał bez słowa z mocno splecionymi na piersi ramionami i miał zamyśloną miną, którą przybierał wtedy, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

—

Przepraszam, mamó — wycharczał Ray. — Nie sądziliśmy, że to się tak skończy.

Ale co ci strzeliło do głowy, żeby iść do tego baru?

Tam kręcą się wszystkie meksykańskie dzieciaki.

—

No to co? Co ci zrobili? Na Boga, Ray, policja mówi, że mieliście noże i kije bejsbolowe.

m— To byli Meksykanie, mamó.

—  
No dobrze, to byli Meksykanie. I co z tego? Nie rozumiem. Dlaczego musieliście tam  
iść i zacząć się z nimi bić?

—  
Za to, co zrobili, mamó.

—  
Musisz mi wybaczyć głupotę, ale w dalszym ciągu nic nie rozumiem.

Za to, co zrobili, mamó. Za to, że przyszli, zabrali Amerykanom pracę i wylecieliśmy przez  
nich na bruk.

Poszedłeś pobić jakiegoś Meksykanina, którego nawet nie znasz, dlatego że jakiś inny  
Meksykanin odebrał twojemu ojcu pracę?

Tak. — Ray zakaszał i jęknął z bólu. — Popatrz, co wam zrobiono, mamó, wam obojgu. Tata  
jest wypalony w środku, a ty musisz sprzątać trupy, by zarobić na życie. I stale się kłócicie, a  
wszystko przez jakiegoś meksa!

Bonnie pokręciła głową.

—  
Co cię napadło?! Mogłeś kogoś zabić i spędzić resztę życia w więzieniu! Albo ktoś  
mógł zabić ciebie! Popatrz tylko, jak wyglądasz! Mało brakowało, a by im się udało! —

Wstała. Trzęsła się z wściekłości. — Jesteś moim synem, Ray. Moim jedynym synem.

Wychowałam cię po to, abyś robił to, co należy. Twój ojciec stracił pracę, co prawdopodobnie  
było niezgodne z prawem, ale to jeszcze nie powód, byś rzucał się na Meksykanów jak jakiś  
nazista. Ostrzegam cię... Mój syn nie będzie się tak zachowywał!

Duke ujął ją za ramię i próbował uspokoić.

Daj spokój, Bonnie. Nie uważasz, że został wystarczająco ukarany?

Że co? Twój syn wyszedł z domu uzbrojony w nóż i kij bejsbolowy i z rozmysłem zaatakował niewinnych ludzi!

Hej, hej, momencik. Mówisz: „niewinnych”... skąd jesteś tego taka pewna? Ci Meksykanie pracują na czarno, nie płacą podatków, handlują narkotykami, zajmują się przemytem. Większość z nich sprzedałaby nawet własną siostrę. Jak możesz mówić, że są niewinni? A poza tym skąd wiesz, kto pierwszy zaatakował?

Bonnie odwróciła się do męża i wbiła w niego wzrok.

Słucham? Co powiedziałaś?

Musisz być sprawiedliwa, skarbie. Nie możesz drzeć się na dzieciaka, nie znając wszystkich



szczegółów.

Sprawiedliwa? No tak, rozumiem, o co tu chodzi. Jesteś z niego dumny, prawda? Po prostu dumny. Uważasz, że jest jakimś bohaterem. Nie sądziłeś, że kiedykolwiek stanie po twojej stronie, ale teraz to zrobił i jesteś dumny jak cholera!

—  
Bonnie, daj spokój...

—  
To ty mi daj spokój, Duke. Idę do domu. Nie zamierzam tu siedzieć i słuchać tego zakłamanego pieprzenia. Ray, czy policja już z tobą rozmawiała?

Chłopiec zaprzeczył.

—  
To nikomu nic nie mów. Ani policji, ani lekarzom — nikomu ani słowa. Miałam jechać jutro do Pasadeny, ale odwołam to. Masz nikomu nie pisnąć ani słówka — zrozumiałeś? I nie zapomnij powiedzieć pielęgniarce, że masz alergię na brokuły.

Ray odwrócił głowę. Bonnie widziała, że jeszcze nie jest gotów przeprosić. Ojciec mruknął do niego coś niezrozumiałego i klepnął go w ramię, po czym wyszedł za Bonnie. Szli korytarzem, w którym każdy dźwięk odbijał się zwielokrotnionym echem.

—  
Jezu, Bonnie — powiedział Duke, kiedy wsiedli do windy. — Na tym zbudowano Amerykę... na walce o to, w co się wierzy. Nie ma już tego. Wszędzie są jakieś mniejszości. Dave Guthrie stracił pracę w piekarni i zastąpił go jakiś ita-lianiec. Niedługo meksy zaczną przychodzić do naszych domów i zabierać nam meble.

—

Wystarczy, Duke. Mam dość jak na jeden wieczór.

Co powiedział Ralph

—

Jeśli nie pojedziesz do Pasadeny, będę musiał znaleźć kogoś bardziej solidnego.

Słyszysz, co mówię?

—

Chcesz powiedzieć, że mnie wywalisz?

Potrzebuję kogoś, na kogo mogę liczyć, Bonnie. Na sto procent.

Ralph, czy ty nie masz serca? Ray jest ciężko pobity, a policja może go oskarżyć o napaść z bronią w ręku.

Rozumiem to, Bonnie, naprawdę rozumiem, ale ten wyjazd może dla nas oznaczać być albo nie być.

Nie mogę, Ralph. Jeśli uważasz, że musisz mnie wywalić, to mnie wywal. Moja rodzina jest na pierwszym miejscu.

Ralph milczał przez chwilę.

—

Jestem bardzo rozczarowany, Bonnie — powiedział w końcu. — Nawet nie wiesz jak bardzo.

Co wzięła do szpitala

Zanim pojechała do Raya do szpitala, zatrzymała się przy minimarkecie i kupiła:  
trzy brzoskwinie,

wielką butlę Doktora Peppera,

chipsy Rainbow Deluxe,

szczoteczkę do zębów Colgate z ruchomą główką, tubkę pasty do zębów Arm & Hammer,

opakowanie miętowych kleenexów, Kompendium opery mydlanej.

Władca much

Spędziła niemal godzinę przy łóżku Raya. Jego twarz była w dalszym ciągu opuchnięta, a siniaki zrobiły się purpurowe, ale ogólny stan wyraźnie się poprawiał i Ray był znacznie

bardziej ożywiony.

Oglądał telewizję, a Bonnie dzwoniła na policję, próbując się dowiedzieć, których funkcjonariuszy wezwano do „X-cat-ik Pool Bar” i czy kogoś oskarża.

—

Mógłbyś ściszyć? — spytała Raya, wciskając palec w ucho.

—

Co?

—

Ścisz. Głos. Próbuję wyciągnąć cię z szamba. Wreszcie — kiedy telefon zaczął pokazywać DOŁADUJ

BATERIĘ — udało jej się przebić do kapitana O'Hagana.

Kapitan odpowiadał jedynie monosylabowymi „mhm-hmmh”, „zgadza się” i „aha”, w końcu jednak powiedział:

Bonnie, nic ci nie mogę obiecać, ale rzucę okiem na papiery i zobaczę, czy da się z nich zrobić latawiec.

Jestem twoją dłużniczką, Dermot.

Jeszcze nie. Jeśli jednak nią zostaniesz, możesz się założyć o swój słodki tyłek, że odbiorę dług.

Bonnie wyłączyła telefon i odwróciła się do syna.

To by było na tyle, Ray. Masz szansę.

Dzięki, mamó. Wielkie. Tata przyjdzie?

Powiedział, że tak, ale rano miał iść na rozmowę kwalifikacyjną. Ma dostać robotę w barze, w Century Plaża.

Żartujesz.

Bonnie uśmiechnęła się, wstała i przez chwilę patrzyła na zagapionego w ekran telewizora syna. Człowiek sądzi, że zna swoje dzieci, pomyślała. Wydaje mu się, że są takie same jak on. Ray był jednak tak samo Duke'a. I był znacznie bardziej podobny do Duke'a, niż sądziła. Pocałowała go delikatnie w policzek i wyszła. Nie odezwał się, nawet nie powiedział „do widzenia”.

Pojechała do UCLA. Powietrze było już rozgrzane, więc otworzyła wszystkie okna. Kiedy stanęła na światłach, na skrzyżowaniu Wilshire i Beverly Glen, obok niej zatrzymał się złoty kabriolet, mercedes. Za kierownicą siedział mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce, w ciemnych okularach i z przypaloną słońcem łysiną.

—

Halo, skarbie! — zawołał. — Jesteś zagrożeniem dla ruchu drogowego, wiesz o tym?

Odwróciła głowę w drugą stronę. Wiedziała, że z drzwi jej electry wystaje kawał listwy, a po każdym naciśnięciu pedału

gazu z rury wydechowej bucha kłęb czarnego dymu, jednak poza tym samochód sprawował się całkiem nieźle.

Ponieważ nie odpowiadała, mężczyzna pochylił się w jej stronę i krzyknął:

— Wiesz dlaczego? Bo nie mogę oderwać od ciebie oczu — dlatego!

Kiedy światła zmieniły się na zielone, ruszył z piskiem opon i ogłuszającym rykiem silnika, co jeszcze bardziej zdenerwowało Bonnie. Przez chwilę jechał obok niej, szczerząc nienaturalnie białe zęby, ale tuż przed skrętem do UCLA nacisnął na klakson i skręcił w kierunku Bel Air.

Gdy zniknął, Bonnie popatrzyła we wsteczne lusterko. Kobieta, która na nią stamtąd popatrzyła, była jeszcze bardziej obca niż Ray.

Laboratorium doktora Jacobsona znajdowało się w drewnianym budynku, stojącym za głównym kompleksem naukowym. Bonnie zaparkowała pod samym budynkiem. Kiedy wchodziła po schodach, z rosnącego nieopodal drzewa dolatywało żalosne zawodzenie gołębia, który stracił partnera. Mała tabliczka przy wejściu informowała: WYDZIAŁ ENTOMOLOGII.

Bonnie musiała przebić się przez trzy pary podwójnych drzwi z gęstą siatką, które automatycznie się za nią zamykały. W laboratorium było nieprzyjemnie wilgotno i pachniało gnijącą roślinnością. Półki na ścianach były zastawione szklanymi wiwariami z owadami — patyczakami, modliszkami, szarańczą i grubymi, białymi larwami — a także dziesiątkami skrzynek z martwymi motylami i ćmami. Obok nich wisały wykresy, ukazujące poszczególne stadia życiowe owadów, oraz powiększenia much i larw.

Nad stołem na środku laboratorium pochylała się młoda dziewczyna z bardzo długimi czarnymi włosami, w wielkich, okrągłych okularach. Trzymała w dłoni pipetę i ostrożnie wkraplała jakiś płyn do kartonowego pudła. Bonnie podeszła do niej i zajrzała do pudła — natychmiast jednak tego pożałowała. W kartonie siedział najszkaradniejszy i największy pająk, jakiego widziała w

życiu. Cały się trząsał, jakby zamierzał za chwilę zaatakować.

—

Jak to paskudztwo się nazywa? — spytała Bonnie.

.— Chelsea — odparła dziewczyna, nie podnosząc głowy.

Dość niezwykła nazwa jak na pająka.

Czy ja wiem? Jest bardziej osobista niż Aphonopelma.

Jest doktor Jacobson? Miałam się z nim spotkać o wpół do jedenastej, ale nie zdążyłam.

Jest w głębi budynku. Prosto i do końca.

Howard Jacobson siedział przed komputerem w niewielkim, rozświetlonym słonecznym światłem gabinecie i energicznie walił w klawisze. Był wysoki, kanciasty, miał wyłupiaste błękitne oczy i rozczochrane czarne włosy. Kiedy ujrzał Bonnie, poderwał się z fotela.

Bon-niii! Wchodź! Jak to miło znów cię widzieć! Chcesz kawy?

Chętnie.

Jak się czuje moja ulubiona czyścicielka miejsc, które nawiedziła śmierć? Nie widzieliśmy się od tej historii z siekierą, zgadza się? Jezu — ta krew! Te wnętrzności! Fuj! Nie wiem, jak mogłaś to posprzątać i nie zwymiotować.

Bonnie zdjęła z krzesła stertę wydruków komputerowych, usiadła i zasłoniła oczy dłońmi.

Wszystko gra? — spytał Howard.

Miałam trochę problemów w domu. Mój syn jest w szpitalu. Nic groźnego, ale i nic miłego.

Grypa?

Bójka.

To okropne. Ale chłopcy to chłopcy, prawda? Kiedy byłem młody, stale wdawałem się w bójki.

Kumple wołali na niego Chłopak od Robali, siadali mi na głowie i pierdzieli Prosto w ucho.

Dziwne,

że

nie

ogłuchłem.

—

Straciłam też pracę w Glamoreksie. Choć może i nie. Okaze się.

Howard podał jej kubek z kawą. Był na nim napis: NIGDY NIE ZADAWAJ SOBIE PYTAŃ,

30

NA KTÓRE NIE ZNASZ ODPOWIEDZI.

Nie przeszkadzam? — spytała Bonnie.

Oczywiście, że nie. Redaguję tylko mój ostatni artykuł. Nowe techniki określania chwili śmierci na podstawie stadium rozwoju larw Sarcophagidae. Najpierw przeczytaj, potem idź na obiad. Jeśli się odchudzasz, to idealna metoda. Masz dużo pracy?

Sporo. Ludzie bez przerwy się mordują. Ktoś musi po nich sprzątać.

Powiedziałaś prze telefon, że masz dla mnie coś ciekawego.

Nie wiem. Może to nic ważnego ani ciekawego, ale jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

Podła Howardowi brązową papierową torbę. Odsunął na bok klawiaturę i ostrożnie wysypał zawartość torby na biurko — kawałki liści fikusa i czarną gąsienicę, którą Bonnie znalazła w mieszkaniu Goodmanów. Gąsienica zaczęła powoli pełznąć po kartce papieru milimetrowego.

Howard pochylił się i obejrzał ją z bliska. Po chwili wyjął z szuflady biurka okulary, wsadził je sobie na nos i jeszcze bliżej przysunął głowę do gąsienicy.

Mało brakowało, a nie przyniosłabym jej... no wiesz, mając Raya w szpitalu i tak dalej...

Pomyślałam jednak, że może zdechnąć, i przyjechałam.

Cieszę się, że ją przyniosłaś. Mówisz, że gdzie ją znalazłaś?



Na fikusie. Było sześć, może siedem sztuk. Musiałeś widzieć w telewizji reportaż o strzelaniu przy De Longpre, gdzie ojciec zastrzelił trójkę własnych dzieci, a potem odstrzelił sobie głowę.

Fikus stał na parapecie w jednej z sypialni dzieciaków.

Howard popchnął gąsienicę palcem, by nie wpełzła mu pod komputer.

— Dość osobliwy z ciebie gość... — mruknął.

—

Nie wiem, czy ma to jakikolwiek związek z tym, co się stało, ale kilka dni wcześniej znalazłam podobne gąsienice w miejscu innego zabójstwa i pomyślałam sobie... no wiesz... że to dziwne.

—

Nie wzięłaś żadnej stamtąd? Bonnie pokręciła głową.

Nawet nie wiem, czy były takie same. Ale za drugim razem wydało mi się to trochę... dziwne.

To jest dziwne, Bonnie. Bardzo dziwne. Ten okaz wygląda mi na gąsienicę Parnassius mnemosyne, niepylaka mne-mozynę. To duży motyl z białymi, pożyłkowanymi skrzydłami i czarnymi plamkami. Całkowicie ciemno ubarwione są tylko samice... u samców skrzydła stają się z wiekiem niemal przezroczyste. Osobliwe w tym wszystkim jest to, że motyl ten występuje jedynie w dwóch miejscach na świecie: na górskich pastwiskach zachodniej Europy i na wzgórzach regionu Chi-chimec na północy Meksyku. Nikt nie wie dokładnie, dlaczego ten gatunek występuje w tak odległych od siebie miejscach, nie ma jednak najmniejszej wątpliwości, że chodzi o tego samego motyla. Jeśli chcesz zobaczyć, mam kilka egzemplarzy. Dziękuję, nie trzeba. Powiedz mi tylko, dlaczego ta gąsienica pojawia się w miejscach, w których ktoś zginął.

Nie mam pojęcia. Niepylak mnemozyna ma co prawda ponurą opinię wśród Azteków, ale to tylko przesady, nic naukowego.

—  
Co to za opinia?

Howard Jacobson zmarszczył czoło.

Chyba nie sądzisz, że ta gąsienica ma cokolwiek wspólnego ze zbrodnią?

Nie wiem. Nie jestem pewna. Chodzi o to, że to, co się stało, było tak straszne... nie mogę pojąć, dlaczego kochający ojciec w tak bestialski sposób pozabijał swoje dzieci.

Nie jestem psychologiem, ale chłopakiem od robali. Tyle że nikt mi już nie siada na głowie i nie pierdzi w ucho.

31

Mam stypendium z MidWest Foods i stać mnie było na kupno ferrari.

Jaką mają opinię?

To tylko legenda, Bonnie, zapomnijmy o tym.

Jaką mają opinię?

Jak chcesz... Aztekowie uważali, że niepylak mnemozyna jest dzienną postacią bogini-matki Itzpapalotl, jednego z najbardziej przerażających azteckich demonów. Według legendy była połączeniem owada i potwora. Miała ponoć motyle skrzydła, naszpikowane na brzegach nożami z obsydianu, a jej język był rytualnym nożem. Czasami nosiła magiczny strój — naualli, coś w rodzaju peleryny, która pozwalała jej przemieniać się w niewinnie wyglądającego motyla. Była patronką czarownic i odprawiano na jej cześć okropne rytuały, podczas których składano ofiary z ludzi. Rządziła trzynastoma symbolami nieszczęścia w azteckim kalendarzu. Latała po miastach i lasach na czele armii zmarłych czarownic, które powróciły z zaświatów pod postacią motyli.

I co? Co robiła?

—

Doprowadzała ludzi do szaleństwa i sprawiała, że zabijali tych, których najbardziej kochali.

Bonnie wpatrywała się w swoją kawę, jakby nie wiedziała, co trzyma w ręku.

—  
Ciasteczko? — spytał Howard. — Mam wspaniałe herbatniki z orzechami pekanowymi.

Dzicy i krnąbrni

O wpół do dwunastej pojechała na Lincoln Boulevard w Santa Monica, aby wycenić sprzątanie po samobójstwie. Miała pod domem spotkać się z adwokatem rodziny, jednak kiedy parkowała, zadzwonił, że trochę się spóźni. Jego głos brzmiał, jakby miał nos zaciśnięty spinką, jakich używają pływacy.

—  
Spóźni się pan? Ile?

—  
Powiniennem być na miejscu za dwadzieścia minut.

—  
W porządku, ale jeśli minie dwadzieścia jeden minut, nie będzie mnie — odparła

Bonnie. — Nie będzie mnie też, jeśli minie dwadzieścia i pół minuty.

Siedziała w samochodzie, słuchała muzyki country i stukała palcami w kierownicę.

Zastanawiała się, czy nie odwiedzić matki. Choć jeździła do niej dwa razy w tygodniu, zawsze czuła się wobec niej winna. Miała wrażenie, że między nią a matką zawisło jakieś pytanie, na które nie było odpowiedzi — ale problem polegał na tym, że Bonnie nie miała pojęcia, jak to pytanie brzmi. Ich wzajemne relacje przypominały krzyżówkę, z której usunięto cyferki oznaczające początki haseł.

Wystukała numer matki, kiedy jednak usłyszała „Halo?“, przerwała połączenie. Uznała, że lepiej będzie pojechać do niej bez zapowiedzi. Nie — jeszcze lepiej będzie wcale do niej nie jechać. Nie, to zły pomysł. Musiała do niej pojechać.

Piętrowy dom, w którym zostało popełnione samobójstwo, stał na rogu kwartału budynków. Biała farba elewacji mocno się już łuszczyła. Jedną jego stronę spowijał głębokim cieniem wysoki cedr — panował tam ponury mrok. Zaniebany trawnik, częściowo pozrywane zasłony w oknach i leżący na boku tuż przy frontowym wejściu wózek z supermarketu potęgowały jeszcze przygnębiające wrażenie, jakie robił dom.

Dwa okna na piętrze zabito deskami, a tuż nad oknem po lewej stronie widać było ślad spalenizny, wijący się jak falująca na wietrze czarna chusta. Bonnie nie знаła wszystkich szczegółów, porucznik Munoz powiedział jej tylko, że mieszkająca tu czterdziestosiedmioletnia wdowa miała romans ze swoim piętnastoletnim bratankiem. Kiedy ojciec chłopaka się o tym dowiedział, zagroził jej oskarżeniem o seksualne molestowanie nieletnich. Wieczorem kobieta i jej młodociany kochanek położyli się na łóżku, oblali piętnastoma litrami benzyny, opletli się ramionami i podpalili.

W paleniu się żywcem nie ma ani śladu romantyzmu — jest tylko straszliwy ból. Chłopak wyskoczył z łóżka, krzycząc zaczął biegać po pokoju i zapalił zasłony w oknach. Potem zbiegł na dół i próbował wydostać się na ulicę, ale palce miał tak popalone, że nie był w stanie zdjąć łańcucha w drzwiach i przekręcić gałki. Kiedy strażacy go znaleźli, stał oparty o drzwi, przyklejony do farby jak szczerząca się w uśmiechu, wysuszona małpka. Ciało kobiety tak dokładnie się spaliło, że nie dało się określić, co jest popiołem z materaca, a co ludzkimi resztkami. Urna, w której umieszczono jej prochy, zawierała także resztki produktu firmy Sealy.

Bonnie popatrzyła na zegarek. Jeśli adwokat nie pojawi się za cztery minuty — odjedzie. Była

półprzytomna z gorąca i tak głodna, że czuła mdłości.

Właśnie uruchomiła silnik, kiedy na ulicy pojawił się czerwony kabriolet porsche. Wsiadł z niego wysoki, opalony mężczyzna w kremowej koszulce polo i białych szortach do tenisa. Pod pachą niósł dwie rakiety. Miał jasne, krótko ostrzyżone włosy, lustrzane okulary przeciwsłoneczne na nosie i silną szczękę z dołeczkiem w brodzie. Kogoś Bonnie przypominał, ale nie mogła sobie przypomnieć kogo.

Ruszył w kierunku domu, po chwili jednak zatrzymał się, uniósł okulary i, marszcząc czoło, popatrzył na Bonnie. Przeszedł przez ulicę.

Przepraszam panią, czy mogę w czymś pomóc?

Nie, dziękuję.

Położył dłoń na odsuniętej bocznej szybie. Miał mocno opalone ramię pokryte drobnymi, złotymi włoskami, na nadgarstku błyszczał złoty rolex.

—  
Wie pani, co tu się stało? — zapytał.

Bonnie była stuprocentowo pewna, że gdzieś go już widziała — ale gdzie? Opuściła wzrok, stwierdziła jednak, że wpatruje się w jego muskularne, opalone uda i wybrzuszenie w białych, starannie wyprasowanych szortach. Natychmiast znów podniosła głowę i popatrzyła na swoje odbicie w lustrzanych okularach. Były tam dwie Bonnie — obie otyłe, obie zniekształcone, obie spocone.

—  
Wiem — odparła.

Cóż, sporo ludzi tu przyjeżdżało, żeby sobie popatrzeć, wysiadali z samochodów, zaglądali do okien i robili sobie zdjęcia na trawniku przed domem. Jedna rodzina nawet urządziła tu piknik. Może pani w to uwierzyć? Jedli zimne pieczone kurze nóżki.

Myśli pan, że ja też właśnie po to tu przyjechałam? Żeby się podniecać?

Mówię tylko pani, że to, co się tutaj wydarzyło, było dla wielu ludzi straszną tragedią i chcielibyśmy, by podchodzono do niej z szacunkiem.

—  
Rozumiem.

—  
Tak więc... — machnął energicznie ręką — ...jeśli zechciałaby pani stąd odjechać...

Bonnie nagle przypomniała sobie, skąd zna tego człowieka.

Kyle Lennox... — sapnęła. — To pan! Kyle Lennox, prawda? Z Dzikich i krnąbrnych\*.

Zgadza się, jestem Kyle Lennox z Dzikich i krnąbrnych, ale to nic nie zmienia. Mieszkam tutaj i zarówno mnie, jak i moim sąsiadom robi się niedobrze na widok takich ludzi jak pani, przyglądających się z ciekawością temu domowi. Znałem panią Marrin. Była moją przyjaciółką. Znałem też jej bratanka. Na co pani czeka? Na powtórkę?

Nie, nie. — Bonnie sięgnęła do schowka i wyjęła wizytówkę. — Jestem tu z innego powodu, panie Lennox. Czekam na adwokata rodziny, by przedstawić mu kosztorys sprzątnięcia domu.

Kyle Lennox ponownie przesunął okulary na czoło i przyjrzał się wizytówce. Bonnie jeszcze nigdy nie widziała tak jasnoblękitnych oczu. Zawsze, kiedy oglądała go w telewizji, uważała, że jest przystojny, ale mieć go przed sobą na żywo... Z całej siły powstrzymywała się, by nie patrzeć na jego szorty.

—  
Przepraszam — powiedział po chwili Kyle. — Przykro mi. Nie wiedziałem...

Nic się nie stało. Jeśli ktoś umiera w taki sposób, nic dziwnego, że sąsiedzi robią się nieco nadwrażliwi.

Mimo wszystko jeszcze raz przepraszam. Niepotrzebnie oskarżyłem panią o podglądactwo.

Naprawdę nie ma problemu. Nietrudno było się pomylić.

Nawet nie wiedziałem, że istnieją specjaliści ludzie... wie pani... specjalne firmy, które zajmują się sprząaniem po czymś takim. Nie robi tego policja?

Nie mają odpowiednich specjalistów ani doświadczenia. Do usunięcia śladów gwałtownej śmierci nie wystarczą wiadra i szczotki.

Boże... nie miałem pojęcia. Pewnie widuje pani dość okropne rzeczy.

Czasami. Zwykle jednak tylko plamy.

Boże! W ilu podobnych miejscach jest pani w tygodniu?

W czterech, czasem więcej. Ludzie stale wykańczają się nawzajem.

—

Boże! Jakie było najgorsze miejsce, które pani widziała? Bonnie wskazała na wizytówkę.

Mógłby mi pan dać swój autograf? Uwielbiam Dzikich i krnąbrnych. Proszę napisać: „Dla Duke'a”, to mój mąż. Też uwielbia ten serial. Ogląda go z jeszcze większym nabożeństwem niż ja.

Nie ma sprawy. Ma pani coś do pisania?

Bonnie wzięła z deski rozdzielczej obgryziony długopis i podała go Kyle'owi. Złożył na wizytówce zamaszty autograf.

Proszę bardzo. „Dla Duke'a... Ty też możesz być dziki i krnąbrny...”.

O tak, potrafi być krnąbrny. Co do dzikości nie jestem pewna.

Na ulicy pojawił się zielony coupe de ville, z którego wysiadł niski, ryży mężczyzna. Włożył popielatą sportową marynarkę, popatrzył na Bonnie i uniósł rękę w pozdrowieniu.

—

To adwokat rodziny? — spytał Kyle Lennox.

—  
Tak sędzę — odparła Bonnie i wysiadła z samochodu.

—  
Wobec tego chyba już sobie pójdę. Miło było panią poznać, Bonnie... i jeszcze raz przepraszam za nieporozumienie. Mam nadzieję, że mi pani wybaczy.

Bonnie uśmiechnęła się.

—  
Naprawdę nic się nie stało.

Dopiero kiedy stanęła obok Kyle'a, zobaczyła, jaki jest wysoki. Pachniał opalenizną, młodością, siłą i płynem po goleniu firmy Hugo Boss. Wybaczyć mu? Wybaczyłaby mu nawet wtedy, gdyby publicznie oświadczył, że jest czarownicą, zamieniającą mleko matek w ocet, i sypia z szatanem.

Patrzyła, jak przechodzi przez ulicę. Bardzo podobał jej się jego lekko kołyszący się, sprężysty krok — efekt sprawności fizycznej i drogich butów do tenisa. Podszedł do niej adwokat.

Czy to nie...

To on. Właśnie dał mi autograf.

—  
Żona dostanie spazmów, kiedy jej powiem. Jestem Dudley Freeberg. Freeberg, Treagus i Wolp.

—  
Miło mi pana poznać, panie Freeberg.

—  
Z wzajemnością — odparł Dudley Freeberg i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Proch do prochu



Tak jak wszystkie miejsca, w których ktoś zginął gwałtowną śmiercią, w domu Marrinów było nienaturalnie cicho — jakby wszystko w środku wstrzymało oddech z przerażenia.

Jednak tym, co najsilniej zaatakowało zmysły Bonnie, był smród spalonego dywanu. Kiedy weszła z Dudleyem Freebergiem do holu, ich nozdrza wypełnił duszący odór benzyny, zmieszany z charakterystycznym zapachem spalonej wełny. Poczuli także odór zwęglonego mięsa — taki, jaki powstaje, gdy kawałek hamburgera przylepi się do rusztu i spala na węgiel. Dudley Freeberg zajrzał za drzwi frontowe, po czym bardzo ostrożnie je zamknął. Farba od wewnętrznej strony spęczniała w pęcherze i zbrązowiała, a do samego sufitu ciągnął się ślad sadzy. Z górnej części drzwi zwisały pasma pokurczonej z gorąca ludzkiej tkanki, a centralny panel był wachlarzowato podrapany, podziobany czymś prostokątnym — jakby ktoś próbował zdrapać farbę.

—

Skóra — powiedziała Bonnie, wskazując na zwisające z drzwi pasma.

Dudley Freeberg zdjął okulary i przyjrzał się im.

Skóra...? — Jego jabłko Adama poruszyło się gwałtownie w górę i w dół.

Tak. A te prostokątne ślady zrobili strażacy, którzy odrywali resztki ciała od drzwi. Mogę posprzątać pozostałości tkanki i usunąć ślady spalenizny, ale do reszty będzie pan musiał sprowadzić malarza.

—

Rozumiem — wymamrotał Freeberg. — Malarza.

W milczeniu rozejrzeli się po holu. Był duży, wysoki, ozdobiony liliowymi i złotymi sztukateriami. Na pseudorokokowym stoliku pod ścianą stał terakotowy wazon z dawno zwiędłymi gladiolami, nad nim wisiała reprodukcja w złoczonej ramie, ukazująca dwóch śpiących na słońcu Meksykanów w wielkich sombreroach. Przez uchylone drzwi widać było

wielką kuchnię z jasnymi, dębowymi szafkami. Choć dom był zaniedbany, Bonnie chętnie by w czymś takim zamieszkała — podobały jej się przestronne wnętrza, gustowne meble, zakręcające szerokim łukiem schody.

Właśnie one mówiły najwięcej o ostatnich sekundach życia piętnastoletniego kochanka pani Marrin. Zbiegając po nich, płonący chłopak wypalił w liliowym dywanie ślady stóp — od samej góry do drzwi frontowych — a tam, gdzie przeciągnął gorejącymi dłońmi po polakierowanych poręczach, porobiły się pęcherze.

—  
Boże drogi... —jęknął Freeberg. — Musiał przejść przez piekło.

—  
Chodźmy na górę — zaproponowała Bonnie. Nie miała ochoty myśleć o piekle, zwłaszcza dziś.

Poszli do głównej sypialni na piętrze i wbili wzrok w wielkie łoże z wysokimi słupkami na rogach i baldachimem. Było poczerniałe i przesiąknięte benzyną i wodą, z aksamitnych bocznych zasłon zostały jedynie zwęglone strzępy. Na ścianie od strony głowy wisiało lustro — pęknięte ukośnie na pół i poczerniałe od dymu. Bonnie widziała w nim siebie i Dudleya Freeberga — wyglądali jak postacie ze starej, sepiowej fotografii.

Łóżko trzeba będzie wyrzucić, tak samo dywan, ale ślady po dymie da się usunąć — stwierdziła, robiąc notatki. — Jak powiedziałam na dole, będzie pan musiał kazać odmalować wnętrza, zostawię jednak wszystko w takim stanie, że nikt się nie domyśli, że ktoś tu się spalił. Brzmi zachęcająco — mruknął Dudley Freeberg i skinął głową. Miał bardzo bladą twarz, mocno się pocił i Bonnie dostrzegała u niego oznaki zbliżającego się napadu paniki. — Może dokończmy... na zewnątrz? — wymamrotał, po czym wypadł z sypialni i pognał na dół. Zbiegał po schodach zygzakiem, omijając wypalone na dywanie ślady.

Bonnie siedziała w samochodzie i pisała kosztorys, Freeberg stał obok. Marynarkę przerzucił przez rękę, poluzował krawat i co chwila ocierał czoło pomiętą chusteczką higieniczną.

Kiedy podała mu wyliczenie, niemal wyrwał je jej z dłoni.

Doskonale. Nie mam zastrzeżeń. Skonsultuję się z rodziną i zawiadomię panią.

Bardzo proszę, kiedy tylko pan zechce.

Dziękuję za... — wskazał głową na dom.

Proszę pana, nikt się do tego nie przyzwyczaja. Człowiek uczy się jakoś sobie z tym radzić, ale nigdy się nie przyzwyczaja. Żaden człowiek nie powinien się do czegoś takiego przyzwyczaić.

—

W każdym razie jeszcze raz dziękuję.

Wrócił na sztywnych nogach do swojego samochodu i odjechał z piskiem opon. Bonnie przez chwilę patrzyła za nim. Kiedy zamierzała odjechać, pojawił się Kyle Lennox. Był ubrany w spodnie w kolorze khaki i czarną koszulkę polo.

—

Halo, Bonnie! — zawołał. — Niech pani nie odjeżdża! Bonnie!

Ośloniła oczy dłonią. Lennox przebiegł przez ulicę i po chwili znalazł się przy jej samochodzie.

I jak było? — spytał.

Tak sobie. Dlaczego pan pyta?

Dość tam ponuro, prawda?

Gdybym nie musiała, wolałabym tam nie wchodzić.

—

Ktoś mi mówił, że chłopak... — ściszył głos do szeptu — przy kleił się do drzwi.

Bonnie wzruszyła ramionami.

Nie lubię rozmawiać o szczegółach. Ja tylko sprzątam.

Ale był przyklejony do drzwi?

—

Był. Palił się i próbował wyjść na zewnątrz, ale przylepił się do farby na drzwiach.

Kyle Lennox powoli pokręcił głową.

To straszne. Nie rozumiem, jak pani może robić to, co robi. Naprawdę nie pojmuję tego.

Pan gra w telewizji, a ja także nie wyobrażam sobie, jak można to robić. Występowanie w telewizji by mnie przerażało. Nie lubię występować nawet w robionych w domu filmach wideo.

Bonnie, organizuję jutro wieczorem małą imprezę. Wie pani — takie spotkanie przy basenie.

Będzie kilku przyjaciół ze studia, paru scenarzystów, jeden albo dwóch producentów. Może pani wpadnie?

—

Słucham...?

—

Organizuję przyjęcie i chciałbym panią zaprosić. Chciałbym, żeby poznała pani Gene'a Ballarda. To nasz reżyser. Na pewno zachwyci się panią.

Chyba czegoś tu nie rozumiem. Dlaczego zaprasza mnie pan na przyjęcie? Przecież nawet pan mnie nie zna.

Hej! Jak bardzo trzeba kogoś znać, żeby polubić go za to, jak wygląda? Jak długo trzeba kogoś znać, żeby zacząć podziwiać to, co robi? Naprawdę chcę, żeby pani wpadła na to przyjęcie,

Bonnie. To nie będzie nic formalnego. Spodoba się pani. Będą wszystkie pani ulubione gwiazdy seriali. I kto wie — może spodoba się pani Gene'owi? Może da pani jakąś rolę?

Kiedy jest to przyjęcie?

—

Jutro o szóstej, tutaj. Niech pani powie, że przyjdzie... Bonnie miała wrażenie, że śni.

Obok niej stał prawdziwy

Kyle Lennox i naprawdę zapraszał ją na przyjęcie przy basenie.

—  
Zgoda — powiedziała i skinęła głową. — Przyjdę. Czemu nie?

Bonnie spotyka się z matką

—  
Dlaczego się nie zapowiedziałaś? Zrobiłabym sałatkę.

Mamo, nie trzeba. Nie mam ochoty na sałatkę. Jadłam u Rusty'ego cheeseburgera.

Cheeseburgera! Nie wiesz, ile do nich walą tłuszczu i soli? Nic dziwnego, że tak przytyłaś.

—  
Dzięki. Prawda jest taka, że straciłam kilka kilogramów.

—  
Nie przychodzisz przez trzy tygodnie, a kiedy wreszcie decydujesz się przyjść, nawet mnie o tym nie uprzedzasz.

—  
Ale jestem. Czemu narzekasz? — zapytała Bonnie.

Jej matka zaczęła krzątać się po salonie, zbierała programy telewizyjne i poprawiała poduszki.

Zgoniła z kanapy rudego kota, Marcusa, którego Bonnie nie lubiła. Cuchnął i wściekle syczał.

Pani Mulligan była niską, pulchną kobietą, miała na głowie wielką szopę siwych włosów, przypominającą kłęb bawełny, oraz maleńkie dłonie i stopki. Wyglądałaby jak Bonnie, gdyby Bonnie wyduła policzki i mocno zacisnęła powieki. Mieszkała w Reseda, w domu typowym dla tej dzielnicy: godnym szacunku, schludnym, z dobrze przystrzyżonym trawnikiem i porcelanowymi figurkami, zapełniającymi każdy centymetr kwadratowy półek. Zmarły ojciec spoglądał ze ściany w salonie z krzywym uśmiechem, który zawsze przypominał Bonnie

Alfreda E. Neumana \*. Oprawione w pozłacaną ramę zdjęcie wyglądało jak naświetlone płótno. Pod nim — również w ramach — wisały medale, które ojciec otrzymał za służbę w straży pożarnej.

Starsi bracia Bonnie — miała ich pięciu — także byli wszędzie, i też w ramach. Daryl w chwili odbierania dyplomu Akademii Straży Pożarnej. Robert podczas zaręczyn z Nestą. Craig z pucharem ze szkolnych zawodów pływackich. Barry przy swoim pierwszym samochodzie. Richard ze złamaną nogą. Na jego gipsie podpisał się Mark Hamill \*\* i pani Mul-ligan do dziś trzymała tę skorupę w garażu.

Jedynе zdjęcie Bonnie ukazywało ją, kiedy miała dwanaście lat — podczas Pierwszej Komunii. Wyglądała tak słodko i niewinnie w białej, jedwabnej sukience, że dzisiejszej Bonnie chciało się płakać. Była wtedy taka ufna, tak pełna nadziei...

—

Stale muszę sprzątać — zrzędziła matka. — Richard wszędzie rozrzuca skarpetki.

Mamo, jest jak zawsze idealnie.

Powinnaś była się zapowiedzieć. Mogłabym posprzątać.

Dlaczego Richard nie sprząta swoich skarpetek? Matka popatrzyła na nią, jakby Bonnie powiedziała coś

w obcym języku. Skarpety? Richard? Sprzątać? Poszły do kuchni.

—

Czuję się, jakbym miała jechać na Hawaje — powiedziała Bonnie. Matka układała na talerzu ciasteczka. — Sama. Bez

\* Główna postać komiksu Mad — piegowaty, wielkouchy chłopiec-idiota (przyp. tłum.).

\*\* Grał Luke'a Skywalkera w Gwiezdných wojnach (przyp. tłum.).

nikogo. Mam wrażenie, że zaraz się spakuję i pojedę na Hawaje. Chciałabym stanąć na

wzgórzu i obserwować wybuchający wulkan.

Wulkan? A co z twoją rodziną?

A co ze mną?

Matka zniosła tacę z kawą i ciastkami do salonu.

—

Nie powinnaś się pchać w ten śmierdzący interes ze sprzątaniami. To chore.

—

Ale sprawia mi przyjemność. Daje mi poczucie, że jestem o coś potrzebna.

— Co? Nie mów mi, że lubisz to robić.

—

Czy nie na tym polega zadanie kobiety? Na sprzątanii? Popatrz na siebie — całe życie sprzątasz.

—

Tak, ale nie zwłoki. Nawet nie mogę o tym myśleć.

—

Nie sprzątam zwłok, mamó. To robi biuro koronera. No, czasem sprzątam kawałki ciała

— włosy, zęby, tego typu resztki. Kilka dni temu znalazłam pod pralką siedem palców — gość zabił narzeczoną piłą łańcuchową.

Matka z niesmakiem zamachała dłońmi.

Przestań. Gdyby ten twój Duke podniósł tyłek i znalazł sobie robotę, nie musiałabyś tego robić.

A tak poza tym — co u niego?

W zasadzie bez zmian. Wybiera się na rozmowę kwalifikacyjną do Century Plaža. W sprawie pracy w barze.

—

Nigdy nie mogłam zrozumieć, co w nim widziałaś.

—

Wiem. Ciągłe mi to mówisz. Nawet teraz nie możesz przestać.

—

A co z twoją drugą pracą? Z kosmetykami?

—

Chyba ją straciłam. Być może była zbyt... menstruacyjna. Matka wbiła w Bonnie zdumione spojrzenie.

—

Na Boga, dziewczyno, chyba czasem nie bardzo wiesz, o gadasz.

Bonnie ostrożnie odstawiła kubek z kawą.

—

Mamo... co byś zrobiła, gdyby ktoś sławny i bogaty aprosił cię na przyjęcie?

—

Słucham? O czym ty mówisz? Jakie przyjęcie?

Bonnie obiecała sobie, że nikomu nie powie o Kyle'u Lenno-ksie, chciała, by zaproszenie pozostało jej tajemnicą. Miała wrażenie, że jeśli powie o spotkaniu z nim matce, Duke'owi, Ray owi albo którejkolwiek ze swoich przyjaciółek, nagle okaże się, że źle zrozumiała to, co Kyle mówił, albo przyjęcie okaże się rozczarowaniem, nie będzie na nim nikogo sławnego i wyjdzie na głupią.

Była jednak tak podekscytowana, że komuś musiała o tym opowiedzieć.

—

Przyjęcie. No wiesz, takie, na które przychodzą aktorzy, producenci, tego typu ludzie.

Nic formalnego. Spotkanie przy basenie. Może z szampanem. I z pływaniem.



Kto miałby mnie na coś takiego zaprosić?

Ktoś sławny z telewizji.

Nie znam nikogo z telewizji.

—

Wiem, ale załóżmy, że znasz. Na przykład, że znasz... Kyle'a Lennox.

Matka przez długą chwilę jej się przyglądała, powoli żując ciastko.

—

Na Boga, Bonnie... nie rozumiem z tego ani słowa. Bonnie popatrzyła na zdjęcie ojca i jego krzywy uśmiech.

Zastrzelił się w garażu, kiedy miała piętnaście lat, i do dziś pamiętała, jak splukiwano węzem jego krew do studzienki. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego to zrobił.

Ralph ustępuje

Po południu, mniej więcej o czwartej, zadzwoniono ze szpitala i przekazano, że Ray może zostać wypisany do domu. Duke nie chciał stracić odcinka Wszystkich moich dzieci, więc Bonnie wzięła buickę i pojechała odebrać syna. Niebo było ciemnoczerwone — jakby Bóg założył na nie truskawkowy filtr. Temperatura wciąż spadała i Bonnie miała wrażenie, że wkrótce wydarzy się coś dziwnego.

Znalazła miejsce na końcu parkingu, zanim jednak zdążyła wysiąść, odezwała się jej komórka, grając Dear Heart Henry'ego Manciniego.

Bonnie's Trauma Scenę Clean. Czym mogę służyć?

Tu Ralph.

Ralph! Cześć, Ralph.

Dzwonię, by sprawdzić, czy wszystko w porządku z twoim chłopakiem.

Już lepiej. Właśnie przyjechałam do szpitala, żeby go odebrać.

To świetnie. A co z oskarżeniem?

Nic jeszcze nie wiem, sądzę jednak, że policja nie złoży doniesienia o przestępstwie. Wiesz — pierwsze wykroczenie, dobra opinia, mamusia jest zaprzyjaźniona z kapitanem O'Haganem.

Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak należy.

Oby. Dzięki za dobre słowo. Jak było w Pasadenie?

Eee... chciałem... ee... chciałem cię za to przeprosić.

Nie musisz przeproszać. Potrzebowałeś mnie, ale nie mogłam jechać. To wszystko.

-Przełożyłem spotkanie na piątek po południu. Klientowi i tak to lepiej pasowało. Musieli wczoraj obejrzeć tyle prezentacji, że cały program przesunął im się o jeden dzień.

Rozumiem. Życzę szczęścia.

Ee... zastanawiałem się, czy w dalszym ciągu chciałabyś ze mną polecieć.

Bonnie wyszła z samochodu i trzasnęła drzwiami.

Nie jestem wywalona?

Zachowałem się zbyt nerwowo. Oczywiście, że nie jesteś wywalona. Myślisz, że wyrzuciłbym jedną z moich ulubionych sprzedawczyń?

Czyli nie jestem wywalona i chcesz, żebym poleciała z tobą w piątek do Pasadeny?

Właśnie. Mogłabyś być w biurze o wpół do trzeciej?

Nie wiem, Ralph. Kiedy byśmy wracali?

Zaplanowane jest śniadanie z rozmową o interesach i zaraz potem wracamy. No, powiedz, że lecisz ze mną.

Nie wiem, Ralph. Ktoś musi się zająć Rayem, zrobić mu kolację i tak dalej.

Duke nie może?

Duke uważa, że jajka wypadają z kury już usmażone.

Nie przeżyją jednego wieczora na daniach na wynos?

Może przeżyją.

Więc załatwione. Zobaczymy się w piątek po południu. Weź ze sobą tę różową sukienkę, którą miałaś na prezentacji dla Searsa. I białą bluzkę z koronką.

Jest na mnie za mała.

Tym lepiej. Chcemy zrobić dobre wrażenie, no nie? Musimy walnąć do nich z grubej rury.

Bonnie doszła do schodów budynku szpitala.

—  
Ralph, muszę wyłączyć telefon. Widzimy się w piątek. Wrzuciła komórkę do torebki.

Była zadowolona i czuła ulgę,

że w dalszym ciągu ma pracę w Glamoreksie, równocześnie jednak miała wrażenie, że przeszła przez jakieś niewidzialne drzwi i wyjazd do Pasadeny z Ralphem sprawi, że jej życie już nigdy nie będzie takie jak dotychczas.

Powrót bohatera

Ray ciągle jeszcze miał nadgarstek i kostkę w gipsie i mógł jedynie kuśtykać do łazienki. Skóra wokół jego oczu mieniła się wszystkimi kolorami tęczy, z ust jeszcze nie zeszła opuchlizna.

Lekarz stwierdził jednak, że jego stan szybko się poprawia, poza tym potrzebowali łóżka. Ray był zadowolony, ponieważ szpitalne jedzenie było według niego „syfiaste”.

Bonnie przygotowała na kolację jego ulubione danie — wieprzowinę z fasolą — a na deser kupiła ciasto jagodowo-cytry-nowo-kawowe. Duke wypił do jedzenia trzy puszki budweisera i za każdym razem, kiedy unosił puszkę do ust, powtarzał:

—  
Za bohatera! Za cholernego bohatera!

Po siódmym albo ósmym razie Bonnie zaczęło to działać na nerwy.

Uważasz, że pobicie niewinnego meksykańskiego dzieciaka zrobiło z niego bohatera?

Zawalczył o to, co uważa za słuszne, nie? A to, że Kalifornia należy się Kalifornijczykom, nie tym cholernym meksom, jest jak najbardziej słuszne, skarbie. Czy wiesz, że w tym roku liczba meksów w naszym stanie przekroczy liczbę białych?

Chcesz jeszcze trochę ziemniaków?

Nie zmieniaj tematu, Bonnie. Chłopak jest bohaterem. Tak naprawdę już nie jest chłopakiem.

Jest mężczyzną. Gdybym wiedział, że wybiera się pracować meksów, poszedłbym razem z nim.

Wtedy dopiero dostaliby nauczkę. BACH! BACH!

Jesteś zakłamany, Duke.

Zakłamany? Twierdzisz, że ja jestem zakłamany? Urabiasz sobie ręce dlatego, że jakiś cholerny meks zabrał mi pracę, i twierdzisz, że jestem zakłamany?! Moim zdaniem jestem wzorem tolerancji. W tych okolicznościach można mnie wręcz uważać za świętego!

Ciągle jeszcze istnieje możliwość, że policja złoży doniesienie o przestępstwie. Mam nadzieję, że kiedy to nastąpi, też zachowasz się jak święty.

Jeśli go oskarżą... cóż, to cena, jaką muszą płacić bohaterowie. Ale na pewno będę cię wspierał, synu. Zasłużyłeś na szacunek, chłopcze.

Ray uśmiechnął się do ojca. Kiedy Bonnie wyjęła z garnka resztkę ziemniaków, nagle zrozumiała, co Ray tak naprawdę zrobił. Stając po stronie ojca, za jednym zamachem zakończył wszystkie spory między nimi — uzasadnione i nieuzasadnione. Trudno było mieć o to do niego pretensję. Aż do dzisiejszego dnia niemal każdy posiłek przypominał trzecią wojnę światową — Bonnie broniła się przed atakami Duke'a, po czym jej mąż hałaśliwie i obraźliwie się wycofywał. Teraz jednak było ich dwóch na nią jedną i nie pozostawało jej nic innego, jak przyjąć do wiadomości wszystko, co wygadywał Duke — niezależnie od tego, jak bardzo było to stronicze czy nielogiczne.

Ray zadał jej pytanie, czy jeszcze kocha Duke'a. Teraz wiedziała dlaczego. Jeśli go nie kochała,

nie liczyło się nic poza mieszkaniem razem i minimalizacją codziennych konfliktów. Duke miał w jednym rację: Ray poszedł do klubu „X-cat-ik” jako chłopiec, a wyszedł z niego jako mężczyzna.

Po kolacji pomogła Rayowi wrócić do pokoju i położyć się na łóżku.

—  
Ciągle jeszcze się na mnie wściekasz? — spytał.

—  
Czy się na ciebie wściekam? Dlaczego? Jesteś moim jedynym synem.

—  
Nie powinnaś się też wściekać na tatę.

—  
Nie wściekam się na niego, po prostu nie patrzę na życie tak jak on. Wiele oczekuje, nic jednak nie robi, by te oczekiwania zrealizować, i jest rozczarowany. Nie da się iść przez życie, będąc stale rozczarowanym. Zwłaszcza jeśli niczego nie próbowało się zmienić.

Kocham cię, mamó.

Wiem.

Kiedy wróciła do salonu, Duke właśnie otwierał kolejną puszkę piwa i oglądał Gwiazdne wrota

— SG1.

—  
Popatrz tylko na ten syf. Czy oni nie widzą, co ci Obcy robią? Czemu nie wypieprzą do nich ze wszystkich łuf? Byłoby po sprawie.

Bonnie usiadła obok i wzięła garść kukurydzy w karmelu.

—  
Ralph poprosił mnie, żebym pojechała w piątek do Pasadeny.

Przez długą chwilę panowała cisza. Duke przełknął piwo i beknął.

Ralph? Ten kutas? Myślałem, że cię wywalił.

Wywalił, ale teraz chce, żebym leciała do Pasadeny.

Duke objął ją ramieniem i prychnął.

Mam nadzieję, że powiedziałaś mu, żeby wetknął sobie tę wyprawę do Pasadeny tam, gdzie nie potrzeba okularów przeciwsłonecznych.

Nie, zgodziłam się.

Duke odwrócił głowę do Bonnie i wbił w nią wzrok.

Zgodziłaś się...? Zgodziłaś się, powiedziałaś: „Tak, jadę do Pasadeny”?

Tak.

Ile to ma trwać?

Jedną noc. W sobotę wracamy.

Chyba nie sądzisz, że pozwolę ci spędzić noc z tym palantem?

To nie palant, ale mój szef. A wyjazd do Pasadeny to część mojej pracy. Nie jest zainteresowany moim ciałem, tylko tym, jak prezentuję nowy produkt.

Prezentujesz produkt? Oczywiście, jestem nawet gotów się o to założyć. Ralph Kosherick myśli tylko o jednym: żebyś mu zaprezentowała produkt, który masz między nogami.

Duke, nie bądź wulgarny. I nie staraj się też być śmieszny.

O, jestem wulgarny, tak? Tylko dlatego, że nie chcę, by moja żona spędziła noc ze śliniącym się lubieżnikiem?

Wyjazd do Pasadeny jest bardzo ważny. To nasza główna prezentacja na sezon wakacyjny.

Dzięki mnie Glamorex może utrzymać się na powierzchni.

A czemu ma to mnie interesować?

Duke, potrzebuję tej pracy, poza tym ją lubię. Pozwala mi się realizować. Przez kilka godzin

dziennie czuję się dzięki niej jak kobieta, a nie jak sprzątaczką, kucharką czy taksówkarz.

Pojadę do Pasadeny bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

Na Boga, jestem twoim pieprzonym mężem!

Nie bluźnij, Duke. Jadę.

Nie słyszałaś, co powiedziałem? Jestem twoim mężem.

Mężem? Kogo chcesz rozśmieszyć? Jesteś obcym facetem, który cały dzień przesiaduje w moim domu, czeka, żeby go oprąć i nakarmić, i każe mi się zapracowywać na śmierć, żeby mieć dość piwka. Nawet ci już nie staje.

Natychmiast pożałowała ostatnich słów. Zawsze obiecywała sobie, że nigdy czegoś takiego nie powie. Wiedziała doskonale, że mężczyźni można powiedzieć wiele rzeczy — że jest leniwy, okrutny, tępy i ograniczony — ale jeśli mu się mówi, że nie może dostać wzrodu, jest to jak rzucenie mu w twarz, że nie jest mężczyzną. To jedno zdanie sprawiło, że w podłodze pod jej nogami otworzyła się zapadnia.

Duke bez słowa podniósł rękę z puszką piwa i powoli wylał je Bonnie na głowę. Siedziała na kanapie, a piwo skapywało jej z włosów i ściekało po szyi.

— Widzisz, co ze mnie robisz? — powiedział w końcu. Pochylił się do niej i ryknął: —

**WIDZISZ, CO ZE MNIE ROBISZ?!**

Tajemnica

Umyła włosy i owinęła głowę różowym ręcznikiem. Przed kolacją miała przez chwilę ochotę powiedzieć Duke'owi o zaproszeniu do Kyle'a Lennox, teraz jednak sięgnęła do torebki, wyjęła wizytówkę z jego autografem i podarła ją na drobniutkie kawałeczki.

Dwa telefony

Następnego dnia, kilka minut przed ósmą rano, kiedy smażyła dla Duke'a boczek na śniadanie, odebrała dwa telefony. Pierwszy zadzwonił porucznik David Irizarry z wydziału policji Los

Angeles.

— Pani Winter? Kapitan O'Hagan prosił, żebym do pani zadzwonił.

—  
Słucham.

—  
Chodzi o pani syna, Raymonda Wintera. Kapitan O'Hagan kazał przekazać, że zdecydowaliśmy się nie składać przeciwko niemu doniesienia o przestępstwie. Jednak któregoś dnia będzie musiał zjawić się u nas.

Rozumiem. Oczywiście. To chyba dobra wiadomość.

Kapitan O'Hagan skontaktuje się z panią.

Dziękuję, jestem panu bardzo wdzięczna za telefon. Drugi telefon był od porucznika Dana Munoza.

—  
Bonnie? Cieszę się, że cię złapałem. Załatwiłem ci robotę na Ivanhoe Drive, przy zalewie Silver Lake. To paskudna sprawa, znaleziono dzieciaka w kartonie. Gdybyśmy mogli spotkać się dziś o trzeciej, porozmawialibyśmy o szczegółach. Kto naprawdę cię kocha, mała?

Bonnie odwiesiła słuchawkę i patrzyła, jak boczek zwija się i kurczy na patelni. Wszedł Duke — w zapoconym podkoszulku i opadających bokserkach. Nie ogolił się ani nie umył i zataczał się po kuchni, jakby ciągle jeszcze był pijany. W końcu przyciągnął sobie krzesło i usiadł, mocno pochylony na bok.

Myślisz, że cię nie Kocham, tak? — zapytał.

Duke, daj sobie spokój. Przecież nic nie mówię.

—  
Ale myślisz sobie — ponieważ nie zawsze mi staje — że cię nie Kocham.



—  
Powiedziałam coś takiego?

Cholera, nie musisz tego mówić. Widzę to w twoich oczach.

W porządku, bądźmy szczerzy. Byłoby miło, gdyby czasami ci stawał.

Duke nie odpowiedział. Wpatrywał się w leżącą na stole podkładkę pod talerz, jakby były na niej rozwiązania wszystkich jego problemów. Bonnie położyła na talerzu sześć kawałków boczku, smażone ziemniaki, upieczony pomidor i dwa smażone jajka i postawiła go przed Dukiem.

—  
Proszę. Tylko nie mów, że cię nie kocham. Nigdy tego nie mów — powiedziała.

Duke zaczął poszturchiwać boczek widelcem.

—  
Próbujesz mnie zabić, tak? Tyle cholesterolu! Pieprz się...

—  
Duke, gdybym chciała cię zabić, nie czekałabym, aż dostaniesz zawału. Nie mam tyle cierpliwości.

Zaczął jeszcze energiczniej dziobać widelcem jedzenie.

—  
Pieprz się! Próbujesz mnie zabić, i tyle! Próbujesz zatkać mi tętnice i zabić mnie!

Bonnie usiadła i bez słowa słuchała jego pomstowań. Co miała powiedzieć? Po kilku minutach wstała, zabrała mężowi talerz i wyrzuciła całe śniadanie do wiadra pod zlewem — jajka, boczek, ziemniaki, tost — wszystko. Duke przyglądał jej się w milczeniu i tak mocno ścisnął widelec, że go wygiął.

Wieczorem wychodzę — oświadczyła.

Wychodzisz? Kto tak powiedział?

Ja. Idę do Ruth i będziemy sobie polerować paznokcie, jeść ciasto i opowiadać o tym, jakimi draniami potrafią być mężczyźni.

Naprawdę? A kto się zajmie Rayem? Twój syn wczoraj wyszedł ze szpitala, a ty sobie po prostu wychodzisz?

Zgadza się, wychodzę. Ray ma dwoje rodziców i tak się składa, że tym drugim rodzicem jesteś ty. Ty się nim zajmij. W lodówce jest pieczeń — wystarczy ją odgrzać w mikrofalówce.

Teraz ty posłuchaj, Bonnie... — zaczął Duke, ale w tym momencie w drzwiach pojawił się Ray. Podpierał się kulami.

—

Cześć, mamó! Co słychać? Ładnie pachnie. To boczek?

—

Jeśli chcesz go jeść, wyciągnij go sobie z kubła — warknął Duke. Wstał, walnął krzesłem o stół i wytoczył się z kuchni.

Co miała na sobie

Ubieranie się zajęło Bonnie dwie godziny, bo nie mogła się zdecydować, co włożyć. Co Kyle Lennox miał na myśli, mówiąc: „nieformalne przyjęcie”? Mógł mieć na myśli jedwabną garsonkę od Anne Klein i sandały w paski od Blahnika. Przymierzyła czerwoną sukienkę w wielkie, różowe kwiaty, którą kupiła na bar micwah syna Ruth, ale od zeszłego roku mocno przytyła, a poza tym wyglądała w tej sukience jak ofiara napadu z nożem w ręku.

Przymierzyła jasne spodnie z gumą w pasie, jednak na prawym kolanie była jaśniejsza plama od wybielacza. Potem przymierzyła dzinsy, ale po krótkim namyśle zrezygnowała z nich — nie mogła chodzić z etykietą Lands End, jeśli wszyscy będą w ciuchach od Armaniego.

W uchylonych drzwiach stanął Duke i przez chwilę jej się przyglądał — jakby nie mógł

zrozumieć, czemu się tak stroi, skoro ma iść tylko do Ruth — ale spojrzenie Bonnie powstrzymało go od rzucenia jakiejś uwagi.

—  
Wezmę Raya do sklepu i kupimy trochę piwa — powiedział tylko. — Dopóki robię za opiekunkę do dziecka, mam chyba prawo trochę się odświeżyć, no nie?

W słoiku z Popeyem jest piętnaście dolarów.

Wiem. Już je wziąłem.

—  
Nie wróćcie zbyt późno. Muszę wyjść dokładnie o wpół do szóstej.

—  
Tak jest! — zasalutował sarkastycznie Duke i wyszedł. Bonnie wróciła do garderoby i z rosnącą desperacją zaczęła

przebijać się przez wieszaki. Wszystkie jej ubrania nagle zaczęły wyglądać strasznie tanio.

Zdecyduj się — mówiła sobie. Zdecyduj się. Idziesz na spotkanie z ludźmi, którzy kupują ubrania przy Rodeo Drive — i z pewnością nie widzieli tej sukienki z Wal-Martu.

W końcu wybrała granatowe spodnie i kremową bluzkę z marszczeniami. Spodnie były wygodne, a bluzka, choć była nieco w stylu country, skutecznie ukrywała rozmiar jej biustu.

Położyła ubranie na łóżku.

Potem zaczęła się zastanawiać, czy jeśli ma to być przyjęcie przy basenie, nie będzie się od niej oczekiwać, że popływa.

Postanowiła na wszelki wypadek wziąć kostium kąpielowy. Zaczęła grzebać w dolnej szufladzie i po chwili znalazła turkusowy kostium w ciapki. Kiedy go jednak przymierzyła, okazało się, że wygląda w nim jak beka. Włożyła więc purpurowy kostium z lycry z wysokimi wycięciami na udach i choć góra była tak ciasna, że wrzynała jej się w piersi, przecinając je na

pół, stwierdziła, że wygląda w nim znacznie lepiej.

Pięć po piątej była gotowa, ale nadal nie było śladu Duke'a z samochodem. Przez chwilę, przycupnąwszy nerwowo na podłokietniku fotela, z torebką w dłoniach, pooglądała telewizję. Potem wstała i wyjrzała przez okno. Minęła 17.27, jednak Duke'a w dalszym ciągu nie było. Wyszła przed dom. Ulicą właśnie przechodził z psem stary pan Lenz.

Cześć, Bonnie. Nie pracujesz dzisiaj?

Nie, panie Lenz. Dziś nie.

Czyżbym wyglądała, jakbym wybierała się do pracy? — pomyślała. W nowych spodniach i bluzce z marszczeniami?

Minęło wpół do szóstej, a Duke'a jak nie było, tak nie było. Żałowała, że nie kazała mu zabrać komórki. Wróciła do środka i po raz siódmy poprawiła włosy. Zaczynało jej być gorąco i zawodziły ją nerwy. A jeśli Duke w ogóle nie wróci? Oznaczałoby to, że musi wziąć taksówkę — ile to zajmie?

Za piętnaście szósta napisała na kartce: „Pojechałam do Ruth. Nie dziękuję” — i przymocowała ją na drzwiach lodówki magnesem w kształcie serca.

Przyjęcie, przyjęcie

Zaparkowała ciężarówkę za rogiem Alta Avenue i resztę drogi przeszła na piechotę. Ulica przed domem Kyle'a Lennox'a była zastawiona błyszczącymi, drogimi samochodami — stał tam żółty ferrari testarossa, srebrne lamborghini i więcej mercedesów, niż Bonnie kiedykolwiek widziała w jednym miejscu.

Już na ulicy słychać było zespół, grający Samba em Preludio w leniwym, letargicznym rytmie.

Na trawniku przed domem stało dwóch pryszczatych chłopaków do odstawiania samochodów — by U ubrani w białe uniformy ze złotymi epoletami. Z zaciekawieniem obserwowali zbliżającą się Bonnie.

Pomóc w czymś? — spytał jeden z nich.

Zostałam zaproszona na przyjęcie. Chłopak rozejrzał się wokół ze zdziwieniem.

Gdzie ma pani samochód?

Nie przyjechałam samochodem.

Przyszła pani na piechotę?

Nie, przyleciałam statkiem kosmicznym. Wyrzucił mnie za róg. Tędy się wchodzi?

Oczywiście, mimo wszystko muszę jednak sprawdzić pani zaproszenie.

—

Nie dostałam zaproszenia.

—

Została pani zaproszona, ale nie dostała zaproszenia? Na szczęście w tym momencie na werandzie pojawił się

Kyle Lennox. Miał na sobie zieloną jedwabną koszulę i luźne białe spodnie, w ręku trzymał drinka. Uniósł szklankę w salucie.

—

Wchodź, moja droga! — zawołał. — Świetnie, że udało ci się przyjść!

Bonnie zrobiła do chłopaków minę „a widzicie” i weszła za Kyle'em Lennoxem do środka.

Wszędzie — na schodach i w holu — było pełno ludzi. Wszyscy goście krzyczeli i piszczeli jak na tonącym luksusowym liniowcu. Bonnie ogarnęła fala strachu i mało brakowało, by rzuciła coś na przeproszenie i uciekła, ale Kyle Lennox objął ją opalonym ramieniem i przepchnął się z nią przez tłum do salonu. Cóż to był za wspaniały pokój! Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziała. Ściana naprzeciwko drzwi od podłogi po sufit była pokryta lustrem, a wzdłuż niej stał szereg nagich nimf z brązu. Z sufitu na samym środku zwieszał się gigantyczny kryształowy kandelabr, a wszystkie meble były obite kremowożółtą satyną. Okna od strony patio

wychodziły na basen, obłożony naokoło włoskim marmurem, pociętym tak, by widać było jego różnokolorowe warstwy. Także i tam falował tłum roześmianych, rozkrzyczanych ludzi. Za basenem zaczynał się pełen kwiatów ogród, pośrodku którego stała na cokole rzeźba koźlonogiego i rogatego bożka Pana.

Prawdopodobnie kilka osób już znasz — krzyknął jej Kyle Lennox do ucha. Zespół zagrał latynoską wersję Positivity Fourth Street, a mężczyzna w czerwonym sombrero i obcisłych czerwonych spodniach zaczął śpiewać słabym głosem do mikrofonu. — To Vanessa McFarlane ze Świecącego światła, a to Gus Hanson z Życia, jakie wiedliśmy.

Gus Hanson? Gdzie? Nie do wiary! Zgadza się, ma pan rację — to Gus Hanson!

Chcesz z nim porozmawiać? Jest moim kumplem od surfingu.

Nie wiem... nie wiem... muszę najpierw złapać oddech. Prawdę mówiąc, dosyć mnie to wszystko przytłacza.

Chodź, pójdziemy do niego. To najmiłszy człowiek na świecie. Może przedtem drinka? Mamy szampana z poziomkami — jest naprawdę wyśmienity.

Machnął na jednego z kelnerów, który natychmiast podszedł do nich z tacą pełną pobrękujących, wysokich kieliszków do szampana. W każdym pływało kilka poziomek, a brzegi kieliszków migotały od cukru.

—  
Hej... to rzeczywiście wygląda wspaniale... — przyznała Bonnie. — Nigdy nie myślałam, że można wrzucić do szampana poziomki. Zwłaszcza że nieczęsto stać nas z Dukiem na szampana. Co ja mówię — wcale nas nie stać. Duke wrzucił kiedyś do piwa pikla, ale raczej przypadkiem.

Kyle Lennox wyprowadził Bonnie na zewnątrz i poprowadził ją do kutej, żelaznej ławki przy basenie, na której siedział Gus Hanson i rozmawiał z sześcioma albo siedmioma rozchicho-

tanymi dziewczynami o długich blond włosach i jeszcze dłuższych opalonych nogach. Miał ciemne, kręcone włosy i rzymski nos, a białą, jedwabną koszulę rozpiął do pępka. Na gołych stopach miał sandały.

—  
Gus... to Bonnie, kobieta, o której ci mówiłem... będzie sprzątać w domu Marrinów.

Gus Hanson zdjął okulary ze złotymi oprawkami i uśmiechnął się szeroko.

Hej... wspaniale, że pani wpadła. Kyle ciągle o pani mówi. Twierdzi, że w głowie mu się nie mieści, jak pani może robić to, co robi.

Cóż... — odparła ze skrepowaniem Bonnie — ktoś musi to robić. To usługa komunalna.

Człowiek nigdy się nad tym nie zastanawia. Nie myślimy, co się dzieje po tym, gdy ktoś oszalał i zabił swoją rodzinę. Nie myślimy o tym, że ktoś musi to posprzątać.

Pani coś takiego robi? — zapytała jedna z blondynek, marszcząc mały, zadarty nosek.

Owszem. Sprzątam wszędzie tam, gdzie ktoś zginął. Jak powiedziałam, to zwykła usługa komunalna.

Była pani w domu Marrinów? — spytał Gus Hanson.

Oczywiście. Musiałam zrobić kosztorys.

Jak tam jest? W pokoju, gdzie umarli?

Jest spalony, to wszystko. Niewiele widać.

Chłopak był przyklejony do drzwi — wtrącił Kyle Len-nox. — Wyobrażasz sobie, palił się jak pieprzona pochodnia i próbował wydostać się na zewnątrz, ale... no wiesz... przykleił się do farby.

Jasna cholera... — mruknął Gus. — Widać to? To, że przykleił się do drzwi?

Bonnie było gorąco i czuła, jak pot spływa jej po plecach za pasek spodni. Upiła łyk szampana i cukier przykleił jej się nad górną wargą. Wyglądała, jakby miała wąsy.

—  
Chwileczkę... — powiedział Kyle Lennox i obtarł jej używaną chusteczką usta. Ten gest był równocześnie intymny i żenujący. Bonnie poczuła się jak małe dziecko.

W tym momencie podszedł do nich niski, korpulentny mężczyzna, którego łysina błyszczała jak wypolerowana, powgniatana mosiężna gałka do otwierania drzwi. Jego oczy skrywały wielkie, czarne okulary w grubych oprawkach. Miał na sobie koszulę w różnokolorowe paski — czerwone, zielone i żółte — i luźne spodnie.

—

Bonnie, to mój producent, Gene Ballard — powiedział Kyle Lennox. — Gene, to Bonnie.

Gene Ballard wyciągnął tłusciutką rączkę, bardziej podobną do świńskiej łapy niż do ludzkiej dłoni — pełną złotych sygnetów. Bardzo intensywnie pachniał. Bonnie pomyślała, że pewnie musiał wylać na siebie pół butelki Fahrenheita.

To wielka przyjemność cię poznać, moja droga — powiedział. — Kyle ma talent do wyszukiwania niezwykłych ludzi. Wiesz, kto był na jego ostatnim przyjęciu? Tasha Malova, transwestytka, która miała romans z komisarzem policji. Powinnaś była go zobaczyć. Ją. Albo TO — wszystko jedno. Piękna i naprawdę zachwycająca osoba, ale ma metr dziewięćdziesiąt i głos jak syrena przeciwmgielna, a jej minispódniczka była tak krótka, że dupa jej wystawała. — Ballard wybuchnął zaflegmionym, basowym ni to kaszlem, ni to śmiechem i rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy wszyscy na pewno się śmieją.

Bonnie, czy odmówiła pani kiedyś zrobienia czegoś, bo było zbyt obrzydliwe? — zapytał Gus Hanson.

A pan? — odparowała Bonnie. — Odmówił pan kiedyś czegoś, co było zbyt obrzydliwe?

Jasne. Odmówiłem pozwania do „Playgirl”.



Odmówił pan pozowania do „Playgirl”?

Oczywiście. — Hanson wydał wargi. — Zależy mi na tym, by mój wizerunek był zgodny z tym, co robię. Nie chcę być symbolem seksu. Naturalnie jeśli trzeba kręcić scenę erotyczną, nie siedzę w krawacie i koszuli, ale wolałbym, żeby skupiano się na moim talencie, a nie na... serze. Jak to się stało, że taka ładna kobieta jak ty zajęła się sprzątaniami zwłok? — zapytał Gene Ballard i ujął Bonnie za łokieć.

—  
Nie sprzątam pozostałości... tak je nazywamy. Robi to biuro koronera. Sprzątam tylko miejsce zdarzenia, kiedy pozostałości zostają już zabrane. Zasłony, dywany, takie rzeczy. To jak normalne sprzątanie, tyle że bardziej wyspecjalizowane.

Ballard kiwnął głową. Wolałaby, żeby jego okulary nie były takie ciemne. Sprawiał w nich wrażenie, jakby w ogóle nie miał oczu.

Ile czasu kręci pan jeden odcinek Dzikich i krnąbrnych? — spytała. — To znaczy, czy robicie wiele ujęć, czy wszystko za jednym razem?

Ale widywałaś zwłoki?

Oczywiście, że widywałam zwłoki, ale niezbyt wiele.

—  
Co najokropniejszego widziałaś? Bonnie czuła na sobie wzrok wszystkich obecnych i miała świadomość, że każdy słucha tego, co mówi. Zespół zakończył Positively Fourth Street dźwięcznym akordem kilku gitar i słyszać było jedynie śmiechy i wrzaski, dolatujące z wnętrza domu.

—  
Trudno powiedzieć... Każda śmierć to tragedia.

Gene Ballard objął Bonnie w pasie i zaczął dyskretnie obmacywać oponkę tłuszczu, która wylewała jej się nad paskiem spodni.

—  
Widziałaś trupa bez głowy?

—  
Tak, widziałam kobietę bez głowy. W Culver City, mniej więcej rok temu.

—  
Jak to się stało? W jaki sposób straciła głowę?

—  
Mąż zaatakował ją maczetą. Walił i walił, aż obciął jej głowę.

Jedna z blond dziewczyn zachichotała histerycznie.

Kiedy ją zobaczyłaś... tę kobietę bez głowy... gdzie była? — zapytał Gene Ballard.

W sypialni. Sporo tego typu rzeczy dzieje się w sypialni. W nocy, rozumie pan, ludzie bywają zmęczeni i pijani, czasem naćpani.

—  
Założę się, że było dużo krwi.

—  
Owszem — przyznała Bonnie i próbowała odsunąć się od szczypiących ją paluchów, ale nie udało jej się to. Gus siedział na żelaznym krzeselku, opierając stopę na stoliku przed sobą, i rozkosznie się uśmiechał, a Kyle Lennox spoglądał po twarzach swoich gości, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem? Niezła sztuka, no nie?”.

—  
Kiedy zobaczyłaś tę kobietę... to co? Miała coś na sobie czy była naga?

Była... — Bonnie zakaszłała — .. "\*ga.

Więc leżała na łóżku bez głowy? Na piecach?

Wolę nie mówić o szczegółach.

Nogi miała rozchylone czy złożone?

Bonnie sięgnęła za siebie i odepchnęła łapsko Gene'a.

Jak już powiedziałam, panie Ballard — każda śmierć to tragedia i dla ludzi, których dotknęła, jest bardzo osobistym przeżyciem. Nie wykonuję tej pracy po to, by oglądać cudze dramaty.

Hej, hej! Bez obrazy! Nie twierdzę, że jesteś podglądaczem, ciekawi mnie tylko, jak wygląda twoja praca. Wszyscy tu robimy w fikcji, tworzymy opowiadania, ale jedyna krew, jaką widzimy, to farba przygotowana przez speców od efektów specjalnych. To, co ty robisz, to prawdziwe życie...

—

Tak mi czasem mówią.

—

No więc, co najokropniejszego widziałaś? Kobietę bez głowy? A czy widziałaś kiedyś głowę bez ciała?

Gus Hanson ryknął śmiechem, Kyle Lennox zaklaskał.

Musi mi pan wybaczyć — oświadczyła Bonnie i odstawiła kieliszek na stolik. Gus gwałtownie przesunął leżącą na stole nogę i kieliszek spadł. Kryształ rozprysnął się na marmurze, poziomki rozsypały się wokół.

Przepraszam — powiedziała Bonnie. — Nie zamierzałam narobić szkód. Proszę mi powiedzieć, ile ten kieliszek kosztuje, zwrócę panu pieniądze.

Kyle Lennox uśmiechnął się i pokręcił głową.

—

To waterfordzki kryształ i jedna sztuka kosztuje prawdopodobnie jakieś sto pięćdziesiąt

dolarów, ale zapomnijmy o tym.

—

Przepraszam — powtórzyła Bonnie i ruszyła w kierunku domu.

Kiedy szła przez salon, kilka osób popatrzyło na nią ze zdziwieniem, ale po niespełna dziesięciu sekundach znalazła się na ulicy. Pryszczaci chłopcy od samochodów spytali niemal równocześnie:

—

Już pani idzie?

—

Popełniłam błąd — odparła Bonnie, starając się zapanować nad głosem. — Przyszłam na złe przyjęcie — wyjaśniła.

Ruszyła przed siebie, obcasy jej butów stukały o chodnik.

—

Bonnie! — zawołał za nią Kyle Lennox. — Bonnie, wróć! Nie odwróciła się. Chciała jak najszybciej dotrzeć do swojej

ciężarówki i przestać myśleć o Kyle'u Lennoksie oraz Dzikich i krnąbrnych. Przeklinała swoją próżność. Z jakiego powodu Kyle Lennox miałby ją zapraszać? Dla jej urody, bogactwa, sławy czy inteligencji? Jak mogła przyjść na przyjęcie gwiazd telewizji w bluzce, w której wyglądała jak kelnerka z knajpy przy autostradzie, i w spodniach, z których wylewał się cały jej tłuszcz? Z purpurowym kostiumem do kąpielii w plastikowej torebce?

Kyle Lennox biegł za nią kilka metrów, w końcu jednak zrezygnował i wrócił do swoich gości.

Bonnie skręciła za róg w chwili, gdy gliniarz wkładał za wycieraczkę jej ciężarówki mandat.

Tej nocy, w ciemności

Oczy Bonnie wypełniały piekące, gorące łzy. Próbując się uspokoić, zwinęła się w ciasny

kłębuszek. Nie chciała płakać, ale tak bolało ją gardło, że nie mogła się pohamować i wydała z siebie przeciągły jęk.

Po chwili znów stęknęła, potem znowu i w końcu zaczęła tak gorzko płakać, że ledwie mogła złapać powietrze.

Duke usiadł na łóżku.

—

Z czego się do cholery śmiejesz? Spróbowała złapać powietrze, ale nie była w stanie,

Jest wpół do drugiej w nocy. Co takiego śmiesznego się dzieje?

Nie śmieję się — odpowiedziała, wycierając twarz w kołdrę. — Płaczę.

Płaczesz...? Z jakiego powodu?

Nie wiem, Duke. Chyba miałam zły sen.

Miałaś zły sen? Tak bardzo zły, że musisz hałasować jak wieloryb?

Przepraszam.

Zrób mi przyjemność i śpij. I niech ci się nie śni nic wesołego.

Bonnie wytarła oczy palcami i pociągnęła nosem.

—

Nie, Duke, na pewno nic takiego mi się nie przyśni.

Pasadena, gdzie trawa jest bardziej zielona

—

Phil — to jest Bonnie. Bonnie — to Phil, szef działu zakupów Pacific Pharmacy.

Siwy mężczyzna w srebrzystym trzyczęściowym garniturze pocałował Bonnie w rękę.

Jestem oczarowany — powiedział. — Zawsze mówię, że Ralph ma wyjątkowy gust.

Bonnie znakomicie dla nas pracowała, Phil. Pomogła nam zwiększyć obrót w tym roku o sześć procent.

—  
Doskonale rozumiem dlaczego — oświadczył Phil z uśmiechem. Był mocno opalony, jego błękitne oczy błyszczały i trochę przypominał Bonnie Blake'a Carringtona z Dynastii. Włosy miał tak uczesane, że wyglądały, jakby miał dwa rogi, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się Bonnie stwierdziła, że to peruka. — Spotkamy się potem, Bonnie — powiedział, pomachał jej i odszedł.

Musisz na niego uważać — szepnął Ralph. — To przez ego wilki mają złą reputację. Nie jest także najlepszą reklamą tupecików. Ralph przytknął palec do ust.

—  
Jeżeli Philowi Cafagnie spodoba się to, co zobaczy, nie mógł odmienić nasz los. Pacific Pharmacy ma dwieście osiemdziesiąt filii pod różnymi nazwami — od Eureka po San Diego.

—  
Dopóki nie będę musiała przeciągać palcami przez jego dywan...

Stali w kolejce w wyłożonym niebieską wykładziną dywanową holu hotelu „Ramada Inn” w Pasadenie, przy East Colorado Boulevard. Było tu pełno sprzedawców z drogerii i w powietrzu unosił się gęsty opar ciężkich perfum. Bonnie miała na sobie różową bawełnianą garsonkę, wydawało jej się jednak, że w porównaniu z pozostałymi reprezentantami branży kosmetycznej jest ubrana tandetnie. Ralph sprawił sobie nową, elegancką sportową marynarkę i wetknął do butonierki orchideę, ale mankiety jego spodni w dalszym ciągu łopotały dwa centymetry nad butami od Gucciego.

—  
W porządku — powiedział. — Plan jest taki: główna prezentacja o siódmej, potem trzy koktajle, ogólne bratanie się i jednocześnie sześć prezentacji oraz promocja „Nawilż oczy”.

Kiedy się zameldujemy, od razu możemy rzucić się w tłum.

Ralph... dziękuję, że dałeś mi jeszcze jedną szansę.

Nie powinienem był cię zwalniać. W końcu masz rodzinę.

Chyba tak...

W dalszym ciągu problemy z Dukiem?

Skąd wiesz?

Pracujemy w małej firmie. O niewielu rzeczach nie wiem.

Może to się jakoś samo rozwiąże.

Popołudnie poświęcone Glamorexowi wyszło lepiej, niż Bonnie się spodziewała. Filmy przedstawiające wszystkie produkty zostały zrobione w miejscach znanych z seriali telewizyjnych i każdy zaopatrzone w tekst pełen namiętnych, dyszących słów, które objaśniały klientkom, jak mają użyć cienia do powiek „Moja Tajemnica”, żeby wyglądać jak milionerki — albo emulsji do ciała „Blask Anioła”, by zdobyć wymarzonego mężczyznę. Dziewczyny w naszywanych cekinami minispódniczkach tańczyły do rytmicznej muzyki w kawiarni „Insom-nia”, znanej ze Śmiałych i pięknych, demonstrując nową serię lakierów do paznokci „Disco Night”. Dwie pary jadły lunch w „The Collonade Room” z Młodych i niespokojnych, promując lakier do włosów o nazwie „Miłosny Uścisk”.

Po prezentacji filmów kelnerzy wnieśli wino musujące i kanapki. Dwie zawodowe kosmetyczki — bliźniaczki — demonstrowały wszystkie linie produktów Glamorexu. Ralph nazywał te dziewczyny Zlobotomizowanymi Barbie. Kiedy Bonnie skończyła prezentację „Nawilż oczy”, podszedł do niej Phil Cafagna i uniósł swój kieliszek.

—  
Jesteś naprawdę niezłym kapitałem, Bonnie. Ralph ma szczęście.  
—

To dobry szef, panie Cafagna.

—

Na Boga, mów mi Phil... co powiesz na kieliszek wina? — Wziął od przechodzącego kelnera kieliszek i podał go Bonnie. — Wypijmy za coś. Na przykład za prawdziwą twarz, która kryje się pod maską!

Bonnie nie bardzo rozumiała, co to ma znaczyć, ale stuknęła się z nim kieliszkiem.

—

Jak to jest w twoim przypadku, Bonnie? Jak wygląda twoja prawdziwa twarz, kiedy nie sprzedajesz kosmetyków Glamorexu? Kim jesteś?

—

Jestem żoną i matką.

Nie to miałem na myśli. To, że jesteś żoną i matką, określa twoje związki z innymi ludźmi, ale nie mówi, kim jesteś.

Chyba nie za bardzo wiem. Ale mam nadzieję, że jestem dobrym człowiekiem. Kimś, kto dba o ludzi, którzy tego potrzebują.

—

Jestem o tym przekonany. Od razu widać, że zależy ci na ludziach, ale tak samo widać, że nigdy nie miałaś okazji wyzwolić się i być sobą.

Bonnie pokręciła głową, nadal nie bardzo rozumiejąc, o czym Phil mówi.

Cafagna wziął ją za ramię i zaprowadził do wyjścia na dwór. Noc była ciepła i wiał lekki wietrzyk, z sali balowej dolatywały dźwięki muzyki.

—

Pracuję stale z kobietami i uważam, że sporo o nich wiem — powiedział. — W dzisiejszych czasach robią kariery, są niezależne i mogą żyć tak, jak im się podoba, ale mimo to



tkwią w pułapce. Siedzą w więzieniu, dopóki nie znajdą kogoś, kto je wyzwoli. Ty też tego potrzebujesz, Bonnie. Potrzebujesz kogoś, kto da ci klucz i wypuści cię na wolność.

Szli wzdłuż krużganków, zwisające z nich pnącza kołysały się nad ich głowami. Zespół grał gęstą jak syrop wersję Nobody knows Me Lyle'a Lovetta i po raz pierwszy od kilku lat Bonnie poczuła spokój i rozluźniła się.

Może jeszcze kieliszek wina? — spytał Cafagna.

Chyba nie. Śniadanie jest bardzo wcześnie i zaraz potem wracamy do Los Angeles.

Cafagna zatrzymał się i popatrzył jej prosto w oczy.

Jesteś piękną kobietą, Bonnie. Powinnaś mieć wszystko. Nie mogę patrzeć, jak ktoś taki jak ty cierpi.

Nie cierpię, Phil. Jestem zwykłą pracującą kobietą, taką jak każda inna pracująca kobieta.

Tak sądzisz? Wiem, co to jest ból. Czuję go na kilometr. Bonnie wzruszyła ramionami.

Nie powiem, że nie mam problemów.

Twój mąż nie dostrzega tego, co w tobie tkwi.

Jeśli mam być szczerą, w ogóle mnie nie dostrzega. , — Twoje dzieci też sprawiają ci kłopoty.

Dziecko. Mamy tylko jednego syna. Ray ma siedemnaście lat. Czego innego można się spodziewać? Wszystkie dzieciaki sprawiają kłopoty, kiedy dorastają. I co zamierzasz z tym zrobić?

Zrobić? Czego pan ode mnie oczekuje? Pojadę do domu, jak zwykle.

A jeśli powiem, żebyś tego nie robiła?

Muszę jechać do domu, Phil. Co mogłabym innego zrobić?

Mogłabyś spędzić weekend ze mną. Moglibyśmy wsiąść na Katalinie na jacht i popłynąć przed siebie. Moglibyśmy spacerować brzegiem morza, jeść homary i pić szampana.

Bonnie uśmiechnęła się i pokręciła głową.

---

Coś ci powiem, Bonnie... Wielu ludzi uważa, że jestem casanową, podrywam kobiety, biorę je do łóżka i zaraz potem idę do następnej, ale prawda jest taka, że po prostu nie znoszę widoku kobiet, które nigdy nie miały szansy być sobą. Ich mężowie nie pozwalają im się wyzwolić, ponieważ mogłyby stać się wtedy zbyt wymagające, ich szefowie też nie pozwalają im się wyzwolić, ponieważ mogłyby wtedy zacząć żądać tego, na co zasługują. Tkwią więc w okowach, rok za rokiem, aż któregoś dnia dociera do nich, że ich życie minęło, bo straciły urodę, i zostało im już tylko czekanie na starość. W moim kodeksie to się nazywa dożywocie. Kręci mnie wypuszczanie kobiet na zwolnienie warunkowe. Kręci mnie pokazywanie im, jakie są podniecające, interesujące i atrakcyjne. Czasem łączy się z tym seks, ale nie zawsze. Seks nie jest w tym wszystkim ważny, liczy się przede wszystkim radość, gdy drzwi się otworzą i można powiedzieć: „Wyjdź i zabaw się przez chwilę. Bez pęt, bez odpowiedzialności, bez ograniczeń. Po prostu potańcz na świeżym powietrzu”.

Bonnie dokończyła wino, wspięła się na palce i pocałowała Phila w policzek.

Mogę coś powiedzieć? — spytała.

Naturalnie. Jesteś wolnym człowiekiem. Może w to nie wierzysz, ale wolno ci mówić wszystko, na co masz ochotę.

Bez pęt, bez odpowiedzialności, bez ograniczeń?

Oczywiście.

---

To, co pan powiedział przed chwilą... o wypuszczaniu kobiet na zwolnienie warunkowe, było... najbardziej protekcyjnym pieprzeniem, jakie słyszałam w życiu.

Uśmiechała się tak słodko, że przez kilka sekund nie docierał do niego sens jej słów, ale po chwili wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienił.

Uważasz, że to protekcyjne pieprzenie? — zapytał. Panował nad głosem, pobrzmiwały w nim jednak nieprzyjemne nutki.

Tak uważam. Jako kobieta, która stale pracuje z mężczyznami.

Oznacza to więc chyba, że nie spędzimy razem nocy?

To raczej mało prawdopodobne.

—

Rozumiem. Tak samo mało prawdopodobne jak to, że Pacific Pharmacy nie złoży żadnego zamówienia w Glamo-reksie?

To ma być groźba?

Nie, skarbie. To tylko protekcyjne pieprzenie.

Ralph był w barze i w radosnym nastroju popijał whisky. Bonnie usiadła obok niego i poprosiła barmana o szprycera z białego wina. Najchętniej napiłaby się piwa, ale musiała dbać o figurę.

—

Świętujmy! — powiedział Ralph, unosząc szklanekę. — Dostaliśmy dziś więcej zamówień niż przez ostatnie pół roku. Moim zdaniem głównie dzięki tobie.

—

Ralph...

—

Nie bądź taka skromna. Byłaś wspaniała. Phil Cafagna jadł ci z ręki. Nie mogę pojąć, jak mogłem chcieć cię wywalić. Wybaczysz mi?

—

Nie ma czego wybaczzać.

—

Jest. Prawda jest taka, Bonnie, że byłem zazdrosny. Chciałem cię wziąć do Pasadeny,

ale nie mogłaś jechać ze względu na męża i syna i przyznam — byłem po prostu zazdrosny.

Ralph, nie masz o co być zazdrosny.

Mam. — Pochylił się ku niej i wbił w nią wzrok, jakby chciał się upewnić, że mówi do właściwej osoby. — Kocham cię, Bonnie... Kocham cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, tyle że teraz kocham cię dwa razy mocniej, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Ralph, wypięś za dużo whisky.

Oczywiście, ale dzięki temu mam odwagę powiedzieć ci o moich uczuciach. Jesteś najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

To miły komplement, Ralph, ale masz żonę, a ja męża.

Co to za różnica? Ty wiesz i ja wiem, że oboje wzięliśmy ślub nie z tymi osobami, co trzeba.

Ralph, muszę ci coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego.

Cii... nic nie mów. Nie psuj iluzji.

Jakiej iluzji?

Iluzji, jaką mogą mieć ludzie wokół nas: że jesteśmy parą i kiedy dopijemy nasze drinki, weźmiemy na górę butelkę szampana i pójdziemy do łóżka.

Nieźła iluzja. Ralph zdjął okulary.

Naprawdę? — spytał.

Na nocnej szafce w hotelu

Bonnie otworzyła oczy. Na nocnej szafce obok niej leżały: okulary Ralpa, zegarek Ralpa w kopercie z nierdzewnej stali, promocyjny długopis Glamorexu, napoczęta paczka dropsów, 86 centów drobniakami, notes, na którego pierwszej stronie napisane było: EKSTAZA.

Następnego dnia

Rano Ralph znów się z nią kochał, tym razem w milczeniu. Poruszał się bardzo powoli, jak

człowiek, który chce się maksymalnie rozluźnić — i cały czas się w nią wpatrywał.

Bez okularów wyglądał kilka lat młodziej i niemal przystojnie. Jego ciało okazało się wspaniale umięśnione i wysportowane. Oddychał powoli przez nos i od czasu do czasu pochylał głowę, by pocałować Bonnie.

W trakcie orgazmu złapał ją za włosy z tyłu głowy i przycisnął sobie jej twarz do piersi.

Odniosła wrażenie, jakby chciał schować ją w sobie, by móc zatrzymać na zawsze i chronić.

Leżeli potem obok siebie, a poranne słońce rzucało na łóżko geometryczne wzory.

—

Chyba powinniśmy zaraz wstawać — oświadczył w pewnej chwili Ralph, spojrzawszy szybko na zegarek. — Promocyjne śniadanie zaczyna się o ósmej.

Bonnie narysowała palcem kółko na jego barku.

Duke był przekonany, że będziesz próbował wciągnąć mnie do łóżka, powiedziałam mu jednak, że nie masz szans.

Nie żałujesz?

Tylko tego, że nie nastąpiło to kilka lat wcześniej. Już zapomniałam, jakie to dobre. Jak może być przyjemne.

Nie chodzi tylko o seks. Przede wszystkim liczy się osobowość, charakter. Vanessa ma tyle charakteru co pusta walizka.

Jesteś dobrym kochankiem, Ralph. Pocałował ją.

Nie chcę, by to się na tym skończyło, Bonnie.

Oboje mamy obowiązki, Ralph. Nie jesteśmy już dziećmi.

Mimo to nie chcę, by to się na tym skończyło. Usiadła. Nie wiedziała, co powiedzieć, bo w ogóle nie

bardzo wiedziała, co się z nią dzieje. Była podniecona i czuła się odważna, a świat, w jakim

obudziła się tego poranka, był całkiem innym miejscem niż ten, w którym żyła jeszcze poprzedniego dnia. Wszystko wyglądało tak samo, ale wszystko się zmieniło — jakby podczas jej snu intensywnie pracowali dekoratorzy.

Wstała z łóżka i podeszła naga do okna. Jedną dłonią wstydliwie zakrywała podbrzusze. Ralph w milczeniu patrzył, jak odsuwa zasłony.

—  
Czuję się, jakbym uciekała — powiedziała, odwróciła się do niego i uśmiechnęła. —  
Jakbym uciekała i nigdy miała nie wrócić.

—  
Jeśli chcesz, możemy to zrobić.

Nie, nie możemy. Oboje mamy sprawy do pozafatwiania i ludzi, którzy na nas liczą.

Możemy wszystko sprzedać, wyjechać nad zatokę i do końca życia żyć jak hipisi.

—  
Miłe marzenie, panie Kosherick.

—  
To nie musi pozostać w sferze marzeń, pani Winter. Podeszła do łóżka, usiadła na skraju i delikatnie przeciągnęła  
palcami przez włosy Ralpa.

—  
Wiesz o tym, że zrobiłeś dla mnie coś bardzo dobrego?

—  
Wiem. Ty dla mnie też. Dlatego nie chcę, by to się skończyło.

—  
Cóż, zobaczymy... — mruknęła i pocałowała go w czoło.

Dziecko w kartonowym pudle

Zaparkowała półciężarówkę tuż za chevroletem Dana Mu-noza, wysiadła i ruszyła w kierunku betonowego podjazdu. Dan czekał przy frontowych drzwiach i rozmawiał z pomarszczonym siedemdziesięcioletkiem w jasnobieżowym garniturze w stylu safari.

Cześć, Bonnie.

Cześć, Dan. Ładny krawat.

—  
Dzięki. Armani. Bonnie — to George Keighley, właściciel. Oprowadzi cię po mieszkaniu, żebyś mogła sporządzić kosztorys. George — to Bonnie Winter, najlepsza sprzątaczką w mieście. Jest Królową Sprzątania.

George Keighley skrzekliwie zakaszłał i przywitał się z Bonnie skinieniem głowy. Jego skóra miała barwę utlenionej wątrobianki, a wielkie, owłosione uszy sprawiały, że wyglądał jak hobbit.

Dom był pomalowany na jasnożółto, okiennice były jasnozielone, a dach czerwony i całość wyglądała, jakby kolorystykę planował sześciolatek. George Keighley zaprowadził Bonnie do małego holu wejściowego — dusznego, ciasnego i niemal całkowicie zapchanego krzesłami.

Przeszli do salonu, dziwaczного pomieszczenia w kształcie litery L, gdzie stały kanapy i fotele oraz stolik do kawy z lat sześćdziesiątych, który zamiast nóżek miał pomarańczowe drewniane kule.

—  
Widziałaś reportaż o tej sprawie w telewizji? — spytał Dan.

—  
Nie. Co tu się stało?

Dom został wynajęty przez dwudziestoczworoletniego gościa, który nazywał się David Hinsey, i jego dwudziestodwuletnią dziewczynę, Marię Carranza. Hinsey pracował w firmie naprawiającej telewizory, a Carranza w kasie w Kwik--Marcie. Mieli dwuipółletniego syna Dylana. Problem polegał na tym, że nie stać ich było na opiekunkę do dziecka, więc przed wyjściem do pracy Carranza zamykała Dylana w wielkim kartonowym pudle i zaklejała je taśmą, żeby dzieciak nie mógł wyjść. Porobiła w tekturze dziury, żeby mógł oddychać, i wstawiła mu do środka kubek soku pomarańczowego i paczkę herbatników. Zostawiała też włączony telewizor, żeby się nie nudził — oglądał go przez wąską szparę, którą wycięła w ścianie pudła.

—  
Boże drogi... na długo tak zostawał?

—  
Na sześć, czasem siedem godzin. Czasami dłużej, jeśli Hinsey miał nadgodziny. Sąsiedzi nawet nie wiedzieli, że Carranza i Hinsey mieli dziecko.

—  
Tędy — powiedział George Keighley i znów zakaszłał.

Poprowadził ich dalej. Minęli zatechłą łazienkę z jasnozieloną wanną i prysznic z pękniętymi drzwiami i doszli do głównej sypialni.

—  
Musiałem trzymać drzwi zamknięte, by do środka nie dostali się jacyś wandalę, więc trochę śmierdzi — wyjaśnił.

Otworzył drzwi i Bonnie natychmiast poczuła smród rozkładającej się krwi, przypominający odór gnijącego kurczaka. Weszła i rozejrzała się. Tanie pomarańczowe zasłony były pozaciągane, więc chwilę potrwało, zanim jej oczy przyzwyczyły się do mroku. Od razu



poczuła przerażającą atmosferę każdego miejsca, w którym doszło do nienaturalnej śmierci — miała wrażenie, że stało się tu coś niewyobrażalnego, że rozegrało się tu coś wedle scenariusza rodem z piekła.

Pod jedną ze ścian stały dwa pojedyncze łóżka, blisko zsunięte. Leżały na nich dwa nagie niebieskie materace. Oba były mocno poplamione zbrązowiałą krwią, a na magnoliowej ścianie nad łóżkami widać było mnóstwo krwawych odcisków dłoni oraz półkolistych smug krwi i kału.

Hinseya i Carranzy nie stać było na opiekunkę do dziecka, ponieważ wszystko, co zarobili, wydawali na kokainę — wyjaśnił Dan. — Nikt dokładnie nie wie, co tak naprawdę się stało, ale wszystko wskazuje na to, że któregoś dnia Hinsey wrócił do domu i stwierdził, że Carranza dobrała się do jego zapasów. Doszło prawdopodobnie do kłótni i bójki, w trakcie której pchnął narzeczoną kuchennym nożem. Nie raz, co i tak by wystarczyło, żeby ją zabić, ale dokładnie dwieście siedem razy. Uderzał, gdzie popadnie. Nawet w twarz.

I co dalej? — spytała Bonnie. Przykucnęła na zielonym dywanie, by przyjrzeć się prostokątnej, brązowej plamie.

Kiedy Hinsey uświadomił sobie, co zrobił, popełnił samobójstwo. Zrobił seppuku. Wbił sobie nóż w brzuch, najpierw z boku, a potem przeciągnął nim parę razy na krzyż, tak że jelita wypadły na łóżko. Patolog twierdzi, że musiał umierać ze trzy godziny.

Okropne — wzdrygnęła się Bonnie.

Dan stał obok niej i patrzył, jak przeczesuje palcami poplamione włosie dywanu, by sprawdzić, jak głęboko wsiąkła krew i z czego jest zrobiony. Na szczęście było w nim kilkadziesiąt procent poliestru.

—  
Dzieciak siedział oczywiście w pudle i nie mógł wyjść. Z tydzień potrwało, nim umarł z

odwodnienia. Był tak głodny, że odrywał kawałki tektury i zjadał je.

Bonnie wstała.

Tutaj stało to pudło? — spytała, wskazując na prostokątną plamę.

Tak. Nikt z firmy nie szukał Hinseya, bo wszyscy wiedzieli, że jest niesolidny. To samo z Carranza. W końcu pan Keighley przyszedł po czynsz i wtedy ich znalazł. Patolog stwierdził, że leżeli martwi przez trzy tygodnie. Dzieciak tak napuchł, że rozsadził pudło.

Bonnie po raz ostatni rozejrzała się wokół.

Nie powinno to pana zbyt wiele kosztować, panie Keighley. Mogę wywieźć materace i wyczyścić ściany oraz dywan. Mogę też rozpylić odpowiednie preparaty, by usunąć larwy much, które mogły się poprzemknąć ze zwłok. Powiedzmy sześćset.

Sześćset? Jezus Maria! Nic dziwnego, że nazywają panią Królową Sprzątaną.

Taka jest cena, panie Keighley. Nie znajdzie pan nikogo, kto zechce się tego podjąć za mniej.

Prawdopodobnie w ogóle nie znajdzie pan nikogo, kto zechciałby się tego tknąć.

To najlepsza specjalistka od tego typu spraw — powiedział Dan i położył Bonnie dłoń na ramieniu.

Pan Keighley nadał policzki.

—

W takim razie niech będzie. Kiedy mogłaby się pani tym zająć?

Patrzyli, jak George Keighley odjeżdża kilkuletnim, ale wypolerowanym do połysku czarnym cadillakiem.

Wiesz, do kogo należał ten samochód? — spytał Dan. — Do Neila Reagana, starszego brata Ronniego.

Ronald Reagan miał starszego brata?

Trudno w to uwierzyć, nie? — Dan wyjął jasnozielone cygaro. — Czy mi się wydaje, czy jesteś

dziś jakaś inna?

Nie zauważyłam. Co masz na myśli?

Wyglądasz inaczej, choć nie wiem dokładnie, o co chodzi. Może to fryzura...

Bonnie wzruszyła ramionami, wiedziała jednak, o czym Dan mówi. Po nocy w Pasadenie czuła się całkiem inaczej. Była niemal jak oczadziąta.

Wiesz, chciałam ci o czymś powiedzieć. W rezydencji Glassów i w mieszkaniu Goodmanów znalazłam larwy motyli. Zaniiosłam jedną do Howarda Jacobsona z UCLA, by rzucił na nią okiem, i oświadczył, że to gąsienica bardzo rzadkiego gatunku motyla.

I...?

Tak naprawdę nie wiem, Howard twierdzi jednak, że ten motyl ma bardzo złą opinię w folklorze meksykańskim. Ma być ponoć dzienną postacią demonicznego bóstwa, które doprowadza ludzi do szaleństwa i sprawia, że zabijają tych, których najbardziej kochają.

Dan zapalił cygaro i wypuścił kłęb dymu.

Co chcesz przez to powiedzieć? Że Aarona Goodmana opętały złe siły? Prowadził pralnię chemiczną, właściciele tego typu firm nie nie opętują.

Oczywiście, że nie, ale Howard twierdzi, że ten motyl nie występuje nigdzie poza pewnymi miejscami w Meksyku. A wszystkie te miejsca, które sprzątałam, miały jeszcze inne związki z Meksykiem — w rezydencji Glassów stała na stole cukrowa czaszka, prawda? W domu Marrinów wisiał obraz przedstawiający Meksykanów. Goodmanowie mieli meksykańską służącą.

Jasne. Goodmanowie i półtora miliona rodzin w Los Angeles.

Nie twierdzą, że to cokolwiek znaczy, pomyślałam tylko, że to ciekawe...

Pozostawię muchy i robaki tobie, złotko. Na pewno nie chcesz, żeby ci postawić kolację?

Ulubione danie Duke'a

Wieczorem zrobiła ulubione danie Duke'a.

kilogram wieprzowych żeberek

filiżanki soku ananasowego

łyżki sosu sojowego

łyżki oleju sezamowego

posiekane ząbki czosnku drobno pokrojona ostra papryka 2 łyżeczki posiekanego imbiru

Gotowała żeberka na wolnym ogniu w soku ananasowym, aż niemal wyparował, potem dodała

pozostałe składniki, zgasiła ogień i marynowała mięso przez pół godziny. Następnie upiekła

żeberka na krucho.

—

Czym zasłużyłem sobie na ten zaszczyt? — spytał Duke. Po brodzie ściekała mu

marynata.

Niczym. Pomyślałam, że czas zacząć być dla siebie miłym. Duke pociągnął nosem i wytarł

brodę wierzchem dłoni.

Wyglądasz jakoś inaczej. Masz nowy tusz do powiek?

Nie. To ta sama stara „Pieszczota o północy”.

—

Kto wymyśla te idiotyczne nazwy? „Pieszczota o północy”?

Bonnie dołożyła sobie sałaty i przypomniał jej się Ralph. W Pasadenie zaraz po obudzeniu

wyciągnął rękę i wziął w dłoń jej pierś.

Jest jeszcze fasola? — spytał Ray.

Jest — odparła Bonnie. — Ty też jeszcze chcesz, Duke?

Kolejne sprzątanie

W poniedziałek rano zaczęły od ściągnięcia pomarańczowych zasłon. Otworzyły też szeroko

okna, by pozbyć się odoru krwi. Potem Bonnie i Esmeralda — obie w jasnożółtych kombinezonach ochronnych — wyniosły materace do ciężarówki. Na ich wierzch Bonnie rzuciła zasłony.

Gdy odsunęły łóżka, zobaczyły, że po ścianie zsunęło się na podłogę coś gnijącego i obrzydliwego i w rogu pokoju aż kłębi się od robaków. Esmeralda przyniosła odkurzacz i zebrała je z podłogi. Kiedy odkurzacz je wciągał, w rurze rozlegały się ciche pacnięcia — przypominające uderzenia pierwszych kropli deszczu w upalny dzień.

Jak było w Pasadenie? — spytała Esmeralda.

Było w porządku.

Bonnie uklękła i spryskała odplamiaczem prostokątną, brązową plamę na dywanie. Szorując, starała się nie myśleć o tym, co sprząta, ale przerażająca prawda nagle i zupełnie nieoczekiwanie spadła na nią niczym potężna, zimna fala. Wstała — musiała wstać — i o mało nie zemdląca.

Bonnie, co się stało?

Dan Munoz powiedział...

Co powiedział Dan Munoz?

Że próbował jeść tekturę.

Kto? O kim ty mówisz?

Dzieciak w kartonie. Umierał z głodu i próbował jeść tekturę.

Hej... okropnie wyglądasz. Może idź na chwilę do samochodu i odpocznij?

Nie, nie... zaraz mi przejdzie.

Wątpię. Jesteś blada jak płótno. Sama mogę skończyć.

Bonnie wzięła kilka głębokich oddechów, ale straciła równowagę i omal się nie przewróciła.

Pociła się jak zawsze przed okresem.

—  
Daj mi dwie minuty. To dlatego, że nie jadłam śniadania.

Pomóc ci jakoś?

Nie, nie trzeba. Pracuj dalej.

Wyszła na dwór. Było gorąco, ale z południowego zachodu wiała łagodna bryza i chłodziła jej pot na czole. Wsiadła do kabiny ciężarówki, otworzyła przenośną lodówkę, w której zawsze wozila śniadanie, i wyjęła schłodzoną butelkę dietetycznej coli. Wypiła dwa łyki, jednak płyn natychmiast podszedł z powrotem do góry i wyciekł jej przez nos.

—  
Spokojnie — powiedziała do siebie na głos. — Policz do dziesięciu i o niczym nie myśl.

Po pięciu minutach poczuła się lepiej. Wsiadła z samochodu i ruszyła z powrotem do domu.

Podszedł do niej dzieciak w podkoszulku w różowe paski i zaczął jej się przyglądać. Jedno oko zaciskał mocno, by nie oślepiało go słońce.

—  
To kombinezon kosmiczny? — zapytał.

—  
Nie, włożyłam go po to, żeby nie ugryzł mnie żaden zły robak.

W tym domu ktoś umarł.

Wiem.

Mały chłopiec.

Wiem. To bardzo smutne.

Jest jeszcze w środku?

Nie. Poszedł do nieba.

Kiedy ktoś umiera, trzeba się modlić.

Zgadza się. Umiesz się modlić?

Słyszałem w tym domu hałasy.

—

Tak, ale teraz już jest po wszystkim. Najlepiej o tym nie myśleć.

Chłopiec wygiął palce, robiąc z nich szpony, i wykrzywił się jak gargulec.

Słyszałem takie GRRRHHHAGGGRRRHHHHHA!

To musiało być okropne.

—

Najstraszniejszy dźwięk na świecie. GRRRHHHAGGGRRRHHHHHA!

Z drzwi sąsiedniego domu wyszła młoda, ruda kobieta.

— Tyler! — zawołała. — Co ty wyprawiasz?! Wracaj natychmiast do domu!

Popatrzyła na Bonnie, karcąco marszcząc czoło, i czekała w otwartych drzwiach, patrząc, jak chłopiec biegnie do niej. Bonnie była do tego przyzwyczajona. Nikt nie chciał mieć do czynienia z gwałtowną śmiercią — nawet jeśli chodziło o kontakt z tym, kto tylko po niej sprząta.

Esmeralda skończyła czyścić podłogę odkurzaczem i zabrała się za ściany. Były pokryte miękkim, dobrze chłoniącym płynny tynkiem i trudno było całkowicie usunąć krwawe plamy.

Przez fotel też biegł bryzg krwi, więc Bonnie nalała na miękką szmatkę trochę enzymatycznego odplamiacza i zaczęła nasączać nim plamę.

Podniosła poduchę siedziska i odłożyła ją na bok. Pod spodem leżało sześć albo siedem podobnych do spiralnych muszli kokonów — takich samych, jakie znalazła w rezydencji

Glassów. Wzięła jeden do ręki i uniosła go pod światło. Był przezroczysty i widać było kontur rosnącej w środku larwy.

W zagłębieniu z tyłu fotela coś się poruszało. Uderzyła to „coś” szmatą, zrzucając je na

podłogę. Była to gąsienica niepylaka mnemozyny — dokładnie taka sama jak ta, którą zaniósł Howardowi Jacobsonowi.

W tym właśnie pokoju zamordowano Marię Carranzę. Sądząc po nazwisku, musiała być Meksykanką. A więc i tu pojawił się meksykański element.

Bonnie ostrożnie podniosła gąsienicę i dwa kokony i wrzuciła je do plastikowej torebki.

—  
Co to? — spytała Esmeralda.

Gąsienica. Taka sama jak te, które znaleźliśmy w domu Goodmanów.

Czemu chcesz je zatrzymać? Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Pokazałam jedną sztukę profesorowi Jacobsonowi z uni-110

wersytetu, pamiętasz? Powiedział, że te motyle pochodzą z Meksyku.

Esmeralda przeżegnała się dwukrotnie i cofnęła kilka kroków.

Czego się przestraszyłaś? — spytała Bonnie.

One nie są dobre. Powinnaś je zabić. Przyniosę sprej na owady.

—  
Znasz je, prawda? Profesor Jacobson powiedział, że to gąsienice motyli — niepylaka mnemozyny.

Powinnaś je zabić.

Dlaczego?

Są niedobre, dlatego.

—  
Nie wiem, co masz na myśli, ale profesor Jacobson twierdzi, że istnieje meksykańska bogini, która nazywa się Opsapopalottle albo jakoś tak i kiedy nie jest boginią, przemienia się



właśnie w tego motyla.

Nie mów tego imienia! — krzyknęła Esmeralda, energicznie żegnając się raz za razem.

Esmeraldo, znalazłyśmy te gąsienice w trzech miejscach, w których ktoś zginął gwałtowną śmiercią, a ty najwyraźniej się boisz, więc chcę wiedzieć dlaczego.

Nie mów tego imienia! — krzyknęła ponownie Esmeralda. — Nie będę dla ciebie pracować!

Nie mów tego imienia!

Esmeraldo, na Boga, uspokój się! To zwykłe gąsienice, ale chciałabym wiedzieć, dlaczego znalazły się w tych wszystkich miejscach.

Esmeralda zakryła twarz dłońmi i długo nic nie mówiła. Bonnie stała i czekała, aż jej koleżanka weźmie się w garść. Popatrzyła na prostokątną plamę na dywanie, teraz jednak wiedziała, że sobie z nią poradzi. Gdyby jeszcze udało jej się dowiedzieć, dlaczego David Hinsey zabił Marię Carranzę, dlaczego Aaron Goodman zastrzelił swoje dzieci i dlaczego rodzina Glassów skończyła w kałuży krwi i chmurze much, może udałoby jej się odnaleźć sens życia i przyczynę wszystkich potworności, jakie się wokół niej działy.

W końcu Esmeralda opuściła ręce.

Porozmawiaj z Juanem Maderasem... On ci wszystko powie.

Kto to jest?

Przyjaciel mojego ojca. Zna wszystkie stare historie. Wie wszystko o tych motylach.

Jak można się z nim skontaktować?

Zadzwoń do mnie o trzeciej, do domu. Porozmawiam z ojcem i załatwi ci spotkanie z Juanem Maderasem.

I ten Juan Maderas... wie wszystko o tym... Opsapopalot-tlu czy jak on się tam nazywa?

—

Nie mów tego imienia! Nawet w żartach! Bonnie objęła i mocno uścisnęła Esmeraldę.

Przepraszam, Es. Nie chciałam cię przestraszyć. Kocham cię i wiesz o tym. Daj spokój, wszystko będzie dobrze. Dowiemy się, o co tu chodzi — prawdopodobnie nie ma w tym nic tajemniczego, ale i tak się dowiemy. Daj spokój, kochana, nie bój się.

Powinnaś to zabić.

Nie denerwuj się. To tylko robaki. Naprawdę.

Stały objęte jeszcze bardzo długo. Z zewnątrz dolatywał hałas ruchu ulicznego i huk startujących z LAX samolotów. Splątane, tłuste włosy Esmeraldy przylepiały się Bonnie do policzka, a jej ciało pachniało potem i tłuszczem do smażenia, ale Bonnie trzymała przyjaciółkę w objęciach tak długo, jak długo było trzeba.

Ralph dzwoni do Bonnie

Skończyły sprzątać do południa. Bonnie jechała do wysypiska w Riverside, kiedy zadzwonił Ralph.

Bonnie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Co masz na myśli? O czym?

O tym, co zaszło między tobą a Philem Cafagna.

Nie rozumiem. Nic między nami nie zaszło.

Jego zdaniem tak. Twierdzi, że próbowałaś go poderwać, a kiedy powiedział, że jest żonaty, nawyzywałaś mu od najgorszych. Z twojego powodu wycofał całe zamówienie.

Żartujesz sobie? To Cafagna próbował mnie poderwać. Pieprzył o wyzwoleniu kobiet i tak dalej i wcale mu nie nawyzywałam. Powiedziałam tylko, że nie jestem zainteresowana.

Odwołał zamówienie, Bonnie. Rozumiesz, co to znaczy? Pacific miał wziąć od nas sześćdziesiąt procent produkcji. Bez nich jesteśmy skończeni.

Ralph, przysięgam na Boga, że mówię prawdę. Przyczepił się do mnie i chciał, żebym poszła z

nim do łóżka. Odmówiłam, to wszystko.

Bonnie, rozkręcenie tego interesu zajęło mi piętnaście lat!

Phil Cafagna nie ma szefa? Zadzwoń do niego i wyjaśnij, co się naprawdę stało.

Szefem Phila Cafagny jest jego starszy brat Vincent. Sądzisz, że mi uwierzy? To koniec,

Bonnie. Padłem.

Posłuchaj, może się spotkajmy? Muszę teraz jechać na wysypisko w Riverside, ale potem mogę do ciebie podjechać.

Po co?

Żeby ustalić, co robić.

Daj sobie spokój, Bonnie. Nic się nie da zrobić.

Możemy poprosić Phila Cafagnę, by przemyślał sprawę.

Nie sądzę. Był bardzo zdenerwowany. Naprawdę zdenerwowany.

Nie wierzę, Ralph. Spotkajmy się za kilka godzin i pogadajmy.

Przykro mi, Bonnie. Jestem umówiony w banku. Zadzwonię do ciebie jutro.

Ralph...

Daj spokój. Czy pomyślałaś, jak ja się teraz czuję? Nie udało ci się z Philem Cafagna, więc z braku laku wzięłaś mnie.

Wspaniale. Dokonałaś cudu dla mojego ego... nie wspominając

o

moim zaufaniu do kobiet.

—  
Musimy porozmawiać, Ralph.

—  
Nie teraz, Bonnie. Jedź na to swoje zakichane wysypisko.

Duke wyznaje prawdę

Zamiast pojechać na wysypisko, zjechała z Washington Boulevard i ruszyła do domu. Kiedy parkowała, usłyszała dolatującą zza domu muzykę rockową. Weszła do środka.

—  
Ray, słyszysz mnie?! — zawołała. — Ścisz tę cholerną muzykę!

Przeszła przez kuchnię i wyszła na podwórko. Ray leżał na leżaku. Miał zamknięte oczy i grał na gitarze. Obok niego, czytając gazetę i dłubiąc w nosie, siedział Duke z obnażonym torsem, przy nim stał sześciopak piwa.

Bonnie odsunęła drzwi na patio i wyszła na zewnątrz. Kiedy przeszła pół podwórka, Duke podniósł głowę i zamarł z palcem w nosie.

Co ty tu robisz? — spytała. — Zdawało mi się, że dziś zaczynasz pracę.

Powiedzieli... eee... że dziś mnie nie potrzebują. Nadmiar personelu. Odesłali mnie do domu.

—  
Już pierwszego dnia powiedzieli, że cię nie potrzebują?

—  
Tak, czasami tak się zdarza. Ruch nagle spada, więc nie potrzebują tylu ludzi do zaopatrywania baru.

—  
Mamy środek wakacji, chodzi o hotel w Century Plaża

1  
akurat twojego pierwszego dnia pracy ruch nagle spada?

Duke patrzył na Bonnie i najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć. W tym momencie Ray nagle się zorientował, że matka wróciła, i otworzył oczy.

Duke, moim zdaniem istnieją dwie możliwości. Pierwsza taka, że mówisz prawdę, i wtedy będę musiała zadzwonić do twojego szefa, żeby to sprawdzić. A druga, że kłamiesz... i jeśli tak jest, oszczędzi mi to fatygi.

Duke popatrzył na Raya, ale chłopak tylko wzruszył ramionami. Wrócił spojrzeniem do Bonnie.

—  
Oszczędź sobie fatygi.

—  
W porządku... kłamałeś. W dalszym ciągu pozostają dwie możliwości. Pierwsza, że nie pokazałeś się w pracy, nie uprzedzając o tym szefa, więc powinnam zadzwonić i usprawiedliwić cię jakoś, a druga, że wcale nie masz pracy w Century Plaża, bo nie kiwnąłeś nawet palcem, by coś dla siebie znaleźć, i w tym przypadku nie muszę dzwonić, prawda? Oszczędzę sobie jeszcze więcej fatygi.

Duke milczał przez chwilę, po czym mruknął:

Aha.

Co „aha”, Duke?

Oszczędź sobie jeszcze więcej fatygi.

Zadzwoniła do Esmeraldy tuż po trzeciej.

Wszystko załatwione — powiedziała Esmeralda. — Przyjedź do nas o ósmej.

Będę.

—  
Brzmisz jakoś dziwnie. Wszystko w porządku? Bonnie popatrzyła na Duke'a i Raya, rozwalonych na leżakach.

Jasne. Nie dzieje się nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. Zobaczmy się o ósmej.

Mistyk

Esmeralda mieszkała w sześciopiętrowym apartamentowcu przy Szesnastej Ulicy, jedną przecnicę od Santa Monica Free-way. Był to brązowy ceglany budynek, stojący samotnie między dwoma zaśmieconymi, pustymi działkami. Na ulicy, w rozkradzionym mercurym maraïse bez szyb, bawiły się dzieciaki.

Za cztery ósma Bonnie zaparkowała obok mercurego i wysiadła. Sprawdziła szminkę na ustach i palcami poprawiła sztywne od lakieru włosy. Hałas ruchu ulicznego był bardzo głośny, a w powietrzu unosiła się powodująca łzawienie oczu zawiesina ze spalin. Weszła po kilku schodkach prowadzących do frontowych drzwi, już uchylonych. Były świeżo pomalowane błyszczącym bordowym lakierem, w środku widać było fragment wypolerowanego linoleum podłogi. Wcisnęła przycisk mieszkania numer 4 i męski głos spytał:

Quien?

Bonnie Winter. Szukam Esmeraldy.

Si, Esmeralda jest w domu. Wejdz na górę.

Poszła korytarzem prowadzącym do windy. Drzwi jednego z mieszkań były otwarte — w środku przed lustrem stała młoda kobieta i mocowała grzebykami włosy. W telewizji szedł hiszpańskojęzyczny program komediowy i kobieta uśmiechała się do siebie.

Bonnie wjechała na trzecie piętro. Winda była obskurna, ciasna i powolna i zalatywało w niej lizolem, jednak ktoś próbował ją nieco upiększyć, przyklejając na ścianach pocztówki z widokami z Meksyku i pociągając je lakierem.

Esmeralda czekała przy drzwiach windy. Była ubrana w karmazynowa sukienkę, której Bonnie nigdy dotąd nie widziała, włosy także związała karmazynowa wstążką.

---

Juan już jest — powiedziała szeptem.

Zaprowadziła Bonnie do małego salonu, zastawionego masywnymi meblami z lat pięćdziesiątych — była tu ciemnobrązowa kanapa z białymi, koronkowymi ochraniaczami na zagłówkach, dwa ciemnobrązowe fotele z wyszywanymi poduszkami, okrągły stół z brązowym obrusem z frędzlami. W rogu stała oszklona gablota, pełna porcelanowych figurek i ozdóbek, a kominek wyglądał jak ołtarz w katolickiej katedrze. Stała na nim odlana z gipsu figura Matki Boskiej w otoczeniu świec, a obok leżały rózańce.

W jednym z foteli siedział ojciec Esmeraldy, którego Bonnie już kilka razy widziała. Był skromnym mężczyzną z kręconymi siwymi włosami i dużymi, siwymi wąsami i miał na sobie śnieżnobiałą koszulę. W drugim fotelu siedział bardzo chudy mężczyzna w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat o zapadniętych oczach i pokrytych ospowatymi dziobami policzkach. Był mimo wszystko przystojny, miał szesane do tyłu czarne włosy i starannie przystrzyżone bokobrody. Ubrany był w czarną koszulę ze srebrną muchą i czarny, mocno wcięty w pasie garnitur z szerokimi klapami.

—  
Bonnie, to jest Juan Maderas.

Juan wstał i ujął obie dłonie Bonnie. Był wysoki, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i pachniał kwiatową wodą kolońską. Ten zapach przypominał Bonnie zapach kamelii, które leżały na grobie jej ojca.

—  
Esmeralda opowiadała mi o tobie — powiedział basowym, chrapliwym głosem. —

Wygląda na to, że jesteś kimś szczególnym. To, co robisz, wymaga silnego charakteru.

—  
Staram się. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.

Nie ma za co. To żaden kłopot. Zainteresowało mnie to, co Esmeralda powiedziała o tych motylach. To naprawdę bardzo ciekawe.

Nigdy przedtem nie widziałam nic podobnego, a widziałam już chyba wszystko, co lata i pełza.

W moim zawodzie człowiek staje się ekspertem od robaków.

Dlaczego nie siadasz? — spytał ojciec Esmeraldy. — Esmeraldo, otwórz wino.

Dziękuję, nigdy nie piję, kiedy prowadzę.

To może coca-colę?

—

Muszę dbać o figurę — odparła Bonnie. — Poproszę wodę.

Usiadła na kanapie obok ojca Esmeraldy. Juan Maderas także usiadł i splótł długie palce. Na środkowym palcu prawej dłoni miał srebrny pierścień z czaszką.

—

Esmeralda mówiła, że zaniósłaś motyle do profesora z UCLA.



Nazywa się Howard Jacobson. Jest najlepszym ekspertem od owadów. Napisał o nich mnóstwo książek i wykonał masę ekspertyz sądowych. Czasem etap rozwoju robaków jest jedynym sposobem na określenie chwili czyjejś śmierci. Nie spodziewałby się pan, jak szybko ludzkie ciało rozkłada się w wysokiej temperaturze.

I ten profesor Jacobson był pewien, że chodzi o niepylaka mnemozynę?

Tak. Opowiedział mi też związaną z nim legendę. O ob-sydianowej bogini, której imienia chyba nie zapamiętałam...

Izpapalotl. Oznacza to „obsydianowy motyl”. Nazwa wzięła się stąd, że owa bogini ma wyrastające z ramion wielkie, motyle skrzydła, na których brzegach są ostrza obsydianowych noży.

To samo powiedział Howard. Miała też mieć nóż zamiast języka.

Zgadza się. Izpapalotl spadła z Nieba razem z Tzitzimine, demonami, które przybrały na Ziemi najróżniejsze postacie i kształty — skorpionów, ropuch czy nawet lasek do chodzenia.

Nazywamy je „śmiercionośnymi rzeczami”. Jedna z Tzitzimine przybrała kształt oślej czaszki i pojawiała się nocami na skrzyżowaniach dróg. Tego, komu się ukazała, prześladowała do

samego domu, krzycząc wniebogłosy. — Juan Maderas napił się wina, po czym mówił dalej:

— Izpapalotl czasem nosiła płaszcz, który czynił ją niewidzialną, kiedy indziej ubierała się jak dama z meksykańskiego dworu, posypywała twarz białym pudrem i oklejała ją paskami gumy.

Palce jej dłoni zamieniały się wtedy w pazury jaguara, a palce u nóg w orle szpony. W

określone dni azteckiego kalendarza latała po miastach i wsiach jako motyl, prowadząc za sobą

martwe czarownice, również przemieniane w motyle. Wlatywały do domów i wpadały

ludziom do uszu, szepcząc złe słowa i namawiając ich do mordowania swoich najbliższych.

Izpapalotl chciała, żeby jak najwięcej dusz przeszło do Mictlamy i zamieniło się w motyle, a

najlojalniejszymi duszami były dusze tych, którzy najmocniej kochali swoje rodziny, jednak mimo to zwrócili się przeciwko nim i wszystkich pozabijali.

—  
To jest to... — mruknęła Bonnie i pokiwała głową — ...zabijali tych, których najbardziej kochali. Dokładnie to się stało we wszystkich trzech miejscach, w których odkryłam te motyle.

Juan Maderas przyglądał się jej uważnie, jego czarne, zapadnięte oczy błyszczały jak żuki.

Mamy dwutysięczny rok... Naprawdę wierzysz, że ci ludzie zostali zamordowani przez prastarego azteckiego demona?

Nie wiem. To brzmi wariacko, prawda? Jednak żadna z tych osób nie miała motywu... nie miała żadnego powodu, by zabijać swoje dzieci. Jedni mieli problemy ze znalezieniem opieki nad dzieckiem, drudzy brali narkotyki, ale trzecia rodzina... wszyscy twierdzą, że mężczyzna był bardzo dobrym ojcem, a jednak zastrzelił troje swoich dzieci. Bez żadnego powodu.

Czasem ludzie robią różne okropne rzeczy, powinnaś dobrze o tym wiedzieć. I nie oznacza to wcale, że zachęciła ich do tego Izpapatl.

Ale motyle i meksykańskie elementy łączyły wszystkie te trzy miejsca. Nie przywiązywałabym do tego zbyt wielkiej wagi, jednak Howard powiedział, że niepylaka mnemozyny nigdy jeszcze nie spotkano w Kalifornii. Nigdy.

Juan Maderas przez długi czas milczał. Napił się wina, po czym wyjął czarną, jedwabną chusteczkę i otarł usta.

Nie wiem, co ci powiedzieć. Wielu ludzi w dalszym ciągu wierzy w Izpapatl i Mictlantecuhtliego, Pana Krainy Zmarłych. A także w Tzitzimine. Kiedy byłem młodszy, widziałem kiedyś, jak starzy mężczyźni, przyjaciele ojca, upuszczali sobie krew z uszu i nosa i skrapiali nią laski, którymi się podpierali, żeby uchronić się od złych duchów, które ich

zdaniem mogły się tam ukryć. Dziś jednak... nie wiem.

Co Aztecy robili, żeby utrzymać z dala od siebie Izpapatl?

Zazwyczaj składali ofiary z ludzi... wycinali im serca i śpiewali pieśń, sławiącą Izpapatl jako ich matkę i opiekunkę.

I to działało?

Wedle zapisów tak. Azteccy kapłani dokumentowali każdą ofiarę.

Bonnie przez chwilę nad czymś się zastanawiała.

Jestem bardzo praktyczną osobą, panie Maderas. Widziałam wielu martwych ludzi i nie wierzę w duchy, coś się tu jednak dzieje — coś bardzo dziwnego — i musi mieć jakąś przyczynę.

Cóż... może masz rację. Meksykanie wycierpieli w Los Angeles wiele niesprawiedliwości i nadal traktuje się ich niezbyt dobrze. Może Itzpapalotl musiała wrócić z zaświatów, żeby przeprowadzić mającą im pomóc krucjatę.

Ojciec Esmeraldy odchrząknął.

Kiedy byłem młody, człowiek, który prowadził sklep w naszym osiedlu, obraził moją matkę — powiedział. — Znaleźli jego ciało w Griffith Parku, miał obcięty język. W taki sposób zabijał swoje ofiary nocny spijacz Xipe Totec — wycinał im języki, żeby wykrwawili się na śmierć, i wypijał ich krew.

Nigdy nie znaleziono zabójcy?

Przecież zrobił to Xipe Totec.

Bonnie posiedziała jeszcze trochę, ale była mocno zdenerwowana. Nie potrafiła wyczuć, czy Juan Maderas rzeczywiście wierzy w istnienie Itzpapalotl, czy też stroi sobie z niej żarty.

Mówił bezbarwnym, monotonnym i obojętnym głosem, jakby dyskutował o cenie świec, było w nim jednak coś niepokojącego. Od czasu do czasu ojciec Esmeraldy wtrącał coś bez ładu i składu, na przykład mówił: „nie wolno spać w piekle... trzeba czuwać, żeby wytrzymać karę... tak się mówi”.

Bonnie wyszła stamtąd zdezorientowana i przygnębiona. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Ralpha do domu, uznała jednak, że jeszcze bardziej by się rozżłościł. Noc spędzona z nim w

Pasadenie wprawiła ją w radosny nastrój — było jej to bardzo potrzebne, zwłaszcza po upokorzeniu, jakiego doznała na przyjęciu u Kyle'a Lennox. Wydawało jej się, że teraz całe jej życie się zmieni. Nie myślała jeszcze co prawda o opuszczeniu Duke'a i rozpoczęciu życia z Ralphem, ale od takiej decyzji dzielił ją tylko krok.

W drodze powrotnej puściła sobie Evergreen. Śpiewała do wtóru muzyki i nagle z oczu trysnęły jej łzy — tak obfite, że po chwili zaczęły skapywać na nowiuteńkie dżinsy. Nie mogła znieść myśli, że być może już nigdy nie będzie się kochać z Ralphem.

Uliczne światła tańczyły przed samochodem czerwonymi, jaskrawymi, rozmazanymi plamami, niczym latarnie podczas meksykańskiego karnawału.

Niezwykła cisza

Kiedy następnego dnia otworzyła oczy, jej uwagę natychmiast zwróciła panująca wokół cisza. W tynku nad jej głową było cienkie pęknięcie, które zawsze przypominało jej czarownicę ze spiczastym nosem i wydatnym podbródkiem. Słońce świeciło teraz na „twarz” postaci na suficie, co sprawiało wrażenie, że czarownica mruga. Bonnie usiadła na łóżku i popatrzyła na zegarek przy łóżku. Była 8.23.

Przerażona, spuściła nogi na podłogę. Duke spóźni się do pracy, Ray do szkoły, a ona do...

Nagle uświadomiła sobie, że nikt nigdzie się nie spóźni. Duke nie pracował, Ray nie chodził do szkoły, a ona straciła pracę, więc też nie miała gdzie iść — dopóki Ralph nie zmieni zdania o Philu Cafagnie.

Pchnęła dłonią kłęb zwiniętej obok kołdry.

— Duke, już prawie wpół do dziewiątej. Chcesz kawy?

Nie odpowiedział, ale wcale tego nie oczekiwała. Gdyby dziesięć metrów od domu spadł boeing 747, Duke też by się nie obudził. Znow pchnęła kołdrę.

—  
Chcesz kawy? Nie będę ci dziś robiła śniadania... nie chcę, żebyś znów oskarżał mnie o to, że chcę cię zamordować.

W dalszym ciągu nie odpowiadała.

—  
Duke, nie możesz przez cały dzień leżeć w łóżku! — krzyknęła. — Idź na miasto i poszukaj sobie pracy.

Złapała kołdrę i odrzuciła ją na bok — ale w łóżku nie było Duke'a. Kształtem, który wzięła za niego, była dodatkowa poduszka - musiała odepchnąć ją od siebie w nocy.

Zmarszczyła czoło, wstała i poczłapała do łazienki po podłodze, wyłożonej bladoniebieską, poliestrową wykładziną.

—  
Duke?! — zawołała i otworzyła drzwi. Jednak i tam go nie było — i po raz pierwszy w historii małżeństwa państwa Winterów deska klozetowa była opuszczona.

Poszła do salonu. Czasami Duke wypijał tak dużo piwa, że zasypiał na kanapie przed telewizorem. Ale telewizor był wyłączony, nikt nie leżał na kanapie, a poduszki były równo ułożone.

—  
Duke... — powtórzyła, tym razem jednak tak cicho, że nie mógłby jej usłyszeć, nawet gdyby znajdował się gdzie blisko.

W kuchni też go nie było. Otworzyła nawet drzwi do spiżarni. Nie było go również na podwórku i — dzięki Bogu! — jego ciało nie pływało w basenie. Kiedy wracała do domu, by sprawdzić, czy nie śpi w pokoju Raya — choć nie bardzo wiedziała, dlaczego miałby to zrobić

— w wiszącym w holu lustrze w złoconych ramach dostrzegła odbicie swojej zmartwionej twarzy. Duke pokój syna zawsze nazywał „Pierdzialnią” i niemal słyszała jego głos: „Wiesz, dlaczego dzisiejsze dzieciaki tyle pierdzą? Przez jedzenie. Przez pieprzone warzywa. Jak można mówić, że to zdrowe jedzenie, skoro człowiek może się od niego udusić?”.

Zapukała do drzwi Raya.

—  
Ray? Ojciec jest u ciebie?

Nie było odpowiedzi, więc ponownie zapukała i zajrzała do środka. Duke nie leżał na dywanie, ale łóżko też było puste i nie wyglądało, jakby ktoś na nim tej nocy spał. Zasłony nie były zasunięte.

Bonnie zaczęła się naprawdę niepokoić. Pamiętała, jak szła minionego wieczora do łóżka.

Pamiętała, że wzięła długi prysznic, a potem włożyła koszulę nocną i położyła się do łóżka.

Pamiętała, że zastanawiała się, kiedy przyjdzie Duke, bo niemal zawsze, gdy wtaczał się do sypialni, budził ją, klnąc, bekając i potykając się o własne stopy. Na tym jednak koniec. Nie pamiętała nawet, czy — jak zwykle — całowała Raya na dobranoc.

Poszła do frontowych drzwi. Były zamknięte na klucz, zaryglowane, założony też został łańcuch. Drzwi na patio również były zaryglowane. Żadne z okien nie było otwarte. Duke i Ray musieli wyjść z domu, zanim poszła do łóżka i pozamykała za nimi drzwi i okna, ale nie pamiętała, żeby to robiła, i nie wiedziała, po co Duke i Ray mieliby gdzieś wychodzić. Duke nie miał pieniędzy, wątpliwe więc, by udał się do hotelu, nie miał też przyjaciół, u których mógłby przenocować. Może spał u któregoś z kumpli Raya?

Ale dlaczego? Pamiętała, że kłóciła się z Dukiem, bo okłamał ją w sprawie pracy, pamiętała, że Ray coś mówił o taniej meksykańskiej sile roboczej, która rujnuje ich życie, i o tym, że meksykańscy handlarze narkotyków zabili jednego z jego przyjaciół. To było jednak zaraz po

południu. Nie pamiętała, co działo się potem.

Tak! O trzeciej zadzwoniła do Esmeraldy, wzięła prysznic, przebrała się i pojechała do niej na Szesnastą Ulicę. Rozmawiała z Juanem Maderasem, po czym wróciła do domu. Czy Duke i Ray byli w domu, kiedy przyjechała? Nie mogli nigdzie pojechać, bo wzięła samochód Duke'a — stał teraz obok jej półciężarówki na podjeździe.

Czuła się, jakby była minionego wieczora na wielkim pijaństwie i urwał jej się film.

Poszła do kuchni i naląła sobie szklanekę soku pomarańczowego. Kiedy ją opróżniła, wypila jeszcze kilka łyków prosto z kartonu. Nie było śladów walki — nic nie było potłuczone ani



połamane. Wręcz przeciwnie — cały dom był w nienagannym stanie. Nawet dywany zostały odkurzone i przeczesane specjalną szczotką.

Wróciła do pokoju Raya i znalazła jego notes z telefonami, z Bartem Simpsonem na okładce. Większość stron była pokryta gryzmołami, historyjkami rysunkowymi i wykrzyknikami, udało jej się jednak znaleźć numer telefonu najbliższego przyjaciela syna — Kendala.

—  
Pani Rakusen? Mówi Bonnie Winter. Przepraszam, jeśli przeszkadzam, ale byłam ciekawa, czy widziała pani może Raya. Nie nocował u państwa? Rozumiem... Mogłaby pani spytać Kendala? Aha. Gdyby go pani zobaczyła, proszę mu przekazać, żeby zadzwonił do matki. Nie wrócił na noc i trochę się niepokoję. Tak, zwłaszcza po tym, co się stało. Dziękuję. Zadzwoniła jeszcze do dwóch innych przyjaciół Raya i do dziewczyny, z którą się czasem spotykał, Cherry-Jo. Nikt go nie widział ani o nim nie słyszał.

Usiadła w salonie. Przygryzając wargę, zastanawiała się, co dalej. Znowu obeszła dom — tym razem zaglądała nawet pod łóżka.

W końcu zadzwoniła do Ruth.

Ruth... stało się coś dziwnego.

Nie mów tylko, że to znowu coś z Dukiem... no wiesz...

Nie żartuję, Ruth. Duke i Ray zniknęli.

Gratuluję! Jak to zrobiłaś?

Odeszli, Ruth, i nie wiem, jak to się stało ani dokąd poszli.

Nie żartujesz, prawda? Co masz na myśli, mówiąc, że zniknęli?

Bonnie opowiedziała o kłótni z Dukiem, o pustych łózkach, opuszczonej desce klozetowej i zamkniętych od wewnątrz drzwiach.

Musieli wychodzić, ale nie pamiętam tego momentu. Jakby coś wytarło mi kawałek pamięci.

Jakby mój mąż i syn nigdy nie istnieli.

E tam — prychnęła Ruth. — Moim zdaniem próbują ci wyciąć jakiś idiotyczny numer. Duke należy do mężczyzn, którzy nienawidzą, jeśli baba im mówi, co mają robić, zwłaszcza jeśli chodzi o podniesienie tyłka z kanapy i poszukanie pracy. Uwierz mi, wróca, kiedy tylko zaburczy im w brzuchu.

Bonnie chciała powiedzieć Ruth o swojej wizycie u Esmeraldy, spotkaniu z Juanem Maderasem i Itzpapalotl, ale po namyśle postanowiła tego nie robić. Nie chciała, by przyjaciółka pomyślała, że dostała kręćka.

Bonnie dzwoni do Ralpha

Ralph, musisz mi uwierzyć, że nie próbowałam kręcić z Philem Cafagna.

Nie przejmuj się. Zapomniałem już o tym.

Ale ja nie chcę, żebyś o tym zapomniał. To, co się między nami wydarzyło, było ważne.

Wiem. Nie mówię, że nie, tylko Glamorex się rozpada i nie mam czasu na myślenie o niczym innym.

Ralph, Duke odszedł.

Co?

Zostawił mnie. Nie wiem, gdzie jest, ale zabrał Raya.

Przykro mi, Bonnie, ale to, że Duke odszedł, niczego nie zmieni. Nic by się także nie zmieniło, gdyby Vanessa nagle umarła. Czasem coś wychodzi, a czasem nie wychodzi. Nazwij to losem, przeznaczeniem, określ to, jak chcesz.

Ralph, proszę cię... dałeś mi coś... pokazałeś mi, że mężczyzna może mnie pożądać. Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżyłam. Nigdy. I nie mów, że tobie też się to nie podobało.

Cisza, która zapadła, trwała dwadzieścia uderzeń serca.

Kocham cię, Bonnie — odezwał się w końcu Ralph. — Przykro mi, że cię ranie, ale ja też  
jestem zraniony. Oboje musimy się pogodzić z tym, że to, co się stało, to tylko kolejna

niezrealizowana szansa...

Nie, Ralph! Posłuchaj... — urwała, bo doskonale wiedziała, że to nie ma sensu. Nie wyłączyła telefonu, opuściła tylko rękę, w której go trzymała, i stała naprzeciwko biura Glamorexu, patrząc na Ralpha, stojącego tuż przy oknie swojego gabinetu. Po chwili odłożył słuchawkę, objął klatkę piersiową ramionami i spuścił głowę.

Motyl

Kiedy wróciła do domu, zadzwoniła do kilku następnych przyjaciół Raya, jednak żaden z nich go nie widział. Zadzwoniła nawet do matki Duke'a, która mieszkała w Domu Starców w Anaheim. Ale pani Winter tylko pomrukiwała i pokasływała i ciągle kazała sobie przypominać, kto dzwoni.

—

Bonnie jaka? Duke? Kto o niego pyta? Zadzwoniła też do swojej matki, która wydała z siebie

odgłos, stanowiący według Bonnie dźwiękowy ekwiwalent wzruszenia ramionami.

—

Pfoff, tacy są mężczyźni. Odchodzą, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. I tak nigdy nie rozumiałam, co ty w nim widzisz.

Bonnie przeszukała ponownie dom, tym razem szukając jakiejś wskazówki, co mogło się wydarzyć. Za bojlerem znalazła zniszczony od gorąca i wilgoci egzemplarz „Hust-lera”. Pod piżamami Raya był nóż sprężynowy i zwitek folii kuchennej z niewielką ilością marihuany. Nie znalazła jednak niczego, co mogłoby wyjaśniać, dlaczego jej syn i mąż zniknęli.

Zadzwoniła Ruth.

—

Jakieś ślady po chłopcach-wędrowniczkach?

Żadnych. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało.

Nie mówili nic przed wyjściem?

Nie pamiętam chwili, w której wychodzili.

Przecież to było wczoraj. Jak to możliwe?

Po prostu nie pamiętam, to wszystko. Pokłóciliśmy się, może wyszli zaraz potem.

Wiesz, czego ci potrzeba? Odpoczynku. Wpadnij do mnie, wypijemy kilka drinków i zrobimy sobie paznokcie.

Ruth, ja się naprawdę martwię... — Nagle dostrzegła na stojącej na parapecie roślinie jakiś ruch. Powolny, specyficzny ruch, jakim przemieszczają się gąsienice, — Poczekaj chwilę — rzuciła do słuchawki. — Muszę na moment odejść.

Odłożyła słuchawkę i podeszła do okna. Czubkiem długopisu, który wzięła po drodze, zaczęła delikatnie podnosić po kolei liście rośliny. Pod trzecim liściem wisiała nakrapiana czarno gąsienica *Parnassius mnemosyne* — motyla znanego jako niepylak mnemozyna albo Izpapatl.

Bonnie wpatrywała się w nią i nie wiedziała, co robić. Z leżącej za jej plecami słuchawki dolatywał przytłumiony głos Ruth:

—

Halo? Halo! Bonnie... jesteś tam? Co się stało? Bonnie puściła liść i wróciła do telefonu.

Ruth... zaczynam podejrzewać, że mogło się stać coś okropnego.

Daj spokój, Bonnie, znasz Duke'a. Wróci, zanim się spostrzeżesz.

Chyba będę musiała porozmawiać z Danem Munozem. Naprawdę uważam, że mogło się stać coś okropnego.

Dan przyjechał po ponad godzinie. Miał na sobie kremowy blezer ze złotymi guzikami i czarną jedwabną koszulę.

Cześć, Bonnie, co słyhać? Zaprowadziła go do salonu.

Chcesz kawy albo coś innego?

Nie, dziękuję, miałem być w La Brea już kwadrans temu. Jakiś dzieciak zabił swojego najlepszego przyjaciela, wbijając mu w serce czubek plażowego parasola.

Nie zawracałabym ci głowy, ale poważnie się niepokoję.

Nie ma sprawy. Od czego ma się przyjaciół? Podała mu zakręcony słoiczek.

Znalazłam to na tamtej roślinie.

Dan podniósł słoiczek i przyjrzał się zawartości, szkło powiększało jego oko.

—

Obrzydliwy mały koleś.

—

To ten sam motyl, o którym ci mówiłam... niepylak mnemozyna.

—

No i co?

—

Duke i Ray zniknęli i uważam, że musiało się stać coś okropnego.

Dan rozejrzał się po salonie.

—

Na przykład co?

—

Cóż... może ten motyl to naprawdę jakaś meksykańska demoniczna bogini, która za dnia wygląda jak motyl, a po zapadnięciu zmroku zamienia się w potwora z nożami na skrzydłach?

Dan popatrzył na nią i w zamyśleniu podrapał się po brodzie.

Powiedzmy... I co?

Mogła ich zabić... a potem zabrać.

—

Jeżeli ich zabiła, to gdzie krew? Ma noże na skrzydłach, tak? I nóż zamiast języka?

Wszędzie byłoby pełno krwi, a twoje mieszkanie wygląda jak zdjęcie z rozkładówki „Ideal Homes”.

—

Może po prostu tylko ich zabrała.

Bez śladów walki? I tak, że nic nie zauważyłaś? Daj spokój, Bonnie...

Nie wiem. Nic nie pamiętam. Jakby wymazano mi z pamięci kawałek wczorajszego dnia.

Prawdopodobnie jesteś po prostu przemęczona. Kiedy jestem zbyt zmęczony, też miwam wyrwy w pamięci. Mam je nawet wtedy, kiedy nie jestem zmęczony. Najlepiej spróbuj odtworzyć cały wczorajszy dzień krok po kroku.

Próbowałam, ale nie mogę sobie niczego przypomnieć.

Co robiłaś rano? Sprzątałaś u George'a Keighleya, tak?

0

której skończyłaś?

—

O dwunastej, może piętnaście po.

—

I co dalej? Wyrzuciłaś materace na wysypisku w Ri-verside?

—

Tak. Potem wróciłam do domu i był nie tylko Ray, ale



Duke. Twierdził, że znalazł pracę w Century Plaza, okazało się to jednak kłamstwem.

Pokłóciliśmy się o to.

—  
I wtedy wyszedł?

—  
Nie... zadzwoniłam koło trzeciej do Esmeraldy i pamiętam, że kiedy rozmawialiśmy, wyglądałam na podwórko i obaj leżeli na leżakach. Wzięłam prysznic, przebrałam się i mniej więcej kwadrans po siódmej pojechałam do miasta, do Esmeraldy, by spotkać się z facetem, który nazywa się Juan Maderas i wie wszystko o meksykańskiej mitologii.

Potem wróciłaś do domu?

Tak.

O której?

—  
Nie pamiętam. Niezbyt późno. Może było wpół do dziesiątej.

—  
Czy kiedy wróciłaś, Duke i Ray jeszcze byli? Bonnie zmarszczyła czoło. Pamiętała, jak parkuje, potem

otwiera frontowe drzwi... Pamiętała też chwilę, kiedy kładła się do łóżka, mówiąc: „Spij

dobrze, Duke. Karaluchy pod poduchy". Jeżeli mówiła do niego, musiał być w pokoju.

—  
Duke był w domu — powiedziała powoli i skinęła głową. — Na pewno był. Musiał wypić za dużo piwa i poszedł wcześniej do łóżka.

—  
A co z Rayem?

Bonnie przypomniała sobie, że zapukała do drzwi Raya i zawołała: „Dobranoc, Ray. Nie słuchaj całą noc muzyki!”. Czyli Ray również musiał być w domu.

—  
Tak... Ray też był. Dan skrzywił się.

Wiesz, do czego nas to prowadzi? Do wniosku, że w którymś momencie w nocy Duke i Ray wstali z łóżek i wyszli frontowymi drzwiami, w jakiś cudowny sposób zasuważąc od wewnątrz zasuwę i zakładając łańcuch.

Właśnie dlatego uważam, że stało się coś okropnego.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że mówisz o czymś, co nie mogło się wydarzyć. To nie serial Z archiwum X. Chyba tak naprawdę w to nie wierzysz?

Nie wiem. Porozmawiaj o tym z Howardem Jacobsonem. Albo z Juanem Maderasem. A także ojcem Esmeraldy. Wszyscy oni uważają, że ta bogini istnieje.

Dan wyjął notes i otworzył go. \$ — Powiem ci, co zrobię, Bonnie. Kiedy skończymy przy La Brea, poproszę kilku techników od zabezpieczania śladów, żeby rzucili okiem na twój dom. Oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Jasne, że nie, jeśli to pomoże dowiedzieć się, co się stało z Dukiem i Rayem.

Nic nie chcę obiecywać, ale nigdy nic nie wiadomo. Sprawdź wszystkie bary, do których

mógłby pójść Duke. Popytaj jego przyjaciół.

On nie ma przyjaciół.

Życie bez Duke'a

Następne cztery dni minęły jak niemy film. Bonnie budziła się co rano i wokół panowała cisza.

Siadała przy stole w kuchni i jadła jogurt, oglądając jednocześnie telewizję z wyłączonym głosem. Potem stała w salonie i wyglądała przez okno, spodziewając się, że lada chwila Duke i Ray pojawią się na ulicy i będą do niej machać. Nic takiego jednak nie następowało.

Popołudniami, kiedy słońce chowało się za dom, wychodziła na podwórko i przeglądała czasopisma, czekając, aż zadzwoni telefon.

i Piątego dnia, kiedy właśnie skończyła jogurt, zadzwonił porucznik Munoz.

W Benedict Canyon jest sprzątanie, które cię może zainteresować — powiedział. — Czy mogłabyś spotkać się tam ze mną o dziesiątej?

Nie wiem, Dan.

To potrzebuje twojej delikatnej ręki. Wiem, że Ken Kessler posprzątałby tak samo dobrze jak ty i jest gotów to zrobić, jeśli nie będziesz zainteresowana, ale... zobaczysz, co mam na myśli, kiedy przyjedziesz.

Dobrze... siedzenie w domu i rozczulanie się nad sobą chyba nie najlepiej mi robi.

Zuch dziewczyna. No to do zobaczenia, tak?

Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak wiele krwi. Aż trudno było uwierzyć, że tyle jej mieściło się w jednym człowieku i że mógł przepelznąć po pokojach, tak bardzo krwawiąc.

Dom stał na dole ostrej skarpy po wschodniej stronie Benedict Canyon — był elegancką, parterową rezydencją z białymi ścianami i porośniętą bugenwillą werandą. Wnętrze było również całkowicie białe i tak wychłodzone, że miało się wrażenie, iż jest się w igloo. Ściany były białe, dywany były białe, meble były białe — i ślady krwi były tym bardziej przerażające.

Wszędzie były bryzgi krwi, plamy krwi i malowidła z krwi w stylu action painting Jacksona Pollocka. Krew była na ścianach, na meblach, na drzwiach lodówki.

Dan zaprowadził Bonnie najpierw do salonu.

—  
Powiem ci, co się stało. Pani Chloris Neighbor poszła jak zwykle w czwartek po południu na trzygodzinną lekcję tańca. Jej mąż, pan Anthony Neighbor, niezależny architekt, pracował w domu, więc przez część każdego czwartku był w domu sam. Ostatniego czwartku wykorzystał okazję, by rozebrać się do naga i obejrzeć film porno. W którymś momencie postanowił zintensyfikować doznania, wkładając sobie w odbyty świetłówkę. Musiał być bardzo podniecony, bo ją zapalił, i wtedy rozprysnęła się wewnątrz jego ciała. To tylko przypuszczenie, ale wygląda na to, że wstydził się zadzwonić pod dziewięćset jedenaście. Pełził z pokoju do pokoju, próbując jakoś powstrzymać krwawienie, ale stracił przytomność i zmarł.

Bonnie potarła dywan butem.

To będzie sporo kosztować.

Pani Neighbor czeka na zewnątrz.

No to chodźmy do niej.

Wyszli. Pani Neighbor czekała na nich pod drzewami, jej twarz rozświetlało tańczące między liśćmi światło. Była niska, bardzo szczupła, miała związane w kucyk jasnoblond włosy i oczy zaszczutego zwierzęcia.

Pani Neighbor, nazywam się Bonnie Winter. Współczuję pani z powodu straty.

Dziękuję. Trudno zrozumieć świat, jeśli traci się męża w taki sposób.

—  
Wiem.

Czuję się przez to... chyba wyobraża to sobie pani. Może gdybym była odpowiednia, nigdy by nie...

Nie może pani siebie o to obwiniać. Kto wie, co się dzieje w męskich głowach? — Popatrzyła na Dana, jakby zachęcała go, by powiedział: „Tylko cień to wie, ho-ho-ho”.

Nie posprzątam tego sama — powiedziała cicho pani Neighbor. — Uwielbiałam go. Kochałam każdy włos na jego głowie. Nigdy nie sądziłam, że kiedyś będę musiała zmywać z podłogi jego krew. Nie byłoby mnie na to stać. To tak, jakbym zmywała jego życie, nasze wspólne życie.

Wie pani może, czy jesteście ubezpieczeni na wypadek zniszczeń pośmiertnych?

Pani Neighbor popatrzyła na Bonnie szeroko otwartymi oczami.

Słucham...?

Pani mąż pozostawił bardzo drogi bałagan.

To krew jego życia! To on!

—

Zgadzam się z panią i obiecuję, że sprzątniemy wszystko z należyтым szacunkiem — powiedziała Bonnie. Nie warto było wspominać, że także z dużą ilością dettoxu.

Kiedy wracała do buicka, dogonił ją Dan. Otworzył jej drzwi.

Dostałem dziś rano raport od techników.

I co?

Dość dokładnie sprawdzili twój dom i wiesz, co twierdzą? Że to najczystszy dom, z jakim mieli do czynienia. Bez najmniejszej plamki.

Nie znaleźli niczego, co naprowadziłoby ich na ślad tego, co się stało z Dukiem i Rayem?

Absolutnie niczego. Sprawdzili nawet ręczki kuchennych noży.

Po co?

Bo to najczęściej używane narzędzie przy zabójstwach popełnianych w domu. Większość sprawców myje je potem, nie wie jednak, że kiedy wbijają nóż w ciało, zazwyczaj między ostrze a plastikową albo drewnianą ręczkę dostają się mikroskopijne ilości krwi, których nie da

się usunąć. Tak samo jak nie da się usunąć z rączki noża sera albo mięsa, nawet w zmywarce.

Co chcesz mi przez to powiedzieć?

Tylko to, że jeden z twoich kuchennych noży nie był nowy, ale był czysty jak nowy. Innymi słowami, nie było na nim śladów jakiegokolwiek materii pochodzenia biologicznego. Oczyszczyć

nóż w ten sposób można tylko roztworami enzymatycznymi, przeznaczonymi do usuwania śmietany, jogurtu, mleka, jajek, lodów, sera i krwi.

Nie rozumiem...

Nikt nic nie sugeruje, Bonnie, nikt nikogo nie oskarża.

Technicy mówią tylko, że jeden z twoich kuchennych noży był nienaturalnie czysty. To nie jest dowód, ale ciekawy brak dowodów.

I to wszystko, czego się dowiedzieli?

Chętnie przeprowadziliby dokładniejsze poszukiwania, jeżeli pozwolisz. Jako twój przyjaciel doradzałbym ci jednak, żebyś przed wpuszczeniem ich po raz drugi do domu porozmawiała ze swoim adwokatem.

Co chcesz przez to powiedzieć? Sugerujesz, że zakłułam mojego męża i syna nożem?

Bonnie, skarbie... nikt nic nie sugeruje.

Ostrzegasz mnie, tak? Uważasz, że nie żyją, i ostrzegasz mnie, że jestem jedną z podejrzanych!

Tak, Dan? To chcesz mi powiedzieć, tak?

Nie mamy żadnych dowodów na to, że Duke i Ray nie żyją, dziwne jednak, że odeszli, nie zabierając nic z ubrań ani rzeczy osobistych. Ale w końcu dzieją się znacznie dziwniejsze rzeczy, ludzie stale znikają i niektórzy nawet nie zabierają butów.

Bonnie usiadła za kierownicą i uruchomiła silnik.

—

W moim domu stało się coś okropnego, Dan. Wiem, że nie wierzysz w historie z motylami, ale moim zdaniem popełniasz wielki błąd. Te motyle są... kluczem do całej sprawy.

Dan zamknął drzwi jej samochodu.

Podejmiesz się tej roboty? — spytał, machając ręką w kierunku domu Neighborów.



Oczywiście. Mam mnóstwo enzymatycznych środków do usuwania krwi.

Bonnie...

Co? Chyba nie zamierzasz zaprosić mnie na kolację?

Nie — odparł Dan i pokręcił głową. — Chciałem tylko powiedzieć... nieważne.

Poklepał dach samochodu, cofnął się i patrzył, jak Bonnie odjeżdża w chmurze oleistego, błękitnego dymu.

Mistyk je gorditas

Bonnie spotkała się z nim w meksykańskiej restauracji przy Pico Boulevard. Siedział przy stoliku w rogu, w głębi sali i nie od razu go zauważyła. Lokal był przepelniony, a pięcioosobowy meksykański zespół grał na maleńkiej scenie na gitarach, trąbkach i bębnach.

Zatrzymała kelnera i spytała:

Gdzie siedzi Juan Maderas?

W głębi. Stolik dwadzieścia jeden.

Kiedy podchodziła, wstał i wysunął dla niej krzesło. Także i tym razem był ubrany na czarno, choć muchę zamienił na kwiecisty, czarny szal.

Znalazła pani ten lokal bez trudu?

Wzięłam taksówkę. Usiadł i zaoferował jej wino.

Nie, dziękuję — odparła. — I proszę nie przerywać jedzenia. Niezależne, co to jest, wygląda smakowicie.

Gorditas to „małe tłuszciochy”. Miseczki z ciasta, usmażone w głębokim tłuszczu i napełnione piure z fasoli i mielonym mięsem.

Mąż nigdy by mi nie pozwolił jeść meksykańskich potraw.

—  
Twój mąż zniknął. Skinęła głową.

Mój syn też. To tajemnica w rodzaju zniknięcia z zamkniętego pokoju.

Nie sądzę. Moim zdaniem to tajemnica zamkniętego umysłu.

Cóż... w pewnym sensie ma pan rację. Nie za bardzo mogę sobie przypomnieć, co się działo tamtego popołudnia. Nie pamiętam chwili, kiedy Duke i Ray wyszli... kiedy wróciłam ze

spotkania z panem, byli w domu, ale rano obaj zniknęli, a wszystkie drzwi i okna były pozamykane od wewnątrz.

—  
Więc co się twoim zdaniem stało?

Nie mam pojęcia. Dlatego właśnie chciałam z panem porozmawiać.

Czemu ze mną? Nie jestem policjantem ani psychiatrą. Jestem tylko pisarzem. Historykiem.

Bonnie otworzyła torebkę i wyjęła zakręcony słoik.

Znalazłam to w moim salonie.

Niepylak mnemozyna. Rozumiem. Uważasz, że Itzpapalotl ma coś wspólnego ze zniknięciem twojego męża i syna?

Skinęła głową.

Myślę, że to możliwe.

Dlaczego tak sądzisz?

Cóż, dokładnie nie wiadomo, kiedy zniknęli, na pewno jednak w nocy. Itzpapalotl mogła się przemienić, prawda? Mogła zmienić się z motyla w owadziego potwora, takiego, o jakim pan mówił — z nożami na skrzydłach i tak dalej. Mogła ich zabić i zamienić w motyle, tak jak czarownice w legendzie, a kiedy otworzyłam frontowe drzwi, odlecieli.

Naprawdę wierzysz, że to możliwe?

A jak inaczej mogliby opuścić dom tak, żebym tego nie widziała?

Aby przemienić Duke'a i Raya w motyle, Itzpapalotl musiałaby ich przedtem pozabijać.

Niepylakiem może się stać tylko osoba, która nie żyje i jest przeklęta. Ale jeśli ich zabiła, to gdzie krew? W azteckich rytuałach ofiarnych wycina się serce, jeszcze kiedy bije, i unosi się je w górę, aby wszyscy mogli je zobaczyć. Gdyby coś takiego miało miejsce, twój dom

wyglądałby jak rzeźnia.

Ma pan rację.

A przecież u ciebie w domu nie było żadnej krwi...

Nie.

Bonnie przez chwilę milczała. Juan Maderas obserwował ją uważnie, pojadając gorditas.

Zespół zaczął grać jakąś powolną, smutną, rozedrganą melodię.

Mam jeszcze inny pomysł — oświadczyła Bonnie.

Mów.

Założmy, że Itzpapalotl przyleciała tego dnia do mojego domu pod postacią motyla...

Taką właśnie postać przybiera w dzień.

...usiadła mi przy uchu i zaczęła szeptać, że mam się pozbyć tych, których kocham, a ja nic nie

zauważyłam... nie zauważyłam, że szepcze mi do ucha. Założmy, że posłuchałam jej i zabiłam

Duke'a i Raya, nie zdając sobie sprawy z tego, że to ona kazała mi to zrobić. Przecież wypadło

mi z pamięci całe popołudnie...

Uważasz, że to możliwe? Myślisz, że to Itzpapalotl kazała ci zabić Duke'a i Raya?

Nie wiem. To chore, wiem, ale w takim razie gdzie oni są?

No dobrze... założmy, że masz rację, i Itzpapalotl rzeczywiście namówiła cię, byś zabiła Duke'a

i Raya, tylko... jak to zrobiłaś? Udusiłaś ich? Pamiętaj, że ich było dwóch, a najpierw

musiałabyś udusić jednego z nich. Czym? Gołymi rękami? Zasztyletowałaś ich? Nie mogłaś

zakłuć nożem obu naraz. Poza tym nie było krwi. Mogłaś ich oczywiście zastrzelić...

Nie mamy broni. Mieliśmy, ale Duke ją sprzedał.

Więc i ta możliwość odpada. Znacznie ważniejsze jest jednak pytanie, co się stało z ciałami?

Jak kobieta może usunąć z domu na przedmieściach ciała dwóch mężczyzn tak, by nikt tego nie

zauważył? I gdzie są teraz? Nie znaleziono ich przecież, prawda?

Bonnie zaczesła dłonią włosy do tyłu.

Musiałam się z panem spotkać, ponieważ sądziłam, że znajdzie pan jakieś wyjaśnienie.

Uważasz, że uda ci się zrzucić odpowiedzialność za to, co się stało z twoim mężem i synem, na

meksykańską demoniczną boginię?

Nie wierzy pan w jej istnienie?

Oczywiście, że wierzę, ale myślę, że prastare demony nie mogą wiele zdziałać we współczesnym świecie, jeżeli się ich nie wezwie.

Sądzi pan, że ją wezwałam?

—

Możliwe. Może tego nie pamiętasz. A może pamiętasz i udajesz tylko, że nie pamiętasz.

Zespół zaczął grać La Pesadilla.

—

Ale chyba nie sądzi pan, że ja to zrobiłam? A nawet jeśli tak, nie wiedziałam, co robię.

Działała za mnie Itzpapalotl.

—

Tylko ty znasz prawdę.

Dzień niepyłaka mnemozyny

Stała w salonie, jej świeżo utlenione włosy błyszczały w popołudniowym słońcu. Wpatrywała się w dużą reprodukcję obrazu przedstawiającego Elvisa Presleya, którą Duke dał jej na trzydzieste urodziny. Była to scena z filmu Love me Tender— Elvis był w kowbojskim kapeluszu i kurtce z frędzlami.

Dokładnie pamiętała te urodziny. Duke jeszcze wtedy pracował i zabrał ją do restauracji w stylu country and western na żeberka i tańce. Wracając, tak się śmiali, że Duke musiał zjechać na pobocze i zatrzymać samochód.

Objął ją, pocałował i powiedział:

—

Ty i ja będziemy ze sobą zawsze, wiesz o tym? Aż pieprzona śmierć nas rozłączy.

Ostrożnie zdjęła obraz, oparła go o kanapę, wyciągnęła drut, na którym wisiał, i poszła do kuchni. Wyjęła z szuflady rękawice i założyła je.

Na patio Ray leżał na leżaku z zamkniętymi oczami, muzyka grała głośno jak zwykle. Duke czytał wiadomości sportowe i zaczynał kolejne piwo.

Odsunęła drzwi. Muzyka była tak głośna, że żaden z nich nie podniósł głowy. Wyszła na zewnątrz i stanęła za leżakiem Duke'a, trzymając drut z obrazu za plecami. Duke prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że za nim stoi, nie zamierzał jednak przyjmować do wiadomości jej obecności. Dąsał się, ponieważ odkryła, że kłamał w sprawie pracy w Century Plaza.

Jeżeli podniesiesz głowę i popatrzysz na mnie, być może daruję ci życie, pomyślała Bonnie.

Ale Duke odwrócił tylko stronę gazety i upił następny łyk piwa.

Była silną kobietą. Sprzątanie, wynoszenie łóżek i odkurzanie dało jej dużo siły. Zarzuciła mężowi drut na szyję i zacisnęła go mocno, zanim zdążył włożyć palce pod spód. Zaczął się więc, kopać i szarpać, ale ona zaciskała coraz mocniej, aż drut zniknął w skórze szyi Duke'a i po jego ramionach zaczęła spływać krew.

Trzymała drut dotąd, aż Duke ostatni raz konwulsyjnie się szarpnął i głowa opadła mu na bok.

Ray tylko na chwilę otworzył oczy.

Odwinęła drut i podeszła do leżaka syna. Śpiewał cicho i trzaskał palcami. Pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Otwórz oczy, pomyślała. Jeśli popatrzysz na mnie, nie umrzesz. Ray jednak tylko głupawo się szczyrzył, podśpiewywał i nadal trzaskał palcami.

Potem poszła do salonu i zadzwoniła do Esmeraldy.

Wszystko załatwione — powiedziała Esmeralda. — Przyjedź do nas o ósmej.

Będę.

Brzmisz jakoś dziwnie. Wszystko w porządku?

—

Jasne. Nie dzieje się nic, z czym nie mogłabym sobie poradzić. Zobaczymy się o ósmej.



Wyrzała przez okno. Duke i Ray leżeli rozwaleni na leżakach.

Układanka

W nocy obudziła się, wytrąciło ją ze snu coś okropnego. Sięgnęła na drugą stronę łóżka, by sprawdzić, czy Duke leży obok. Nie leżał. Było bardzo wcześnie, zegarek wskazywał 5.17, a niebo miało barwę spłowiałych błękitnych kwiatów.

Wstała i poszła do łazienki. Popatrzyła na siebie w lustrze — miała rozczochrane włosy i podpuchnięte oczy. Ledwie mogła siebie poznać. Wyglądała jak jedna z tych kobiet, które sypiają na ławkach w Echo Parku.

Pomyślała, że scena na patio — z Dukiem i Rayem — nie była realna. Nie mogła być. Zwykły nocny koszmar, nic więcej. Nie mogła udusić drutem syna i męża. Poza tym, jak powiedział Juan Maderas — jeżeli ich zabiła, to gdzie są ciała?

Nie udało jej się ponownie zasnąć. Poszła do kuchni i napiła się soku pomarańczowego z lodówki — był tak zimny, że zabolą ją podniebienie. Potem stanęła przy oknie i zapatrzyła się na puste leżaki. Dokładnie pamiętała, że kiedy dzwoniła do Esmeraldy, Duke i Ralph leżeli na nich. Jeszcze żywi czy już martwi?

Poszła do salonu. Reprodukacja malowidła przedstawiającego Elvisa wisiała na zwykłym miejscu. Odchyliła ją od ściany. Jeżeli nawet zdejmowała drut, to zamocowała go z powrotem tak, że nikt — nawet ona sama — nie zorientowałby się, że kiedykolwiek był zdejmowany.

Włączyła telewizor i oglądała Kocham Lucy, aż za oknami zaczęło robić się widno.

Tuż po ósmej zadzwonił Ralph.

Bonnie? Joyce Bach powiedziała mi o Duke'u. Mówiłaś, że odszedł, ale... nie wiedziałem, że... zagiął.

Nie wiem, gdzie sobie poszedł. Po prostu nie wiem. To samo z Rayem. Miałam w nocy

koszmarny sen, że ich zamordowałam.

Twój głos brzmi strasznie...

Czuję się okropnie, Ralph.

—  
Posłuchaj, chyba byłem wobec ciebie nie fair. Uznałem, że jesteś winna wszystkich moich problemów. Phil Cafagna to paskudny drań... zarówno prywatnie, jak i w interesach. Popełniłem błąd, stawiając na niego.

—  
Czy to znaczy, że zmieniłeś zdanie?

—  
Może to sprawiać wrażenie, że cię wykorzystałem i wyrzuciłem, ale tak nie jest, Bonnie. Przysięgam. Kiedy mówiłem, że cię kocham, naprawdę tak myślałem.

—  
Może dobrze się stało, jak się stało.

—  
Posłuchaj, Bonnie, może się spotkamy? Porozmawialibyśmy...

—  
Nie najlepiej wyglądam, Ralph.

—  
Dla mnie zawsze doskonale wyglądasz. Proszę, daj mi przynajmniej szansę.

Bonnie popatrzyła na poczwarkę w słoiku, niemal gotową do przemienienia się w motyla.

Dobrze. Przyjdiesz do mnie?

Do ciebie do domu?

Dlaczego nie? Będziemy mieli spokój.

---

W porządku. Może kwadrans po dwunastej? Bonnie odłożyła słuchawkę i uniosła słoik do oczu.

---

Kim jesteś? Czego szukasz? Dusz? Dlaczego musimy oddawać ci tych, których najbardziej kochamy? Co z tego masz?

Jakimś sposobem znała odpowiedzi na te pytania. Dla sprawdzenia wiary Abrahama Bóg

poprosił go, aby zabił swojego jedyne go syna... Może Itzpapalotl robiła to samo?

Ralph otwiera serce

Zanim Ralph przyjechał, poszła do sypialni, zaciągnęła zasłony i zamknęła okiennice i w pokoju zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Odrzuciła kołdrę, wygładziła ją z wierzchu, po czym wstawiła słoik między poduszki i odkręciła zakrętkę.

—

Wiem, że potrzebujesz ciemnego miejsca. Zamknęła drzwi sypialni i wróciła do kuchni.

Nastawiła

wodę na kawę i ułożyła na talerzu ciastka kokosowe. Duke nienawidził kokosa.

Odświeżyła przed lustrem makijaż i cmoknęła w kierunku

Elvisa. Niemal w tej samej chwili pod domem zatrzymał się błyszczący samochód Ralpa.

Ściągnęła Duke'a z leżaka i zawlokła go do domu. Jego nagie stopy podskakiwały na dywanie.

Potem wróciła po Raya. Ułożyła ich obok siebie na podłodze w kuchni i zaryglowała drzwi.

Ray miał opuchniętą, ale spokojną twarz, jednak oczy Duke'a były szeroko otwarte i wyrażały wściekłość.

Poszła do salonu i rozwinęła na dywanie zieloną plastikową folię. Kiedy szła po grubym plastiku na czworaka, skrzypiał, ale musiała sprawdzić, czy jest dobrze unieruchomiony stojącymi na nim krzesłami.

Mogła złożyć ofiarę z Duke'a i Raya w kuchni — była tam biała, gładka podłoga — jednak fugi między kafelkami nie były bezpieczne, bo nawet gdyby wsiąkła w nie bardzo niewielka ilość krwi, można by ją znaleźć.

Zawlokła więc ciała do salonu, położyła je obok siebie i ściągnęła z nich ubrania. Była dobra w rozbieraniu nieruchomych, bezwładnych ciał: robiła to niemal co wieczór z Dukiem. Kiedy

ułożyła ich nagich na podłodze, wróciła do kuchni i wzięła nóż — sabatiera z czarną, plastikową rączką i dwu-dziesięciocentymetrowym ostrzem.

—  
Bonnie...? — spytał Ralph. — Wszystko w porządku? Trzy razy się przywitałem i ani razu nie odpowiedziałaś.

Zamrugnęła. Stała w otwartych drzwiach z twarzą wykrzywioną uśmiechem i nie bardzo wiedziała, jak do nich doszła.

Cześć, Ralph.

Dziwnie się z tym wszystkim czuję.

Dziwnie? Dlaczego miałbyś się czuć dziwnie?

Chyba za bardzo się tym przejmuję.

To niełatwa sytuacja, Ralph. Ja mam męża, ty żonę...

Coś nowego w sprawie Duke'a i Raya?

—  
Nie. Wchodź. Mam piwo, seven up, mleko, co tylko chcesz.

Ralph wszedł do salonu i rozejrzał się wokół.

Ładny obraz — powiedział i skinął głową w kierunku Elvisa.

Namalował go przyjaciel Duke'a.

Ralph usiadł na skraju kanapy. Miał na sobie szary garnitur i różową koszulę. Mocno się pocił.

Wziąć od ciebie marynarkę?

Nie, dzięki, wszystko w porządku.

Wyglądasz, jakby nie było ci zbyt wygodnie. Daj marynarkę.

Nic mi nie jest, Bonnie, naprawdę. I tak nie mogę długo zostać. Chcę tylko wyjaśnić sprawy między nami.

Co tu jest do wyjaśniania? Przecież doskonale wiesz, że nie podrywałam Phila Cafagny.

Naprawdę?

Nie zerwałeś naszej znajomości z jego powodu. Zrezygnował z zamówienia, fakt, ale działał pod wpływem impulsu. Tak samo potrzebuje produktów Glamorexu, jak Glamorex potrzebuje jego. Gdzie znajdzie szminkę, która kosztuje w hurcie dolara dwanaście, a sprzedaje się za piętnaście dziewięćdziesiąt? Na pewno do nas wróci.

Ralph nie odzywał się, wyjął tylko chusteczkę i otarł sobie czoło.

Zawiodły cię nerwy, Ralph, to wszystko. Zdaję sobie z tego sprawę. To bardzo trudny krok... zostawić żonę i zacząć żyć z inną kobietą, zwłaszcza jeśli ma się prawie czterdzieści lat i prawdopodobnie straciłoby się dom, elegancki samochód i pół interesu. Rozumiem to, Ralph. Wydawało mi się, że odmieni to moje życie, ale przecież mam te same obowiązki co ty, prawda? Cóż... miałam, jeśli Duke i Ray nie wrócą.

Gdzie oni mogą być?

Nie wiem, Ralph.

Naprawdę nie pamiętasz, kiedy wyszli?

Skąd wiesz?

Co?

Skąd wiesz, że nie pamiętam, kiedy wyszli?

Od ciebie. Powiedziałaś mi o tym.

Nie przypominam sobie.

Czy to ważne? Ważne jest tylko, co się z nimi stało.

Nie wiem, Ralph. Naprawdę. Ale czemu o nich mówimy? Zdawało mi się, że przyszedłeś porozmawiać o nas.

Kocham się, Bonnie, i wiesz o tym. Mam jednak zbyt wiele do stracenia i jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby zaczynać wszystko od początku.

—  
Tchórzem? Nigdy nie uważałam cię za tchórze.

—  
Nie mam dość siły, żeby zmienić swoje życie w taki sposób, w jaki ty to zrobiłaś.

Nie rozumiem. Nie zmieniłam mojego życia.

No wiesz... rozwiązałaś problemy z Dukiem.

—  
Rozwiązałam problemy z Dukiem? Niczego nie zrobiłam. Te problemy same się rozwiązały, kiedy wyszedł frontowymi drzwiami.

—  
Ale nie widziałaś, jak wychodzi?

Bonnie odwróciła się i uważnie mu się przyjrzała.

Co to za rozmowa, Ralph?

Jestem dumny z ciebie, że potrafiłaś załatwić tę sprawę.

—  
Niczego nie zrobiłam. Poszłam wieczorem spać, a kiedy się rano obudziłam, Duke'a nie było w domu.

—  
Bonnie...

Przycisnęła pomalowany na pomarańczowo paznokieć do jego ust.

—  
Nie musisz nic mówić, Ralph. Nic poza: „kocham cię". Masz rację, moje życie jest teraz

odmienione. Jestem sama. nie mam nikogo. Zastanawiałam się... czy zadzwonisz, ale wiedziałam, że to zrobisz. Nie zamierzam jednak niszczyć niczyjego małżeństwa. To chciałeś wiedzieć, tak? Nie, nie zamierzam. Dopóki będziemy się spotykać, możesz dalej być mężem pustej walizki, zatrzymać dom, samochód i interes. Ja będę mieszkała sama. Dopóki będziemy się mogli spotykać i kochać, kiedy tylko będziesz miał czas, dopóki będę wiedziała, że tak naprawdę chcesz tylko mnie, będę szczęśliwa. Ralph wbił w nią pełen niewiary wzrok.

Chyba żartujesz?

A czy brzmię, jakbym żartowała?

Nie wiem, co powiedzieć, Bonnie. Naprawdę. Pocałowała go w usta.



—  
Dlaczego nie pójdziesz ze mną do łóżka i nie pokażesz, że wszystko będzie dobrze?

Ralph tak mocno się pocił, że musiał obetrzeć czoło rękawem.

—  
Bonnie... twój mąż zaginał... być może nie żyje.

—  
Co to cię obchodzi? Co mnie to obchodzi? Był leniwy, brutalny, zakłamanym i stale pijany, a nasz syn robił się dokładnie taki sam jak on.

To jeszcze nie powód, by go zabijać. Wyprostowała się.

Co się z tobą dzieje, Ralph?

Powiedziałem: „To jeszcze nie powód, by go zabijać”. Bonnie wyciągnęła rękę.

—  
Chodź do sypialni, Ralph. Zapomnijmy o Duke'u. Zacznijmy myśleć o nas.

Ee... nie mam czasu.

Nie masz czasu? Oczywiście, że masz czas.

Ujęła go za obie dłonie i podciągnęła do góry. Zaprowadziła go do drzwi sypialni.

—  
Bonnie...

Chcę ci coś pokazać, Ralph. Coś naprawdę niezwykłego. Jesteś gotów?

Posłuchaj, mam bardzo ważne spotkanie w interesach. Wpadłem tylko...

Bonnie tak mocno ścisnęła jego dłoń, że nie mógł się wyrwać. Wspięła się na palce, pocałowała go w czoło i uśmiechnęła się.

—

Chodź zobaczyć, co tu jest.

Przekręciła gałkę i otworzyła drzwi. W sypialni panowały niemal kompletne ciemności.

Bonnie przez cały czas się uśmiechała, ale Ralph wahał się i próbował wyrwać dłoń.

—

Co to takiego? — spytał nagle.

Bonnie też to usłyszała. Przypominało to szelest zgniatanego papieru, połączony z cichutkim, wysokim drżącym dźwiękiem. Po chwili dołączył do tego świszczący zgrzyt, jakby przeciągano po sobie ostrza dwóch noży.

—

Wejdź i zobacz — powtórzyła.

—

Chyba wolę nie. Co to jest? Coś jest w środku, tak? Co tam jest?

—

Wejdź i sam zobacz.

Rozległ się kolejny zgrzyt, a po nim głośnie, szybkie łopotanie skrzydeł, jakby wielka ćma próbowała wydostać się z wnętrza papierowego abażuru. W tym momencie Ralphowi puściły nerwy.

—

Zabierzcie mnie stąd! — zawył. — Na Boga, ludzie, zabierzcie mnie stąd!

Bonnie zatrzaskała drzwi.

—

Kogo ty wołasz? Z kim rozmawiasz, Ralph? O jakich ludzi chodzi?

Próbował się wyrwać, ale Bonnie ściągnęła mu z ramion marynarkę i zobaczyła mikrofon i przewody.

—  
Okablowali cię — stwierdziła z niesmakiem. — Powiedziałeś, że mnie kochasz, i przyszedłeś odrutowany!

Niemal w tej samej chwili gwałtownie otworzyły się frontowe drzwi i do środka wszedł Dan Munoz. Zaraz za nim weszli detektyw Mesie i kilku umundurowanych policjantów. Ralph natychmiast odsunął się od Bonnie i uciekł pod przeciwległą ścianę. Dan podszedł do Bonnie i uśmiechnął się przepaszająco.

—  
Możesz mi powiedzieć, co to ma znaczyć? — spytała Bonnie, trzęsąc się z wściekłości.

— Ten facet miał być moim kochankiem.

—  
Wiem — odparł Dan. — Właśnie dlatego go wybraliśmy.

—  
Czemu? Żeby oskarżyć mnie o przestępstwo, którego nie popełniono?

Popełniono. Dlatego tu jesteśmy. Muszę przyznać, że liczyliśmy na twoje przyznanie się do winy i nagranie tego na taśmie, ale i tak mamy dużo poszlak.

Jakich? Nóż, który jest czystszy, niż powinien? Chcesz mnie może także oskarżyć za czystą toaletę?

Znaleźliśmy ciała. Bonnie znieruchomiała.

Znaleźliście ciała? Duke'a i Raya? Oba? Dan ujął ją za łokieć.

Masz mocny żołądek. Chodź, rzucisz na nie okiem. Mesie, sprawdź sypialnię.

Gdzie są? Jak zginęli?

Zawieziemy cię na miejsce. Sama zobaczysz. Detektyw Mesie otworzył drzwi do sypialni.

Trochę tu ciemno. Muszę otworzyć okiennice.

Kiedy otworzył okiennice i odsunął zasłony, pokój natychmiast zalało światło słoneczne.

Zaczął otwierać drzwi szaf i wyciągać szuflady.

—

Nic tu nie ma, sir — powiedział w końcu. Ralph popatrzył na Bonnie, ale nic nie powiedział. Dan popchnął ją w kierunku drzwi.

Pojawiają się Duke i Ray

W południowo-wschodniej części wysypiska Riverside, pośrodku śmierdzącej góry śmieci, stały cztery radiowozy, dwa kombi patologów i ambulans. Wszystkie wozy były zaparkowane w jednej linii, jak przed stadionem. Dan również ustawił się w szyku.

—

Tutaj ich znaleźliście? — spytała Bonnie.

—

Znaleźliśmy ich tutaj, ponieważ właśnie tu ich szukaliśmy — odparł Dan. —

Domyślaliśmy się też, kiedy zostali tu przywiezieni.

Otworzył jej drzwi i poszli razem przez spłaszczone opakowania po płatkach śniadaniowych, porwane pieluchy i po-zgniatane puszki po kukurydzy. Południowy smog, jaki unosił się nad miastem, zagęszczał jeszcze gryzący dym, wydobywający się ze stert śmieci. Sierżant Mesie

zaczął kaszleć.

Dan ujął Bonnie za łokieć i poprowadził ją ku grupie policjantów, patologów i fotografów.

Duke i Ray stali obok siebie jak dwaj zastrzeleni rabusie bankowi z Dzikiego Zachodu, których wystawiano na widok publiczny w pionowo stojących trumnach.

Tyle że wcale nie byli w trumnach. Stali w rozciętych, zakrwawionych materacach. Materacach z domu George'a Keighleya, na których umarli David Hinsey i Maria Carranza. Byli nadzy, ich ciała rozdęły gazy i kłębiły się po nich robaki. Ich klatki piersiowe były rozprute, a Duke został wykastrowany. Między jego nogami roiły się muchy.

Bonnie stała i przyglądała się ciałom. Dan splótł ramiona na piersi i czekał.

—

Powiedziałas mi, że wywiozłaś materace na wysypisko przed przyjazdem do domu — odezwał się w końcu. — Ponieważ jednak nie byłaś pewna czasu, sprawdziłem. Okazało się, że przyjechałaś z materacami o szesnastej czterdzieści siedem, tuż przed zamknięciem wysypiska. Zaraz po piętnastej zadzwoniłaś do domu z mieszkania Esmeraldy. Podejrzewam, że Duke i Ray już wtedy nie żyli. Wystarczyło rozciąć materace, wcisnąć ciała do środka, zafasterygować materace i zawieźć na wysypisko. Wkrótce zasypałby je spychacz i nikt by nic nie znalazł.

Bonnie znowu popatrzyła na opuchnięte, zniekształcone twarze Duke'a i Raya — nie wyglądali już wcale jak jej mąż i syn.

—

To była Itzpapalotl — oświadczyła. — Poprosiłam ją o pomoc. Poprosiłam o znalezienie wyjścia z sytuacji, przybyła więc i uwolniła mnie. Stałam się wolna jak ona... jak motyl.

Wiadomość na automatycznej sekretarce

— Bonnie... tu Howard Jacobson. Dzwonię w sprawie poczwarki, którą mi niedawno

przyniosłaś. *Parnassius mne-mosyne*, niepylak *mnemozyna*. Może cię zainteresuje, że larwy dostały się do Stanów w dostawach jarmużu z Meksyku. Niecodzienne warunki pogodowe spowodowały, że się wylęgły i zaczęły rozwijać. Mamy doniesienia o ich występowaniu nawet w tak odległych regionach jak okolice Santa Barbara i Bakersfield. Obawiam się, że nie mają

związku z interesującymi nas sprawami, ale nie zawsze da się wszystko dokładnie zbadać, prawda? Odezwij się, całuję, Howard.

Zapada noc

W nocy Bonnie obudził jakiś szelest. Po chwili usłyszała go ponownie. Otworzyła oczy i usiadła.

W najciemniejszym kącie celi stała postać o białej twarzy bez wyrazu — ze skrzydłami o migoczących krawędziach. Cichutko pomrukiwała i drapała szponiastymi stopami o betonową podłogę.

—  
Izpapalotl... — wyszeptała Bonnie.

Postać podeszła, pochyliła się nad Bonnie i rozpostarła nad nią skrzydła. Bonnie widziała oczy zjawy i język, który błyszczał jak czarny nóż.

—  
Weź mnie ze sobą — powiedziała Bonnie. — Proszę, Izpapalotl. Weź mnie ze sobą.

Bonnie wydostaje się na wolność

Przeszukali ją, jednak nie wzięli pod uwagę jej doskonałej znajomości sposobów odbierania sobie przez ludzi życia. Kiedy następnego poranka, o 6.03, otwarto drzwi jej celi, znaleziono ją leżącą na plecach i wpatrującą się w sufit — tak samo jak w dniu, kiedy zniknął Duke — ale teraz po podłodze rozlewała się coraz większa kałuża krwi, a Bonnie nie żyła.

Wyciągnęła z materaca jeden z guzików i wbijając paznokcie w materac, wyjęła sprężynę, której ostrym końcem przecięła sobie tętnice na obu nadgarstkach.

O 11.17 do celi wszedł porucznik Dan Munoz. Stał długo w drzwiach, patrzył na ciało Bonnie i zastanawiał się, co ją do tego nakłoniło.

Nie zauważył dwóch motyli o niemal przezroczystych skrzydłach, siedzących na zasłaniającej okno siatce. Zanim wyszedł, motyle wyleciały przez otwarte drzwi, pofrunęły korytarzem i wyleciały przez kraty na zewnątrz — ku porannemu słońcu i wolności.

Bazgroły

Kiedy Peter stał na stacji metra Piccadilly Circus, z której jechało się na zachód, i jadł marsa, na umieszczonym po przeciwległej stronie tunelu plakacie reklamującym biustonosze Wonderbra zauważył wydrapane słowa: JM S/E DZ/Ś CZ6/JESZ, POT/??

Rozejrzał się wokół, zmieszany i zawstydzony, jakby każdy, kto stał na peronie, wiedział, że ma na imię Peter. Ale wszyscy rozmawiali, jedli albo tępo patrzyli w przestrzeń. Po jakiejś minucie do tunelu wpadła fala ciepłego powietrza i przyjechał pociąg. Peter wsiadł. Wagon był nabitý ludźmi, Peterowi udało się jednak przebić do okna naprzeciwko wejścia. Chciał przyjrzeć się z bliska napisowi na plakacie.

Litery miały ponad pół metra wysokości, były nierównomiernie rozrzucone i tak głęboko wycięte, że miejscami widać było cegłę pod spodem. Peter nie potrafił sobie wyobrazić, jak komukolwiek mogłoby udać się tego dokonać — plakat wisiał przynajmniej trzy metry nad szynami, przez które biegł prąd zmienny o napięciu 24 000 woltów.

Litery jednak istniały. Napis: JM S/E DZ/Ś CZUJESZ, PETER?— był rzeczywistością. Peter nie mógł się pozbyć wrażenia, że jest adresowany do niego.

Pociąg ruszył z szarpnięciem i Peter poleciał na biust Murzynki w średnim wieku, ale ona uśmiechnęła się tylko i machnęła wybacząco ręką.

—

Przepraszam... — wymamrotał Peter. Nie chciał, by kobieta myślała, że zrobił to specjalnie.

Wysiadł w West Kensington i ruszył na południe North End Road. Było dopiero wpół do



szóstej, zrobiło się już jednak ciemno i ulice migotały od świateł samochodów wracających do domu ludzi. Kiedy Peter mijał pub „Seven Stars”, stwierdził, że na kremowych kafelkach od frontu ktoś — takimi samymi nierównymi literami jak na plakacie w metrze — wydrapał kolejny napis: JESTEŚ PEMEM, ŻE MOŻESZ JEJ óFEACĆ, PETER?

Cofnął się kilka kroków i wbił wzrok w wielkie, krzywe litery. Dziwne, pomyślał. Napis został wyryty w glazurowanej powierzchni kafelków i wyglądało to tak, jakby użyto do tego celu przebijaka o cienkim ostrzu. Ale przecież nie mógł go dotyczyć — w West Kensington musiały być setki Peterów. Albo nawet tysiące. Jednak ilu z nich mogło natknąć się na pierwszy taki napis na Piccadilly i następny tutaj? I co autor tego napisu miał na myśli, pytając, czy „może jej ufać”?

Skręcił w Bramber Road, wąską uliczkę, zabudowaną szeregowymi wiktoriańskimi domami, naprzeciwko których znajdował się mały trójkącik zapuszczonego Normand Parku. Znów zaczęło padać, więc przyspieszył kroku. Kiedy doszedł do numeru 19, silnym szarpnięciem otworzył bramę z kutego żelaza, która opadła na zawiasach, i wszedł na werandę. Wyjął klucz i właśnie zamierzał wsunąć go w zamek, kiedy w holu zapaliło się światło i drzwi się otworzyły. Na zewnątrz wyszedł wysoki, młody mężczyzna z kędzierzawymi włosami, ubrany w skórzaną kurtkę.

—  
Cześć — powiedział. — Dzięki za otwarcie bramy. Peter stał i przyglądał się młodzieńcowi, który wyszedł na

ulicę i ruszył przed siebie z postawionym z powodu deszczu kołnierzem. Młody mężczyzna wydawał mu się znajomy, choć nie umiał go nigdzie przyporządkować. Wszedł do holu i zamknął za sobą drzwi. W tym samym momencie zgasło światło.

Zaczął wchodzić stromymi schodami. Na półpiętrze czuć było zapach smażonej cebuli — pani Chowdery znów robiła curry. Minął mieszkanie numer 3, gdzie z rozkręconego na cały regulator telewizora pani Wigmore leciały dialogi Sąsiadów. Po chwili znalazł się na samej górze i wszedł do swojego mieszkania numer 4.

Mieszkał tu siedem miesięcy sam, a potem sprowadziła się do niego Gemma, ale mieszkanie w dalszym ciągu wyglądało jak jaskinia samotnego mężczyzny — choć wszędzie poniewierały się kobiece śmieci: torby po zakupach, kosmetyki, szczotki do włosów i używane biustonosze. Podłogi były pokryte wykładziną dywanową w kolorze razowej mąki, a meble pochodziły głównie z Ikei — jasna sosna i chrom. Wszystkie kompaktki Petera, starannie poukładane, leżały w sosnowej wieży, stojącej tuż obok sprzętu Sony, a książki stały na półkach w alfabetycznym porządku.

Jedyną ozdobą ścian salonu był plakat The Smiths.

Peter poszedł do kuchni. Było tu ciemno, bo białe bawełniane body Gemmy wisiały na oknach, wyglądając jak duchy. Otworzył lodówkę, jak każdy mężczyzna po powrocie do domu, ale nie było w niej nic poza zatłuszczonym pudełkiem z pizzą z poprzedniego wieczoru, na której ser zamienił się w żółty plastik.

Gemma?! — zawołał i poszedł do sypialni. Łóżko nie było posłane, brązowa kołdra leżała w połowie na podłodze, razem z poduszkami. — Gemma?

Tutaj! — doleciało zza uchylonych drzwi do łazienki. Na podłodze leżał mokry ręcznik, musiał więc mocno pchnąć drzwi, by wejść do środka. Gemma stała w wannie za zieloną plastikową zasłonką. — Wcześniej przyszedłeś.

Tak... — mruknął i schylił się, by podnieść ręcznik. — Mieliśmy alarm pożarowy, więc odwołano ostatnią lekcję.

Zakręciła wodę i odsunęła zasłonkę. Była wysoką, szczupłą dziewczyną o gracji antylopy,

miała owalną twarz i wielkie brązowe oczy. Jej policzki były zaróżowione i pachniała mię-  
towym płynem do kąpieli.

Możesz mi podać ręcznik?

Nie poszłaś do pracy?

—  
Nie... zaczęła mnie boleć głowa. Poza tym w piątki i tak niewiele się dzieje.

Owinęła się ręcznikiem i poszła do sypialni. Tam stanęła przed lustrem i zaczęła czesać mokre włosy. Poszedł za nią i zatrzymał się tuż za jej plecami. JESTEŚ PWE/V, ŻE MOŻESZ JEJ HEM, PETER?

I co robiłaś przez cały dzień?

Nic. Głównie spałam.

Myślałem, że wybierzemy się wieczorem do Chińczyka.

Sama nie wiem... Nie jestem głodna.

W takim razie możemy zamówić coś do domu.

Jak chcesz.

Zaczął wygładzać łóżko.

Co to za facet był na parterze?

Jaki facet?

—  
Właśnie wychodził, kiedy wchodziłem. Wysoki, z ciemnymi, kręconymi włosami.

—  
Nie mam pojęcia.

—  
Nie wyglądał na kogoś, z kim zaprzyjaźniłaby się pani Chowdery. Ani pani Wigmore.

Gemma wzruszyła ramionami, ale nic nie odpowiedziała, bo miała w ustach spinki do włosów.

Peter znów poszedł do kuchni. Tym razem zapalił światło. Klucze Gemmy leżały na barku, tuż obok jej torebki.

Wychodziłaś?

Co?

Zastanawiałem się, czy gdzieś dziś wychodziłaś. Weszła do kuchni, w długiej do kolan koszuli nocnej.

Nie. Mówiłam ci przecież, że bolała mnie głowa.

W środku nocy — w bursztynowym świetle z ulicy, przecinającym sufit — objął ją ramieniem, ale burknęła coś z irytacją i odepchnęła go. Leżał potem przez kilka godzin, nie mogąc zasnąć, wsłuchiwał się w dalekie pomrukiwanie nocnego Londynu i miał wrażenie, jakby przeniósł się nagle ze swojego zwykłego świata w jakieś nieznane miejsce — niepokojące i groźne.

W sobotę rano szli przez rynek, ciągnący się wzdłuż North End Road. Gemma była dziwnie milcząca i skupiona, jakby rozmyślała o czymś poważnym, ledwie z nim rozmawiała, ledwie na niego patrzyła i prawie wcale się nie uśmiechała. Peter szedł za nią, omijając sterty pomiętych gazet i połamanych skrzynek po pomidorach. Coś tkwiło mu w gardle — coś, czego nie umiał przełknąć.

W porze obiadowej poszli na sandwicze i coś do picia do „The Colton Arms” i usiedli w najciemniejszym kącie w głębi. Sylwetka Gemmy odcinała się cieniem od znajdującego się za nią okna, jej kontur otaczał kłęb papierosowego dymu.

Na co masz ochotę po południu? — spytał Peter. — Pomyślałem, że moglibyśmy iść do Holland Parku.

Po co?

Po nic. Pospacerować.

Nie wiem. Zastanawiałam się, czy nie spotkać się z Kelley i June.

Jeśli chcesz, możemy pójść do Kelley i June.

Chciałam iść sama. Mam ochotę na babskie ploty.

Nie ma problemu. Kiedy wrócisz?

Nie mam pojęcia. Zadzwońię.

A co z kolacją?

Mamy przecież tylko kotlety schabowe. Usmażę, jak wrócę.

Peter nie wiedział, co powiedzieć. Ponieważ światło świeciło od tyłu, nie widział jej oczu. Położył dłoń na dłoni Gemmy i choć jej nie odsunęła, poczuł, jak bardzo jest spięta. Nie było żadnego splatania palców. Jej dłoń leżała pod jego dłonią, sztywna i nieruchoma jak małe zwierzątko, które tylko czeka na okazję, by uciec.

---

Idę się wysikać — powiedział i zabrał rękę.

Męska toaleta była pełna ludzi i musiał chwilę poczekać. Siwy mężczyzna z papierosem w ustach równocześnie kaszlał i sikał, a potem otrząsnął się, robiąc z tego wielkie przedstawienie. Na koniec z pojękiwaniem pozapinał guziki.

Kiedy Peter stanął przed pisuarem, natychmiast ujrzał wycięte w ścianie litery. Były tak wielkie, że z początku nie mógł przeczytać napisu. Wycięto je bardzo głęboko — na jakiś centymetr — tym samym kanciastym, nierównym charakterem pisma, jak napisy w metrze na Piccadilly i na froncie „Seven Stars”.

uważasz, że om c/ęo/ciamuje?

Wrócił na salę. Gemma rozmawiała przez komórkę, ale kiedy go zobaczyła, szybko powiedziała:

---

Nie... muszę kończyć. Porozmawiamy później — i wyłączyła telefon.

---

Kto to był?

Kto był gdzie?

Z kim rozmawiałaś?

Eee... z Tricią.

Z Tricią? Sądziłem, że spędza weekend w Walii.

—

Bo spędza. Chyba wiesz, że można rozmawiać przez telefon z Walią.

Peter nic nie odpowiedział. Był niemal pewien, że napisy na ścianach są przeznaczone dla niego, choć nie miał pojęcia, skąd ten, kto pisze, wie, dokąd się wybiera, i jak udaje mu się tak głęboko wycinać litery. Najbardziej jednak niepokoiła go treść tych napisów.

Podniósł kufel i zakręcił resztką piwa.

Kochasz mnie jeszcze? — spytał.

Co to za pytanie? Oczywiście, że cię kocham.

Powiedziałabyś mi, gdyby coś było nie tak, prawda?

Oczywiście, że powiedziałabym.

Popatrzył na nią. Nadal nie widział jej oczu. uważasz, że ona cię omamuje?

Drzemał przed telewizorem, w którym szedł właśnie serial Eurośmieci, kiedy na stoliku obok zadzwonił telefon. Zmarszczył czoło, podniósł słuchawkę i wcisnął na pilocie telewizora klawisz wyłączający głos.

—

Peter? Tu Gemma. Przepraszam, że nie dzwoniłam wcześniej, ale straciłam poczucie czasu.

Popatrzył na zegarek.

Jest pięć po dwunastej. Gdzie jesteś?

U Kelley i June. Przepraszam. Wypiłyśmy kilka butelek wina i wiesz...

Na boga, Gemma, miałaś wrócić na kolację!

Peter, przecież cię przeprosiłam. Poza tym nie jesteśmy jeszcze małżeństwem.

Ale podobno jesteśmy zaręczeni. Pomyśl, jak byś się czuła, gdybym zrobił to samo.



Nie miałabym nic przeciwko temu, gdybyś został na noc z kumplami. Dlaczego miałabym mieć?

Więc kiedy wracasz?

Jutro rano. Jestem zbyt zalana, żeby jechać.

Zadzwoń po taksówkę. Możemy jutro pojechać po twój samochód.

Chcę tu zostać. Dobrze się bawimy.

Słuchaj...

Gemma jednak przerwała połączenie i Peter został z głuchą słuchawką w ręku i migoczącymi na ekranie scenami z belgijskiej orgii. Młoda blondynka z umalowanymi na jasnoczerwono ustami dyszała z rozkoszy w ramionach umięśnionego, nagiego mężczyzny. Mężczyzna odwrócił się, spojrział prosto w kamerę i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Peter zgasił telewizor i poszedł do łazienki. Ujrzał napis natychmiast po otwarciu drzwi i zamarł, czując, jak od nasady kręgosłupa w górę, do karku, pełnie mu lepkie zimno.

W lustrze nad umywalką, w szkle, wyciętych było sześć słów: m uważasz, że' ZAS6UŻKA m karę?

Podszedł do umywalki i przeciągnął palcami po literach. Jak ktoś mógł wyciąć tak głębokie litery? Musiał użyć przemysłowego diamentowego noża albo rysika do grawerowania. Kto to jednak zrobił, jak dostał się do środka i kiedy wyciął napis? Peter może godzinę spał, ale płytko, a wycinanie liter w szkle narobiłoby mnóstwo hałasu.

Przyjrzał się przez litery swojej twarzy. Był chudy, miał garbaty nos i ciemne kręgi pod oczami.

Jak młody Pete Town-send z The Who. „Mam nadzieję umrzeć, zanim się zestarzeję”.

Niespodziewanie z podwórka doleciał głośny łoskot i Peter idiotycznie, po kobiecemu, podskoczył, waląc przy tym łokciem w umywalkę. To tylko pani Chowdery zatrasnęła pojemnik na śmieci, ale jakimś sposobem wszystko przestało być takie, jakie było jeszcze niedawno. Jeżeli można było przechodzić przez zamknięte drzwi i wycinać w łazienkowych

lustrach zdania, odzwierciedlające czyjeś najbardziej skrywane lęki, to co jeszcze było niemożliwe?

Tej nocy źle spał. Kiedy o 7.35 przekręcił się klucz w drzwiach i do mieszkania weszła Gemma, siedział na kanapie, pijąc z wielkiego kubka kawę i jedząc złożoną na pół kanapkę z żółtym serem.

—  
O, wróciłaś...

Przeszła przez pokój i odsunęła zasłony. Dzień był mroczny i szary, szyby okienne spryskał deszcz.

Wyglądasz okropnie. Nie przeziębilesz się?

Nie, ale przez całą noc nie spałem.

Chyba się nie dąszasz tylko dlatego, że nie wróciłam na noc?

A powinienem? Jak sama mówiłaś, jeszcze nie jesteśmy małżeństwem. Możesz robić to, na co masz ochotę.

—  
Boże, więc jednak się dąszasz.

Poszła do kuchni i nastawiła czajnik. Ruszył jej śladem, stanął w drzwiach i patrzył na nią w milczeniu.

O co chodzi? — spytała.

Nie byłaś u Kelley i June, prawda?

Wzięła kubek i nasypała do niego kawy. Był pewien, że go zdradziła. Graffiti mówiło prawdę.

Nalała do kubka wody i zamieszała kawę, a on cały czas ją obserwował, jakby czekał na jakiś gest, który ją zdradzi.

Kiedy próbowała wyjść z kuchni, zastąpił jej drogę.

Gemma, chcę znać prawdę. Nie byłaś u Kelley i June, tak?

Peter, na Boga!

Chcę znać jego imię. Chcę wiedzieć, co sobie wyobrażasz.

Niczego sobie nie wyobrażam. Potrzebuję tylko nieco przestrzeni, to wszystko. Zawsze tu jesteś. Wchodzę do salonu i jesteś tam. Idę do sypialni, a ty idziesz za mną. Nawet nie mogę pójść do toalety, żebyś za mną nie szedł.

—  
Mieszkamy razem.

—  
Tak, ale to nie znaczy, że nie możemy oddalić się od siebie więcej niż pięć centymetrów. Dostaję przez ciebie klaustrofobii.

Wbił w nią zdumiony wzrok. Brakowało mu słów.

—  
Wybacz — powiedziała po chwili i przepchnęła się obok niego, by wejść do salonu. Nie miał pojęcia, czy powinien iść za nią, czy nie.

O jedenastej wyszła do sklepu na róg po mleko i papierosy. — Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną — oświadczyła, owijając wokół szyi czerwony szal.

Oglądam mecz. Poza tym nie chcę, żebyś czuła się jeszcze bardziej klaustrofobicznie.

Peter...

Jakieś trzy minuty po jej wyjściu zadzwonił telefon. Peter podniósł słuchawkę i usłyszał męski głos.

Gem?

Kto chce z nią mówić?

Rick.

Jaki Rick?

Słuchaj, człowieku, jest w domu czy jej nie ma?

Nie ma jej. Rick... a jak dalej?

Mężczyzna rozłączył się. Peter przez chwilę patrzył na słuchawkę ze zmarszczonym czołem, jakby nie bardzo wiedział, co trzyma w ręku.

Kiedy szedł razem z Gemmą North End Road do metra, spytał:

Kto to jest Rick?

Rick...? — Zastanawiała się przez chwilę, po czym pokręciła głową. — Nie znam żadnego Ricka.

Ale on zna ciebie. I nazywa cię „Gem”.

To pewnie ten mały łysy facecik, którego poznałam w pracy, na jednej z promocji.

Przechodzili przez ulicę. Lokal po drugiej stronie ulicy, w którym kiedyś mieścił się sklep, zamieniono na przychodnię stomatologiczną i frontowe okna pomalowane były na niebiesko.

Pod złotymi literami, informującymi: I. Wartawa, chirurg stomatolog, ktoś wyrył napis:

CWBA JEJ M/E W/ERZWZ?

Peter zatrzymał się i wbił wzrok w tekst, a Gemma szła dalej. Czuł tak straszliwą bezradność,

złość i zazdrość, że mógłby rozwalić szybę gołą pięścią. Jak mogła wierzyć, że kupi jej

wyjaśnienie, że Rick to jakiś łysy kurdupel, którego poznała w pracy? Sto do jednego, że to ten gość z kręconymi włosami, w skórzanej kurtce. Sto do jednego.

Zdrada Gemmy musiała być tak oczywista, że litery pojawiały się samoistnie — tak jak kontury

martwych ludzi pojawiają się na ścianach pomieszczeń, w których zginęli, a na dłoniach i

stopach ludzi, którzy przeżyli ekstazę religijną, pojawiają się stygmaty.

Dogonił ją przy wejściu do metra. Chyba wcale nie zauważyła, że przez chwilę nie szedł obok.

Co jest? — spytała, kiedy ujął ją pod ramię.

Wszystko w porządku, ale opowiedz mi o tym Ricku.

—

Nie ma co opowiadać — mruknęła, kiedy kupowali bilety. — Pracuje dla jakiejś firmy komputerowej w Milton Keynes.

Dałaś mu numer domowego telefonu?

Musiałam to zrobić.

Zeszli schodami na wschodni peron. Stacji West Kensington nic nie osłaniało przed stalowoszarymi chmurami i tory błyszczały od wilgoci. Poza nimi było na peronie pięć, może sześć osób, a wśród nich pijak w podartym brązowym płaszczu, który próbował się utrzymać na nogach, co sprawiało wrażenie, jakby tańczył hipnotyzującego fokstrota.

---

Posłuchaj... to, co powiedziałaś o przestrzeni...

---

Nie chciałam cię denerwować, Peter. Chodzi tylko o to, że od czasu do czasu potrzebuję kilku chwil dla siebie. Przepraszam, że powiedziałam to o klaustrofobii.

Peter spojrzał na beton pod swoimi nogami. Było w nim wyrybanych dwanaście kanciastych liter: ó/KARZ JA, PETER.

Z oddali dolatywał odgłos zbliżającego się pociągu. Po chwili na szynach zatańczyły odbicia reflektorów pierwszego wagonu. Peter stanął tuż przy Gemmie i objął ją w pasie. Popatrzyła na niego, jakby jej się to nie spodobało, musiała jednak uznać, że po tym, co powiedziała, nie może się odsunąć.

Kiedy pociąg wyprysnął spod wiaduktu, Peter krzyknął: „Uważaj!” — i z całej siły pchnął Gemmę na tory.

Potknęła się i straciła równowagę. Po chwili niemal udało jej się ją odzyskać, ale Peter znów ją pchnął, jednocześnie trzymając drugą ręką za kołnierz, co wyglądało, jakby chciał ją ratować. Spadła na tory tuż przed kołami pierwszego wagonu.

Rozległ się ogłuszający zgrzyt hamulców, a po nim długi, przeszywający uszy pisk, który mógłby stanowić grand finale jakiejś kakafoicznej opery. Zdawało się, że minęła wieczność, nim pociąg stanął. Zanim zablokowane koła zatrzymały skład, ciało Gemmy zostało



przewleczone ze trzydzieści metrów.

Wokół zapadła cisza, słycać było jedynie odgłosy jadących po North End Road samochodów i dudnienie lecącego na Heathrow boeinga 747.

Peter ruszył na sztywnych nogach na przód składu. Był wstrząśnięty i brakowało mu tchu, ale był jednocześnie dziko rozradowany. Motorniczy właśnie wysiadł z kabiny. Pozamykał wszystkie drzwi, tak że pasażerowie zostali uwięzieni w swoich wagonach, i z przerażeniem patrzył na tory. Pijak przegrał walkę o utrzymanie pionu i leżał na peronie, podpierając się łokciem i powtarzając:

—  
Cholera... nie wierzę... cholera...

Peter podszedł do motorniczego. Mężczyzna miał szarą twarz, jego głos drżał.

—  
Właśnie wróciłem do pracy po poprzednim... — wyjąkał. — Właśnie wróciłem do pracy...

Peter spojrział na tory. Gemma leżała pod przednim kołem od strony peronu. Jej twarz była pokryta czerwonymi siniakami, a sukienka przesiąknięta krwią. Patrzyła na chmury, nie tyle przerażona, co zdziwiona. Prawą rękę oderwało jej przy samym barku, brakowało także kawałka prawej nogi.'

Podbiegł do nich ktoś z obsługi stacji.

—  
Karetka już jedzie — oświadczył. — Nie może pan tu zostać — dodał, zwracając się do Petera. — Musi pan się cofnąć.

—  
To moja narzeczona.

---

Bardzo mi przykro, proszę pana, ale musi pan się odsunąć od torów.

Peter podszedł do ławki na końcu peronu i patrzył, jak zjawiają się kolejni kolejarze, a potem ekipa karetki. Wyłączono prąd i wszyscy zeszli na tory. Peter zaczął żałować, że rzucił palenie.

Kiedy tak siedział, zobaczył wydrapane na boku jednego z wagonów słowa: JESTEŚ SZCZĘŚĆ/M, PETER? Uznał, że w pewnym sensie... Tak, był szczęśliwy.

Nagle lunęło.

Tego samego dnia wieczorem, po rozmowie z dwoma sympatycznymi, jasnowłosymi

detektywami, wrócił na Bramber Road i wszedł do mieszkania. Było zimno i ciemno. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był leżący na kanapie czerwony sweter Gemmy z angory.

— Halo! — zawołał cicho. — Ktoś jest w domu?

Poszedł do kuchni. Białe body Gemmy w dalszym ciągu wisiały na oknach, gdzie je wczoraj zostawiła, więc zaczął je po kolei zdejmować i składać. Potem poszedł do sypialni i otworzył szafę. Była zapchana swetrami, spódnicami, dżinsami i marynarkami, a na podłodze szafy stały, poustawiane jedne na drugich, dziesiątki par butów od Shelleya i Ravela.

Wyciągnął jedną z szuflad i wyjął białe koronkowe majtki. Przycisnął je do twarzy i wciągnął powietrze w płuca. Pachniały jedynie płynem do płukania tkanin. Zniknęła, pomyślał. Naprawdę jej nie ma. Jeżeli człowiek jest wystarczająco odważny, może przejąć kontrolę nad tym, co się dzieje. Oto miał dowód, że można coś zmienić w życiu. Wystarczy tylko otworzyć oczy, podnieść zasłaniające je klapki i od razu widać, że wszyscy dookoła próbują cię zrobić w wała. Mogą się uśmiechać i klepać cię po plecach i udawać, że są twoimi przyjaciółmi, ale to nieprawda. A najgorsze są kobiety.

Wszedł do łazienki i popatrzył na swoją twarz w lustrze. Panie i panowie przysięgli — czy tak wygląda morderca? Nie, ten człowiek wygląda jak ktoś, kogo zdradzała kobieta, która podobno go kochała... jak ktoś, kto wreszcie zaczął zadawać sobie odpowiednie pytania.

Był przekonany, że rzeźbił napisy sam — siłą swojego umysłu. Były wycinane przez jego głęboko skrywane podejrzenia, których nie miał odwagi głośno wyrazić.

Rozebrał się do naga i zważył się, a potem pozdejmował z półki w łazience kosmetyki Gemmy — mleczko kosmetyczne, Clearasil, pastę do zębów, szampon. Włożył wszystko do kartonu po winie — razem z zawartością szuflad w komodzie.

Następnie opróżnił szafę i powkładał ubrania Gemmy w plastikowe worki na śmieci. Przejrzał

nawet szuflady w kuchni, skąd zabrał jej zupki dietetyczne i zieloną herbatę.

Zadzwonił telefon. Peter podniósł słuchawkę.

Kto mówi?

Tu Rick. Gem wróciła?

Gemma już nigdy nie wróci, Rick.

Co to ma znaczyć? Jak mogę się z nią skontaktować?

Nie żyje, Rick. Miała wypadek.

Boże... co się stało?

Dosięła ja sprawiedliwość, Rick. Sprawiedliwość.

Nie rozumiem, o czym mówisz.

—

Oczywiście, że rozumiesz. W końcu pieprzyłeś ją za moimi plecami.

—

Że co?!

Nie udawaj niewiniątka, Rick. To, co oboje robiliście, było wyryte w kamieniu. Wytrawione w szkłe, wydrapane w cegle. Trudno chyba o bardziej konkretne dowody, co?

Nie mam pojęcia, o czym gadasz. Powiedz mi, co się z nią stało!

Peter odłożył jednak słuchawkę, usiadł na krześle i uśmiechnął się zadowolony. Niech sam się drań dowie! Jutro o śmierci Gemmy napiszą wszystkie gazety. Wtedy wszyscy się dowiedzą, że kobiety, które oszukują, muszą za to płacić.

Minął tydzień, a każdego dnia bez przerwy padało. W sobotę rano Peter poszedł na pogrzeb Gemmy do West London Crematorium. Przyszło wielu jej przyjaciół — Kelley, June, David i wszyscy koledzy z pracy, nie zauważył jednak Ricka — mężczyzny z ciemnymi, kędzierzawymi włosami. Prawdopodobnie facet uznał, że najlepiej trzymać się z dala,

pomyślał.

Po ceremonii, kiedy szedł pełnym kałuż asfaltem w kierunku bramy, dogonił go młody blondyn.

—  
Poznaliśmy się, prawda? — zagaił. Kiedy Peter zmarszczył czoło, dodał: — Jestem Robin Marshall, spotkaliśmy się w Kew, na przyjęciu Billa i Gilian.

—  
Och, tak! Co słyhać?

—  
Nieźle mi się wiedzie, właśnie wróciłem z San Francisco. Cóż za tragedia, taka okropna śmierć... musisz być kompletnie rozbity.

—  
Rzeczywiście jestem trochę rozbity.

—  
Była taka słodka i piękna, zawsze taka... pełna wdzięku. Nigdy nie widziałem, żeby zrobiła coś nie tak jak należy albo niezgrabnie. Raz widziałem, jak spadła z drabiny podczas ustawiania dekoracji bożonarodzeniowych, ale jakimś sposobem udało jej się zrobić z tego upadku baletowy krok. Wylądowała na obu stopach — TADAM! — lekko jak elf.

Peter pokiwał głową. Fascynował go kolor oczu Robina Marshalla. Były niemal nierealne, wyglądały jak szafiry. Młody mężczyzna miał kształtne kości policzkowe, prosty nos i pełne, zmysłowe usta. Jego opalenizna nieco już zeszła i wyglądał, jakby został uszminkowany do występu w telewizji.

Masz ochotę na kawę? — spytał go Peter. — Od tego wypadku prawie z nikim nie rozmawiałem.

Oczywiście, byłoby miło. Tuż za rogiem jest włoska restauracja. Jedzenie jest tam do niczego, ale dają doskonałe espresso.

Siedzieli przy zaparowanym oknie z dwoma dużymi espresso, niecały metr od potężnego grubasa w dżinsach i skrzypiącej skórzanej kurtce, który pałaszował spaghetti po bolońsku, wydając przy tym dźwięki, przypominające pracę mieszalnika cementu.

Na pewno czujesz się trochę zdezorientowany po śmierci Gemmy — powiedział Robin. — W końcu wybór partnerów nas definiuje. To, co w nich widzimy, to nasze odbicie.

Sam nie wiem... Brzmi to może bezdusznie i brakuje mi jej jak cholera, ale w pewien sposób poczułem ulgę. Chyba nie byliśmy sobie przeznaczeni. Żałuję tylko, że nie znalazłem innego sposobu.

Robin obserwował go znad filiżanki. Jego błękitne oczy były niesamowite — wyglądał, jakby był jednym z Atreidów z cyklu Diuna.

—

Mówisz, że nie byliście sobie przeznaczeni... co twoim zdaniem było nie tak?

Grubas przy sąsiednim stoliku oderwał kawał chleba i wepchnął sobie do ust, by wymieszać go ze spaghetti.

Jak powiedziałaś, była piękna i... pełna wdzięku — powiedział Peter. — Wszyscy uważali, że jest wspaniała, i taka też była. Uwielbiałem z nią wychodzić i popisywać się nią, jeśli jednak chodzi o...

O co? Co było nie tak? Czego brakowało?

Peter nie miał pojęcia, dlaczego chce zdradzić Robinowi prawdę — po prostu wiedział, że może to zrobić. Pewnie dlatego, że młody mężczyzna sprawiał wrażenie jednego z tych ludzi, którzy instynktownie rozumieją, co czujesz, ponieważ czują to samo.

—

Kiedy między nami dochodziło do czegokolwiek... no wiesz, do czego... Gemma nie podniecała mnie. Nie kręciła mnie.

—  
Hm... a dlaczego według ciebie tak było? Peter wzruszył ramionami.

—  
Kochałem ją. Naprawdę. Byłem wściekle zazdrosny o każdego mężczyznę, z którym flirtowała. Ostatnio wydawało mi się, że spotyka się z kimś innym, i strasznie mnie to przygnębiało, a jednak...

Nie podniecała cię seksualnie. To chcesz powiedzieć?

Chyba tak. Ale nie mam pojęcia, dlaczego tak się działo. Robin pochylił głowę i zapatrzył się w swoją filiżankę.

A co z innymi kobietami? Podniecały cię inne kobiety? Peter nie od razu odpowiedział. Nie był



w stanie. Zawsze

lubił kobiety i zawsze go interesowały. Kiedy był młodszy, kupował czasopisma erotyczne i onanizował się, patrząc na zdjęcia, ale Robin zbliżył się niebezpiecznie blisko do czegoś, nad czym nigdy nie miał odwagi się zastanowić.

—

Tak, oczywiście, pewne kobiety tak — odparł po chwili. — Pewien typ kobiet. Nie wszystkie, ale niektóre na pewno.

Robin nadal nie podnosił głowy.

—

Może byłoby dobrze, gdybyśmy spotkali się jeszcze raz i dokładniej o tym porozmawiali? Jeśli masz ochotę, mógłbyś wpaść do mnie na kolację.

—

Bo ja wiem...

—

Zastanów się. Oto moja wizytówka, jest tam też numer telefonu. Najbliższy czwartek bardzo by mi pasował.

—

Dzięki. — Peter włożył wizytówkę do portfela. Grubas przy sąsiednim stoliku pociągnął nosem i głośno beknął.

Choć do domu miał prawie pięć kilometrów i lało, postanowił wracać na piechotę. Musiał się nad tym wszystkim zastanowić, sądził także, że zasłużył na karę. Nie otwierał parasola, więc lodowaty deszcz smagał mu twarz. Nie mógł przestać myśleć o Robinie, jego niesamowitych

oczach i łukowato wygiętych, lekko rozchylonych wargach..

Doszedł do skrzyżowania z Charleville Road. Na środku wysepki stała publiczna toaleta, otoczona płotkiem z kutego żelaza. Z boku budyneczku były wyryte w ceglach takie same poszarpane litery, jakie już widywał. K/M JESTEŚ, PETER?

Przeciął pełną samochodów ulicę i podszedł do ściany. Tym razem litery również były bardzo głęboko wyryte. Przycisnął dłoń do cegieł i zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie wariuje. Ale wariaci słyszą tylko głosy, nie widzą napisów wykutych w ścianach z kamienia.

Otarł kapiący nos grzbietem dłoni. Musiał się wysikać, obszedł więc toaletę i wszedł na prowadzące w dół schodki. Z naprzeciwka nadszedł siwy mężczyzna w mokrym płaszczu przeciwdeszczowym. Kiedy mijał Petera, machnął porozumiewawczo ręką.

W toalecie śmierdziało, cała podłoga była zalana. Chudy młodzieniec w wyświechtanym płaszczu mył sobie w jednej z umywalek włosy. Obok niego stał straszliwie wychudzony, trzęsący się pies.

—

Masz drobne, stary? — spytał z głębin umywalki. Peter właśnie zamierzał otworzyć drzwi kabiny, sięgnął

jednak do kieszeni, wygrzebał trzy funty i położył je na półce, obok wyszczerbionego grzebienia włóczęgi, który nawet nie podziękował.

—

Kup sobie filiżankę herbaty albo coś innego — powiedział i wszedł do kabiny.

Zamknął za sobą drzwi. Na muszli nie było deski klozetowej i ktoś rozwinął całą rolkę papieru, rzucając go w beładnej stercie na podłogę. Ściany pokrywały rysunki, wiersze i numery telefonów. Chcesz łaskę, jakiej nigdy nie miałeś? Jeśli tak, to przyjdź 19.30 wtorek 9. — Lubię czarnych z ciasnymi dziurami. — O pory roku, o zamki! — Jaka dusza jest bez skazy? — Spurs

to kutasy. Pomędzy napisami znajdowały się, porobione flamastrem, toporne rysunki nagich kobiet i pozbawionych ciał członków, z których sperma wystrzeliwała jak z karabinu maszynowego. Na górze Peter zobaczył — i natychmiast poczuł na karku pełznące w dół kręgosłupa zimno — napis wyrąbany w kafelkach: DMCZECO ME SPRÓBUJESZ, PETER? Oddał mocz i spuścił wodę, a potem zasłonił dłonią usta i stał przez długą chwilę, zastanawiając się, co powinien zrobić. Robin mocno zamącił mu w głowie i kiedy zapytał, czy chce przyjść na kolację, Peter miał wielką ochotę się zgodzić. Nie był jednak jeszcze pewien swego. A jeżeli wcale nie był gejem? Jeżeli cierpiał z powodu utraty Gemmy bardziej, niż to sobie

uświadamiał, i szukał jedynie wsparcia? Przecież mimo całego swojego wdzięku i urody Gemma mogła po prostu nie być w jego typie...

Musiał się co do tego upewnić przed następnym spotkaniem z Robinem. Przyjęcie zaproszenia i odkrycie, że popełnił wielki błąd, byłoby żenujące.

Stał w kabinie jakieś trzy, może nawet cztery minuty. Nie miał pojęcia, co dalej robić. W końcu jednak otworzył drzwi i wyszedł. Młodzieniec w wyświechtanym płaszczu nadal pochylał się nad umywalką — jakby czekał na pojawienie się Petera. Pies ziewnął i potrząsnął łbem. Peter podszedł do młodego włóczęgi i stanął tuż za nim.

—  
Chcesz więcej pieniędzy?

Tamten przestał splukiwać włosy, ale nic nie odpowiedział.

—  
Pytam, ponieważ... nigdy przedtem tego nie robiłem. Nie zaczepiam obcych, pytając, czy są zainteresowani. Nie wiem więc, czy tak się to robi.

Włóczęga w dalszym ciągu się nie odzywał, tkwił bez ruchu z głową tuż nad pełną mydlin wodą.

—  
Jeśli nie jesteś zainteresowany, to po prostu powiedz i sobie pójdę.

Wreszcie młody człowiek wyprostował się; kościste ramiona wypchnęły ramiona płaszcza.

Peter nie widział jego twarzy, bo lustro było zaparowane.

No i...? — spytał. Zaczynał się już denerwować i niecierpliwić, niewiele brakowało, by się odwrócił i wyszedł.

Zadajesz zbyt wiele pytań — powiedział chłopak chrapliwym szeptem.

—  
Słucham...? Co to ma znaczyć?

—  
Dokładnie to, co mówię. Nie przestajesz w siebie wątpić. Nie przestajesz wątpić w ludzi. Brak ci wiary.

—  
Wiary? Co tu ma do roboty wiara?

—  
Decyduje o wszystkim.

Młodzieniec podniósł prawą rękę — bardzo chudą, z długimi palcami — i otworzył dłoń. Peter z przerażeniem zobaczył, że każdy palec kończy się długim, zagiętym paznokciem, mającym ponad dziesięć centymetrów.

Chłopak sięgnął do lustra i paznokciem palca wskazującego przeciągnął po szkłe. Z przypominającym mielenie kamyków zgrzytem, od którego Petera zaboląły zęby, wydrapał w szkłe: Mm W/m, mMA przeszłość/ — a potem się odwrócił.

Wcale nie był młody. Miał szarą, przypominającą kształtem serce twarz, jak rycerska tarcza, i skośne, błyszczące jak jasny bursztyn oczy. Wyglądał jak monstrualna modliszka, a kiedy rozłożył poły płaszcza, Peter ujrzał ciemne, włókniste korzenie, podobne do splątanych korzeni drzew, oraz wysuwające się co chwila z jego ciała i znikające w nim srebrnoszare węże. Przerażony, zrobił krok do tyłu, potem jeszcze jeden.

—  
Dokąd idziesz, Peter? — spytał modliszkowaty stwór tym samym szeptem co przedtem.

— Nie uciekniesz od swego braku wiary. To nie twój umysł wydrapał wszystkie te pytania, aleja, tyle że ty sam mnie stworzyłeś. Rozumiesz? Każdy z nas nosi w sobie demony, jednak

większość ludzi jest na tyle mądra, że dba o to, by pozostały tam, gdzie są.

—  
Jesteś zwiądą...

—  
Nic podobnego, wcale nie jestem zwiądą. Tak samo nie jest zwiądą twój brak pewności siebie. Nie jest też zwiądą twój brak wiary. Ani nie jest zwiądą twoje ciągłe powątpiewanie w siebie. Dopóki będziesz w sobie wątpił, będę za tobą podążał i nie dam ci spokoju.

Peter długo wpatrywał się w modliskowatego stwora, jego pierś unosiła się gwałtownie i opadała, jakby długo biegł. Miał wiarę. Wierzył w siebie. Ale w co tak naprawdę wierzył? Dlaczego zawsze uważał, że nigdzie nie pasuje? W pracy podejrzewał, że koledzy go nie lubią i obgadują go za plecami. Kiedy szedł ulicą, zawsze miał wrażenie, że ludzie się na niego gapią i zastanawiają się, co z niego za pokraka. Nigdy nie uwierzył do końca, że Gemma go kocha i chce wyjść za niego za mąż, i może właśnie dlatego nigdy nie potrafił jej zaufać.

Teraz jednak mógł wreszcie raz na zawsze pozbyć się wątpliwości — gdyby udało mu się przestać zadawać sobie tyle pytań, zabić swój brak wiary...

Podniósł parasol i uderzył modliszkę w ramię, ale stwór błyskawicznie mu ją wyrwał i odrzucił w drugi koniec toalety. Peter uderzył go pięścią i przez ułamek sekundy poczuł okropną włóknistość — konsystencja jego ciała przypominała wyschnięty torf. Modliszkowaty stwór bez słowa wyprostował oba palce wskazujące i chlasnął go po twarzy — najpierw przez jeden policzek, potem przez drugi. Jego paznokcie przecięły policzki Petera na wylot. Chlusnęła krew, zalewając wszystkie umywalki i opryskując ściany.

Peter próbował złapać stwora za szyję, ale pod sercowatą głową były tylko korzenie. Był zbyt wstrząśnięty, by móc krzyczeć, i nie czuł języka, wyrzucił jednak z siebie charkotliwe HHHUUHHHRRRHHH!!, od którego z jego twarzy chlusnęła kolejna porcja krwi, i huknął głową modliszki o lustro.

Modliszkowaty stwór wbił ostry, twardy paznokieć palca wskazującego w nogawkę pogrzebowych, czarnych spodni Petera, w podskórną warstwę tłuszczu w kroczu, a potem przebił się do jamy brzusznej. Peter czuł, jak paznokieć wsuwa się w jego ciało, i było to najobrzydliwsze uczucie, jakie mógł sobie wyobrazić. Długi paznokieć modliszki powoli przebijał się przez wnętrzności, mięśnie i tkankę łączną, przesuwał się jednocześnie coraz wyżej i wyżej. W końcu przeciął żołądek i oparł się o mostek, ale Peter nawet nie jęknął. Przód jego koszuli nasączył się krwią. Potwór cofnął się, oddychając chrapliwie. Peter zachwiał się, zakaszłał i powoli osunął się na podłogę, przyciskając do niej czoło jak skruszony grzesznik. Tuż przed oczami ujrzał napis: JAKSEŃOZ/Ś CZUJESZ, PETEP? Litery były głęboko wycięte w kafelkach i powoli wypełniały się krwią.

Miesiąc później, pewnego zimnego, jasnego dnia, Robin Marshall został wezwany na

przesłuchanie do West London Coroner's Court. Miał opowiedzieć koronerowi o stanie psychicznym Petera w dniu, w którym zginął.

Stał w białym boksie dla świadków, poranne słońce oświetlało jego jasne włosy.

Miałem wrażenie, że Peter jest niezdecydowany.

Co do czego? — spytał koroner.

—  
Właśnie wracał z pogrzebu narzeczonej. Moim zdaniem miał wobec niej mieszane uczucia.

—  
Co to znaczy?

—  
Czuł się winny, że być może nie kochał jej tak bardzo, jak powinien.

—  
Może pan to jakoś rozwinąć?

—  
Moim zdaniem nie miał pewności co do swojej orientacji seksualnej — odparł Robin.

—  
Rozumiem. Coś jeszcze?

—  
Twierdził, że narzeczonej go tak naprawdę... hm... nie podniecała, ale był bardzo zazdrosny, bo myślał, że spotyka się z innymi mężczyznami.

—  
Uważał, że to robi? Robin skinął głową.

—



Powiedział, że bardzo go to przygnębia. Był też oczywiście bardzo przygnębiony z powodu jej śmierci i chyba ciągle jeszcze był w szoku.

Doktor George Potter, lekarz Petera, stwierdził, że Peter cieszył się dobrym zdrowiem, choć cierpiał na łagodne alergie i raz prosił o pomoc z powodu napadu lęku w pracy.

—  
Jeśli chodzi o spotykane się jego narzeczonej z innymi mężczyznami, to tylko jego wyobraźnia — oświadczył. — Była pacjentką mojego kolegi, doktora Carpentera, który trzy tygodnie przed jej śmiercią odkrył u niej zgrubienie w lewej piersi. W tych okolicznościach nie powinno dziwić, że była nieco rozkojarzona. W przyszłym tygodniu doktor Carpenter podczas rozprawy dotyczącej jej śmierci powie, że w dniu przed wpadnięciem pod pociąg na stacji West Kensington zadzwonił do niej do domu, by ją poinformować, że będzie musiała poddać się zabiegowi chirurgicznemu.

Doktor Vikram Pathanda, główny patolog w szpitalu Ham-mersmith, opisał potem, w jaki

sposób Peter zmarł.

---

Stwierdziłszy dwie ukośne rany, po jednej na każdym policzku, tak głębokie, że policzki były poprzecinane na wylot. W dolnej części brzucha stwierdziłszy głęboką ranę kłutą, poszerzoną poprzez rozcięcie brzucha ku górze, aż do mostka. Rana była tak poważna, że śmierć musiała nastąpić w ciągu trzech minut. Rany zostały spowodowane specjalnym dłutem do rzeźbienia w kamieniu, które znaleziono obok ciała. Moim zdaniem nie ma najmniejszych wątpliwości, że zmarły sam je sobie zadał.

Koroner zdjął okulary.

---

Dziękujemy, doktorze Pathanda. Sądzę, że teraz możemy zrobić przerwę na lunch.

Robin Marshall siedział na górnej platformie autobusu numer 15, osłaniając dłonią oczy przed popołudniowym słońcem. Obok niego ulokował się Murzyn w obszernych robociarskich spodniach, słuchał kasyty z rapem i od czasu do czasu mamrotał:

---

Unh-a-unh-a...

Autobus zaczął hamować przed stacją Paddington. Kiedy się zatrzymał, obok stanął drugi.

Robin popatrzył na siedzącą na jego przodzie ładną Azjatkę. Potem spojrzał w dół — na boku autobusu była reklama pepsi-coli.

Ktoś wyrył na niej litery — wysokie, poszarpane litery, wydrapane na tyle głęboko, że pod spodem widać było aluminium. Układały się w napis: jak się dziś czujesz, r08w

Szamański Obraz

Ostatniej nocy w Libréville Paul poszedł się przejść po bazarze. Przed chwilą skończyła się

gwałtowna burza i powietrze było jeszcze nie tylko wilgotne, ale i gorące. Paul czuł się, jakby owinięto mu głowę nagrzanym tureckim ręcznikiem, koszula lepiała mu się do pleców.

Wiedział, że gdy opuści Gabon, będzie tęsknił za paroma tutejszymi rzeczami, ale klimat do nich nie należał — tak samo jak przykra woń tropikalnej pleśni.

Wzdłuż Marche Rouge ciągnęły się stragany pełne bananów, fig i manioku, poprzeplatane stoiskami, w których sprzedawano curry z baraniny oraz potrawki z mąki kukurydzianej i ostro przyprawione ryby. Stoiska oświetlały nagie żarówki, a każde było małym teatrem, w którym spocone twarze aktorów spowijał dym z kuchennych palenisk.

Paul mijał stragan po straganie. Był wysokim mężczyzną, miał krótko ostrzyżone włosy i okulary na nosie i zaczynał się czuć tu jak widz — ktoś, kto już nie należy do tego miejsca.

W pewnym momencie pociągnęła go za rękaw młoda, szczupła dziewczyna z jednym okiem zaciągniętym bielmem i zaoferowała miedziane bransolety. Zamierzał ją odepchnąć, ale rozmyślił się. Jutro będzie już gdzie indziej — w drodze powrotnej do Ameryki, a po co mu w New Milford w stanie Connecticut tutejsze pieniądze?

Dał dziewczynie pięć franków, co prawdopodobnie przekraczało jej tygodniowy zarobek, i wziął jedną bransoletkę.

—  
Merci beaucoup, monsieur, vous etes tres gentil — powiedziała z dziwnym akcentem, uśmiechnęła się i zniknęła w tłumie.

Paul popatrzył na portfel. Prawie skończyły mu się pieniądze. Miał jeszcze trzysta franków, kartę American Express — prawdopodobnie już dawno nieważną — i zawilgocony bilet lotniczy. Był biedny niemal jak Gabończyk.

Przyjechał tu trzy i pół roku temu, by założyć firmę pośredniczącą w handlu metalami.

Stopniowo nawiązywał kontakty z zagranicznymi spółkami górniczymi i wyrobił sobie opinię, że płaci najwięcej, bo ma najmniejsze koszty administracyjne. Po dwóch latach mógł wynająć wielki biały dom w pobliżu pałacu prezydenckiego i sprowadzić sobie srebrnego mercedesa. Ale sukces, jaki odniósł, ściągnął na niego uwagę oficjeli rządowych i wkrótce wezwano go do ministerstwa handlu. Uśmiechnięty urzędnik w śnieżnobiałej koszuli z krótkimi rękawami poinformował go, że od tej chwili wszystkie jego transakcje są obłożone „podatkiem maklerskim” w wysokości osiemdziesięciu pięciu procent.

Osiemdziesiąt pięć procent?! Chcecie, żebym umarł z głodu?

Przesadza pan, panie Dennison. Przeciętny Gabończyk zarabia na rok mniej, niż pan wydaje na parę butów, a jeszcze musi jeść i kupować ubranie. Czego pan więcej potrzebuje?

Paul odmówił zapłaty podatku, kiedy jednak po tygodniu zadzwonił do LaSalle Cynk, powiedziano mu z mnóstwem przeproszającego francuskiego gdakania, że z powodu „międzyna-rodowej racjonalizacji” nie mogą prowadzić z riim dalej interesów. Podobną odpowiedź otrzymał w DuFreyne Ołów i w Pan-African Mangan. W ciągu tygodnia odcięto mu też telefony.

Kilka miesięcy żył z oszczędności i próbował podejmować kroki prawne w celu unieważnienia albo przynajmniej zmniejszenia owego „podatku maklerskiego”, jednak gaboński system prawny ma niewiele wspólnego ze sprawiedliwością, a znacznie więcej z absurdalną rzeczywistością rodem z powieści Franza Kafki. W końcu adwokat także odmówił świadczenia usług i było jasne, że nie ma sensu dalej walczyć.

Szedł zachodnią stroną Marche Rouge. Światła straganów odbijały się w kałużach pod jego stopami, tworząc iluzję zatopionego świata. Zewsząd dolatywała monotonna, dudniąca muzyka, a bzyczenie owadów było tak głośnie, jakby ktoś przeciągał grabiami po zardzewiałym

dachu.

Na samym końcu bazaru, w cieniu, na mokrym asfalcie, siedziała ze skrzyżowanymi nogami stara kobieta, przed którą stała odwrócona do góry nogami skrzynka po owocach. Staruszka miała gładką, okrągłą twarz, a jej włosy były posplatane w setki maleńkich, siwych warkoczyków. Ubrana była w ciemnobrązową sukienkę z nadrukowanymi czarnymi wzorkami — zygzakami, kołami i patykowatymi ludzikami. Kiwała głową, patrząc na Paula, jakby przytakiwała jego myślom, a jej wielkie, srebrne kolczyki kołysały się przy każdym ruchu głowy, po-błyskując refleksami światła odbitego od żarówek, palących się w sąsiednim straganie z rybami.

Na skrzynce leżało kilka przedmiotów. Pośrodku stała nieduża hebanowa figurka kobiety o obfitych piersiach, wielkich pośladkach i zamkniętych srebrnym drutem ustach. Obok niej leżało coś, co przypominało grzechotkę — umocowana na długiej kości wysuszona głowa małpy, pokryta matową, szarą sierścią. Stało tam także kilka słoiczków po kremie firmy Pond, wypełnionych brązowymi i żółtawymi pastami, a obok leżało kilka naszyjników, wykonanych z zębów, paciorków i piór. Na skrzyni leżało jeszcze coś — wyglądało jak czarna, gładka tykwa o dziesięciocentymetrowej średnicy.

Paul zamierzał zawrócić do hotelu, gdy kobieta zawołała:

—

Attendez, monsieur! Ne voulez-vous acheter mes jouets? W jej głosie brzmiało zdziwienie, jakby nie mogła pojąć, dlaczego do niej nie podszedł i nie obejrzał tego, co miała na sprzedaż.

—

Ja tylko spaceruję — wyjaśnił Paul.

Kobieta przesunęła dłońmi nad zbiorem dziwacznych przedmiotów przed sobą.

Wydaje mi się, że przyszedłeś tu, żeby coś ode mnie kupić.

Nie. Przepraszam bardzo, ale nie.

Więc co cię tu sprowadziło?

Jutro wyjeżdżam z Libreville. Chciałem ostatni raz rozejrzeć się po bazarze, to wszystko.

Przyszedłeś tu z konkretnego powodu. Nikt nie trafia przypadkiem na Jonąuil Mekambo.

Posłuchaj, naprawdę już muszę iść — zniecierpliwiał się Paul. — Jeśli mam być szczery, nie sądzę, żebyś miała cokolwiek, co mógłbym chcieć kupić.

Kobieta uniosła hebanową figurkę.

—  
Uciszyć tych, którzy wyrządzili ci zło, peut-etre

—  
Amulety juju... Dziękuję, ale nie. Naprawdę. Kobieta wzięła do ręki kość z małpią czaszką i postukała nią w bok skrzynki.

Wezwać demony, żeby podusiły twoich wrogów? Nauczę cię, jak stukać.

Dość mam już w życiu demonów, nie potrzebuję wyczarowywać kolejnych.

Jonąuil wie o tym. Jonąuil wie, dlaczego musisz wyjechać z Libreville. Nie ma pieniędzy, nie ma pracy.

Paul wbił w nią wzrok. Odwzajemniła spojrzenie, jej twarz wyglądała jak czarny, błyszczący księżyc.

Skąd wiesz?

Jonąuil wie wszystko. Jonąuil czeka tu na ciebie ce soir.

—  
Cóż, Jonąuil, niezależnie od tego, jak się o tym dowiedziałaś, nie możesz mi pomóc.

Poukładanie mojego życia wymaga czegoś więcej... czarna magia tu nic nie pomoże. Muszę wszystko zacząć od nowa.

W takim razie potrzebujesz szamańskiego kompasu.

Tak? A co on może dla mnie zrobić?

Palcem z długim, pomalowanym na czerwono paznokciem Jonąuil wskazała na tykwę.

Szamański kompas, prawdziwy, z Makokou.

I co taki kompas robi?

—

Zaprowadzi cię wszędzie, dokąd chcesz. Do pieniędzy, kobiet, domu. Działa zawsze.

Paul pokręcił głową.

Wspaniała propozycja, Jonąuil, ale chyba zrezygnuję.

Weź go do ręki! — nakazała Jonąuil.

Paul wahał się. Nie wiadomo czemu dudnienie bębnów nagle stało się głośniejsze, bardziej natarczywe, a bzyczenie owadów agresywniejsze. Wziął czarną tykwę i zważył ją w dłoni. Była lekka i coś w niej grzechotało. Paciorki, może pestki.

Zobacz w głowie to, co chcesz mieć — powiedziała Jonąuil — i szamański kompas zaśpiewa.

Cicho, jeżeli to, co chcesz, jest daleko, głośniej, jeśli blisko.

Więc to coś w rodzaju licznika Geigera — stwierdził Paul z uśmiechem. — Tyle że nie wskazuje radioaktywności, a to, co jest ci potrzebne do szczęścia.

—

Pieniądze, kobiety, dom. Działa zawsze.

Paul przetoczył kompas po dłoni. Było w nim coś fascynującego... jakaś gładkość, ciepło...

—

Czy ja wiem... — powiedział z wahaniem. — Zależy od tego, ile kosztuje.

11 y a deux prix.

Dwie ceny? Co masz na myśli?

En termes d'argent, le prix est quatorze francs. Mais U y a également un prix moral a payer, chaque fois la boussole pointé sur ce que vous desirez.



Muszę dokonać wyboru moralnego? Dobrze zrozumiałem?

Jonąuil znów skinęła głowa.

—  
Niczego, czego się naprawdę pragnie, nie dostanie się za darmo.

Paul delikatnie potrząsnął szamańskim kompasem i ze środka doleciał cichy, uwodzicielski grzechot.

—  
W porządku — odparł. — Czternaście franków. Jeśli zadziała, wrócę i podziękuję ci osobiście. Ale jeśli nie zadziała, nie będę mógł tu wrócić.

— Wrócisz — zapewniła go Jonąuil, licząc pieniądze. — Sprowadzą cię tu twoje nogi.

Kiedy przyjechał do New Milford, był suchy, wietrzny dzień. Niebo miało błękitną barwę, czerwonożółte liście wirowały i tańczyły na trawnikach. Paul jechał powoli samochodem z wypożyczalni i tak samo jak ostatniego wieczoru w Gabonie, czuł się jak duch. Wszędzie widział znajomych. Zobaczył starego pana Dawsona z nowym szczeniakiem, labradorem. Jego poprzedni pies, Gremlin, musiał już zdechnąć. Nieco dalej ujrzał Jima Salzbergera, opartego o czerwonego pikapa i rozmawiającego z Annie Nilsen.

Wokół widział te same pomalowane na biało domy, odbijające blask słońca. Na wieży był ten sam zegar z błękitną tarczą. Paul jechał powoli, ale się nie zatrzymywał. Nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że wrócił — jeszcze nie teraz. Kiedy opuszczał miasteczko, roznosiła go ambicja, a rodzice byli z niego tacy dumni, kiedy zarobił w Libreville pierwsze sto tysięcy dolarów. Teraz jednak wrócił jako bankrut i nie miał w sobie nawet tyle siły, by chcieć zaczynać od początku.

Przejechał pustą drogą do Allen's Corners, a potem jeszcze kawałek, za sklep Dona Humphreya. Słońce wpadało do samochodu, rzucając migotliwe refleksy, i Paul miał wrażenie, jakby oglądał stary amatorski film o swoim poprzednim życiu.

Po chwili skręcił i wjechał na stromą leśną drogę prowadzącą do domu rodziców. Nie było to nic luksusowego — parterowy budynek na zboczu wzgórza, z dziwacznie pozałamywanym podjazdem i małym, trójkątnym podwórkiem. Ojciec był za domem. Ciął na starej pile tarczowej kłocę drewna i w powietrzu unosił się swąd spalenizny.

Paul zaparkował za oldsmobile'em ojca i wysiadł. Stary pan Dennison natychmiast krzyknął: Jeannie! Jeannie! Zobacz, kto przyjechał! — i zaczął zbiegać po schodkach. Był wysoki (choć nie tak wysoki jak Paul), miał krótko ostrzyżone siwe włosy i lekko się garbił — jak ktoś, kto przez całe życie ciężko pracował i nigdy tak naprawdę się nie zrealizował. Matka Paula wyszła

z kuchni z sosjerką w ręku. Też była wysoka — zwłaszcza jak na kobietę — ale choć również była siwa, wyglądała znacznie młodziej. Była ubrana w różową bluzkę w kratę z podwiniętymi rękawami i dżinsy.

Dlaczego się nie zapowiedziałeś? — spytała ze łzami w oczach. — Nie mam nic do jedzenia! Ojciec klepnął syna w plecy i lekko go popchnął w kierunku prowadzących do domu schodków.

Podejrzewam, że chciał nas zaskoczyć. Prawda, synu?

Do przedwczoraj nie wiedziałem, że przyjadę — odparł Paul.

Miło znów cię widzieć — powiedział ojciec z uśmiechem. — Trochę schudłeś, prawda? Mam nadzieję, że się odpowiednio odżywasz. Ciągła praca bez jedzenia robi z najsilniejszego chłopaka chłopa chlerlaka.

Powinnam pójść na bazar — stwierdziła matka. — Mogłabym zrobić twoje ulubione duszone mięso.

Możemy wieczorem zjeść na mieście — oświadczył ojciec. — Pamiętasz restaurację

Randolpha, synu? Rok temu przejął ją nowy właściciel i powinieneś ją teraz zobaczyć! Robią potrawkę z homara, za którą warto oddać życie!

—

Dan, tam jest za drogo... — wtrąciła matka.

—

Co to ma znaczyć? Nasz syn nawykł przecież do tego, co najlepsze, prawda? Jak sprawuje się twój mercedes? A może zamieniłeś go na coś lepszego?

—

Ee... zastanawiam się nad porsche.

—

Porsche! To wspaniale! Dennison w porsche! Co powiesz na piwo? Usiądziemy i

opowiesz nam, co porabiałeś.

Prawdę mówiąc, jestem dość zmęczony.

Oczywiście, przepraszam. Wobec tego może pójdziesz do swojego pokoju i się odświeżysz?

Opowiesz nam o wszystkim, kiedy odpoczniesz.

Jak długo zostaniesz? — spytała matka. Uśmiechnął się do niej słabo.

Nie wiem jeszcze... to zależy od kilku spraw.

Przez chwilę patrzyła mu w oczy — tak, jakby podejrzewała, że nie mówi prawdy. Zawsze wiedziała, kiedy kłamie. Albo wyczuwała to jakimś dodatkowym zmysłem, albo okłamując ją, czuł się tak winny, że sam się zdradzał.

Wziął torbę z samochodu i zaniósł ją do swojego pokoiku z tyłu domu. Choć położono w nim nowy, zielony dywan i zawieszono nowe, zielone zasłony w biało-zielone kwiaty powojnika, wewnątrz było przygnębiająco znajome. Na komodzie w dalszym ciągu stały wszystkie jego futbolowe trofea ze szkoły średniej i fotografią, na której ściskał wyliniałego, rudego psa.

Usiadł na łóżku i zakrył twarz dłońmi. Jedenaście lat pracy. Jedenaście lat nieustannego podróżowania i wstawania o drugiej albo trzeciej w nocy. Wszystko przepadło — wszystko — i nie zostało nic, poza jedną walizką i dwudziestoma trzema frankami CFA, których nie można było wymienić na dolary, a gdyby nawet udało się je wymienić — nic niewartymi.

Wszedł ojciec z puszką piwa.

Masz — powiedział i podał mu ją. — Założę się, że w Libreville nie mieliście coorsa.

Nie, można tam kupić tylko francuskie piwo albo miejscowe. Nadaje się jedynie do czyszczenia kanalizacji — odparł Paul.

Otworzył walizkę. Dwie pary spodni, pomięta płócienna marynarka, brązowe sandały, skarpetki i majtki.

Przyjechałeś z bardzo małą ilością bagażu — stwierdził ojciec. — Kiedy byłeś tu poprzednim razem, miałeś mnóstwo walizek. Można było sądzić, że przyjechała Madonna.

Cóż... dowiedziałem się o tym wyjeździe w ostatniej chwili.

Z bocznej kieszeni walizki wyjął szamański kompas i położył go obok futbolowych pucharów.

A to co? — spytał ojciec.

Coś w rodzaju amuletu na szczęście.

Naprawdę? — Ojciec wziął kompas i potrząsnął nim. — Wygląda mi raczej na kupę wielkiej owcy.

Paul wieszał ubrania w szafie.

Nic nie mówisz — powiedział ojciec. — Wszystko w porządku?

Jasne. Wszystko gra.

Ojciec położył mu dłoń na ramieniu.

Wiesz, kto jeszcze się tu zjawił? Pamiętasz Katie Say-ward, którą tak lubiłeś? Jej małżeństwo się rozpadło, wróciła więc do ciotki.

Nawet nie wiedziałem, że wyszła za męża.

Wyszła. Za jakiegoś aktora z Nowego Jorku. Był naprawdę bardzo przystojny. Za bardzo, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Poznałem go, kiedy przyjechała do Sherman zobaczyć się z ciotką. O ile wiem, miał romans z jakąś chorzystką i Katie całkiem się załamała. Jeśli się z nią spotkasz, nie wspominaj o tym, dopóki sama ci tego nie powie.

Paul podszedł do okna i przycisnął czoło do zimnego szkła. Podwórko wznosiło się stromo, kończąc się na gąszczu wyschniętych, brązowych paproci. Katie Sayward... uwielbiał Katie Say-ward już w szkole podstawowej. Katie Sayward ze szczupłymi kostkami i błyszczącymi ciemnymi włosami, które kołysały się przy każdym ruchu głowy. Nawet kiedy była nastolatką, jej usta zawsze wyglądały, jakby właśnie skończyła się z kimś całować. Wyrosła z niej piękna młoda kobieta, oglądali się za nią wszyscy mężczyźni. Któregoś dnia Paul odważył się spytać, czyby się z nim nie umówiła, i do dziś pamiętał tę chwilę: wszedł do klasy, gdzie było mnóstwo innych dziewczyn, i spytał: „Katie, co powiesz na to, żebyśmy poszli razem na hamburgera?”.

Ale ona zasłoniła tylko dłonią usta i wybuchnęła śmiechem. To wspomnienie do dziś sprawiało, że robiło mu się gorąco i czuł się nieswojo.

A więc Katie Sayward wyszła za mąż... Oczywiście —jakże mogłoby być inaczej? Nie chciał o

tym nic wiedzieć. Jeszcze

187 gorsze było to, że mąż ją zdradzał. Jak mógł zdradzać taką piękną i wspaniałą kobietę?

Weszła matka.

Na pewno nie chcesz nic zjeść? Mogę ci zrobić kanapki z suchą kiełbasą. Na pewno nie miałeś takiej w Gabonie.

Nie trzeba, mamó. Naprawdę. Daj mi tylko trochę odpocząć.

W porządku — powiedział ojciec i ponownie poklepał syna po plecach. — Obudzę cię przed kolacją.

Restaurację Randolpha urządzono w stylu kolonialnym — siedemnastowieczne meble, osłonięte abażurami lampki na stołach, staromodne naczynia kuchenne na ścianach. Siedzieli na samym środku sali, a ojciec Paula co chwila odwracał się do znajomych i wołał do nich:

—

Dick! Janice! Paul wrócił z czarnej Afryki! Oczywiście, świetnie sobie radzi, prawda,

Paul? Biznes kwitnie! Właśnie planuje kupić sobie porsche!

Paul popatrzył na matkę. Uśmiechała się, ale najwyraźniej czuła, że coś jest nie tak.

Ojciec zamówił na początek dla siebie i syna dwa duże martini, a dla żony mimozę. Potem otworzył wielkie, oprawne w skórę menu i oświadczył:

—

W porządku! Wypychajmy łódkę na morze! Zamówił ostrygi oraz kawior z kwaśną śmietaną i blinami.

Zamówił stek, homara i tuńczyka z rusztu. Do przystawek pili szampana Roederer, a do dań głównych Paulliac, po dziewięćdziesiąt siedem i pół dolara za butelkę.

Ojciec był bardzo ożywiony i cały czas rozprawiał, ale Paul siedział ze spuszczoną głową i bez



entuzjazmu żuł kolejne smakołyki. Nie wiedział nawet, czy je stek, czy homara, nie tknął fasoli i brokuł.

—  
Musisz być rozbity po locie — zauważyła matka, kładąc dłoń na jego dłoni.

—  
Tak... prawdopodobnie tak. Jutro wszystko będzie w porządku.

Pianista w głębi sali grał powolną, bluesową wersję Buddy, Can You Spare a Dime? — i mało brakowało, by Paul wstał i wyszedł.

Wiesz co? — powiedział ojciec z pełnymi ustami, z których zwisał mu skrawek homara. — Jestem z ciebie taki dumny, że mógłbym stanąć przed restauracją i wykrzyzczyć to na głos! Mój jedyny syn, choć skromnie zaczął, miał jaja, żeby pojechać do Afryki i własnoręcznie zarobić sto milionów!

Co do tych stu milionów nie byłbym taki pewny...

Nawet jeśli jeszcze ich nie zarobiłeś, wkrótce na pewno będziesz je miał. Jesteś do tego stworzony i dlatego jestem z ciebie taki dumny!

Zakończyli posiłek kawą po irlandzku w sali koktajlowej. Ojciec Paula coraz bardziej się rozgadywał i kiedy zaczął opowiadać o szkole średniej i o tym, jak zgubił w basenie kąpielówki i wpadł w rododendrony, Paul poprosił o rachunek.

—  
To naprawdę miłe z twojej strony — powiedział rozpromieniony ojciec. Odwrócił się do żony i zapytał: — Ilu rodziców ma takiego zamożnego syna, który może zaprosić swoich staruszków do restauracji na kolację?

Paul popatrzył na rachunek. Opiewał na 378 dolarów i 69 centów, napiwek według uznania.

Nagle przestał słyszeć muzykę.

No i jak? — spytał ojciec. — Założę się, że jest wysoki jak długi Gabonu.

Coś w tym stylu — odparł Paul i sięgnął do kieszeni marynarki. Miał wrażenie, że właśnie odmroził sobie palce. Wyjął portfel i otworzył go — matka uważnie to obserwowała, ojciec rozmawiał z kelnerką.

Rozumie pani, w Gabonie szanuje się Amerykanów. Ufają im. Nie zdziwiłbym się, gdyby mój syn został wkrótce właścicielem wielkiego przedsiębiorstwa górniczego.

Cholera... — mruknął Paul.

Co jest?

Wszystkie pieniądze, które wymieniłem... zostały w walizce.

Przecież możesz użyć karty.

Nie mogę. Jest ważna tylko w Afryce.

To przecież karta American Express. Jest ważna wszędzie.

Ta nie. Mam specjalną umowę — rozliczają mnie we frankach CFA, dzięki czemu oszczędzam dwanaście i pół procent opłat kosztów manipulacyjnych.

Ojciec skrzywił się.

Nie masz Visy albo MasterCard?

Też zostawiłem je w walizce. Mama ma rację... jeszcze nie otrząsnąłem się po locie.

Wygląda na to, że będziemy musieli zmywać talerze — mruknął ojciec.

Przyjdę jutro rano, kiedy tylko otworzycie, i zapłacę — powiedział Paul do kelnerki. — Może tak być? Jeśli pani chce, zostawię w zastaw zegarek.

Nie ma problemu — odparła z uśmiechem. — Chyba możemy panu zaufać. Jak to się mówi w filmach gangsterskich: „Wiemy, gdzie mieszkasz...”.

Wszyscy się roześmieli i Paul schował portfel do kieszeni.

—

Dziękuję — powiedział. Jasna cholera, skąd mam wytrzasnąć do rana ponad czterysta dolarów? — pomyślał spanikowany. Może będzie mógł zastawić zegarek — był to Baume & Mercier za dziewięćset dolarów, który dostał w prezencie od dyrektora handlowego francuskiej firmy miedziowej. Rolex za dziesięć tysięcy dolarów już dawno temu poszedł na honoraria adwokackie. Mógł mieć tylko nadzieję, że zakład jubilerski Robarda w dalszym ciągu działa.

Kiedy wychodzili, matka ujęła go pod ramię. Wieczór był suchy, ale zimny.

—

Zima wcześniej przyjdzie w tym roku — stwierdziła. Ojciec szedł przed nimi, zataczając się i rycząc kawałki z Buddy, Can You Spare a Dime? Właśnie doszedł do słów: „Kiedyś byłem wielki gość... ale teraz jestem golcem...”.

W Libreville nie ma zim — powiedział Paul.

Wszystko w porządku, synku?

Co masz na myśli? Wszystko jest super.

—

Nie wiem... wyglądasz... nie wiem, jak to określić. Na... udręczonego.

—

Na udręczonego? — Paul roześmiał się.

—

Naprawdę wszystko jest w porządku? Interesy idą dobrze? Nie jesteś chory?

Kilka miesięcy temu przeszedłem gorączkę tropikalną.

Powiedziałbyś mi, gdyby coś było nie tak? Pocałował matkę i kiwnął głową, po czym ruszył szybszym

krokiem, żeby dogonić ojca.

—

Tato! Tato! Nie ma mowy, żebyś prowadził!

W nocy leżał w łóżku i słuchał szelestu liści na podwórzu. Czuł straszliwe zmęczenie, nie był jednak w stanie zamknąć oczu. Ścianę przecinało białe jak kość światło księżyca.

Musi powiedzieć rodzicom, że został bankrutem. Musi im powiedzieć, że już nigdy nie wróci do Gabonu, że nie może tam wrócić. Ojciec się załamie, ale jak długo jeszcze mógł udawać?

Miał jednak wrażenie, że jeśli powie rodzicom prawdę, sprowadzi siebie do poziomu beznadziejnego alkoholika, wreszcie przyznającego, że nie ma dość siły woli, by samemu poradzić sobie ze swoim problemem.

Szacunek rodziców był jedyną rzeczą, jaka mu jeszcze pozostała.

Zegarek przy łóżku wskazywał 3.57, ale po chwili kliknął i cyferki przeskoczyły na 3.58. W tym momencie Paul usłyszał cichy szelest — jakby ktoś przesypywał ryż.

Uniósł głowę. Może to wiatr potrząsnął liśćmi? Kiedy jednak znów położył głowę na poduszce,

znów usłyszał ten dźwięk — tym razem znacznie wyraźniejszy. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK! Po chwili ponownie rozległo się SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK!

Wstał z łóżka i podszedł do komody. Między futbolowymi trofeami leżał szamański kompas.

Drżał leciutko i znajdujące się w środku pestki chrobotwały — SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK!

Paul podniósł ostrożnie tykwę. Wibrowała cała i podrygiwała, jakby była żywą istotą. Paul

skierował ją na okno i szamański kompas znieruchomiał, chrobot ucichł. Potem skierował

kompas na szafę i tykwa zadrgała delikatnie. Kiedy jednak skierował ją na drzwi, drgnęła tak

mocno, że o mało nie wypadła mu z ręki.

Kieruje mną, pomyślał Paul. Kieruje mnie do tego, co chcę mieć.

Ponownie sprawdził kompas, wyciągając go w kierunku okna, szafy i drzwi. Gdy jego ręka

była skierowana ku drzwiom, kompas zachowywał się jak oszalały.

Może pokazuje mi, gdzie mogę znaleźć pieniądze, bo tego przede wszystkim teraz potrzebuję...

— pomyślał.

Pospiesznie włożył koszulę, spodnie i buty, po czym uchylił drzwi i wyszedł na ciemny

korytarz. Ojciec chrapał i posapywał jak wyrzucony na brzeg wieloryb, a zegar na ścianie tykał

głośno. Paul skierował szamański kompas na północ, południe, wschód i zachód. Najbardziej

dygotał, gdy był skierowany ku frontowym drzwiom. Najwyraźniej chciał wyprowadzić go z

domu.

Paul szedł po wypolerowanej, dębowej podłodze najciszej, jak umiał. Z haczyka przy drzwiach

zdzął ortalionową wiatrówkę ojca, odczepił łańcuch, odsunął zasuwę i wyszedł w zimną,

wietrzną noc.

Szamański kompas poprowadził go wąską, wijącą się dróżką, prowadzącą do głównej drogi

między New Milford i New Preston. Choć dochodziła dopiero czwarta, niebo było dziwnie

jasne, jakby za drzewami wylądowało UFO. Kroki Paula chrzęściły na liściach, a wiatrówka ojca głośno szeleściła. Pachniała dymem z fajki, w kieszeni była też zapalniczka.

Szamański kompas grzechotał coraz głośniej.

Kiedy Paul doszedł do ostrego zakrętu, za którym była droga międzymiastowa, usłyszał nadjeżdżający samochód. Był jeszcze dość daleko, ale szybko się zbliżał. Szamański kompas zagrzechotał i o mało nie wyskoczył Paulowi z ręki. Paul zaczął biec w dół stromo opadającej drogi i po chwili dostrzegł światła reflektorów pędzącego od strony New Milford samochodu. Wyglądało na to, że jedzie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Paul jeszcze nie dobiegł do międzymiastowej, kiedy rozległo się głośne tąpnięcie, pisk opon, a potem okropny zgrzyt pękającego szkła i plastiku i rozdieranego metalu. Potem zapadła cisza, co było jeszcze gorsze.

Paul wybiegł zza zakrętu i natychmiast zobaczył martwego jelenia, leżącego na poboczu z powykręcanyimi pod dziwnymi kątami nogami, jakby zwierzę próbowało jakichś baletowych ewolucji. Sto metrów dalej stał na dachu poobijany chevrolet. Na błyszczącym asfalcie migotały kawałki porozbijanego szkła.

Jezu... — wymamrotał Paul i biegiem ruszył w kierunku rozbitego samochodu. Kiedy się do niego zbliżył, stwierdził, że kierowca jest w kabinie, zawieszony do góry nogami na pasach. Oklapnięta poduszka powietrzna, która prawdopodobnie uratowała mu życie, zwisała obok jego głowy. Mężczyzna głośno jęczał i próbował się oswobodzić. — Niech pan poczeka! — zawołał Paul. Kiedy podchodził do samochodu, zobaczył, że idzie przez rozlewającą się szybko kałużę benzyny.

Wyciągnij mnie stąd... — błagał kierowca. Mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat i był dość gruby. — Mam chyba zmiążdżone nogi.

Proszę jeszcze chwilę wytrzymać — powiedział Paul. Kiedy chciał schować szamański

kompas do kieszeni, usłyszał głośne SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK! — które zabrzmiało jak syk  
zmii. Spojrzał na asfalt i tuż pod swoimi nogami zobaczył portfel. Widać było, że jest  
wypchany pieniędzmi.



Proszę... wyciągnij mnie stąd... — jęczał mężczyzna, uwięziony w chevrolecie. — Boże... jak to boli...

Paul odwrócił wzrok od portfela, chwycił klamkę drzwi samochodu i pociągnął, ale drzwi były zablokowane. Obszedł samochód dookoła i spróbował otworzyć drzwi od strony siedzenia pasażera, jednak i one nie chciały puścić.

Wrócił na stronę kierowcy i wsunął rękę do środka przez wybite okno. Udało mu się znaleźć sprzączkę pasa bezpieczeństwa, ale impet uderzenia przesunął ją i wydatny brzuch kierowcy uniemożliwił jej otworzenie.

—  
Proszę... umieram... proszę.

—  
Przecież próbuję — powiedział Paul. — Chyba jednak sam pana stąd nie wyciągnę.

Muszę zadzwonić po pomoc.

Niech pan się pospieszy... Paul ujął mężczyznę za rękę.

Proszę jeszcze trochę wytrzymać. Zrobię, co się da. Szamański kompas w jego kieszeni znów zachrobotał:

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK!

Paul powoli odszedł od wraka. Spojrzał w dół i ponownie zobaczył portfel. Widział pięćdziesiątki i dwudziestki, którymi był wypchany. Było w nim znacznie więcej pieniędzy, niż potrzebował na zapłacenie rachunku w restauracji. Znacznie więcej, niż potrzebował na nowy płaszcz, nowe dzinsy i przeżycie kilku dni. Jeszcze przez chwilę się wahał. Odwrócił się do mężczyzny w samochodzie, który patrzył na niego błagalnie. Przyszła mu do głowy tak straszliwa myśl, że ledwie mógł uwierzyć w to, że mógł coś takiego pomyśleć — a kompas w

jego kieszeni zatrząsł się i zagrzechotał, jakby nagle ożył.

Schylił się i podniósł portfel. Mężczyzna w samochodzie patrzył na niego, nie bardzo rozumiejąc, co widzi. Paul wyjął z portfela wszystko poza jednym pięćdziesięciodolarowym banknotem. Nie chciał, by pomyślano, że mężczyzna został obrabowany. Potem rzucił portfel na jezdnię.

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK!

—  
Co robisz? — spytał kierowca chevroleta. — Weź te zasrane pieniądze! Nic dla mnie nie znaczą. Zadzwoń tylko po pomoc i niech mnie stąd wyciągną!

Paul wiedział jednak, że kiedy mężczyzna zostanie uwolniony, wszystko się zmieni. „Byłem uwięziony w samochodzie, umierałem, a on ukradł mi moje pieniądze!” — powie.

Cofnął się kilka kroków.

—  
Nie! — zawył kierowca chevroleta. — Nie zostawiaj mnie! Nie!

Paul stanął i spuścił głowę. W kieszeni czuł szamański kompas, ciepły i drżący. Prowadził go z powrotem do domu rodziców. Zostaw go — przekonywał Paul sam siebie — co ten facet dla ciebie znaczy? Za szybko jechał. Wszyscy wiedzą, że po drodze chodzą jelenie. A gdybyś się nie obudził? Gdyby kompas cię tu nie przyprowadził, ten głupek i tak by umarł.

—  
Nie zostawiaj mnie!! Umieram, na Boga! Nie zostawiaj mnie!

Paul w jednej kieszeni czuł szamański kompas, w drugiej zapalniczkę ojca. Odwrócił się.

Jonquil powiedziała mu: są dwie ceny. Czternaście franków i wybór moralny — za każdym razem, kiedy szamański kompas znajdzie ci to, czego pragniesz.

Kierowca chevroleta ucichł, kiedy zobaczył, że Paul zapalił zapalniczkę. Poranna bryza

przyginała płomień. Ogień odbijał się w benzynie, spływającej w poprzek jezdni do rowu.

Paul przyklęknął i zapalił ją.

Ogień natychmiast pomknął w kierunku samochodu. Mężczyzna w chevrolecie zaczął się wić w ostatniej próbie oswobodzenia się.

—

Mogłeś wziąć pieniądze! — wrzasnął. — Dałbym ci te pieprzone pieniądze!

Samochód eksplodował i zaczął się gwałtownie palić. Paul cofnął się — z przodu czuł gorąco, z tyłu wiejący w plecy zimny wiatr. Ranny mężczyzna jeszcze przez chwilę rzucał się na boki, a potem — gdy ogień spalił mu ścięgna — zwinął się i zgiął wpół. Jeszcze przez spory kawałek

drogi z powrotem Paul widział przez drzewa płomienie.

Kiedy wrócił do domu, usiadł na łóżku i przeliczył pieniądze. 655 dolarów, pachnących benzyną. Szamański kompas leżał cicho na komodzie.

Następnego dnia Paul pojechał do New Milford zapłacić rachunek.

— Cieszę się, że nie próbował pan uciec z kraju — powiedział właściciel restauracji z uśmiechem, licząc pieniądze. — Musiałbym wysłać za panem mojego starego psa.

Pies leżał w kącie — wiekowy basset, chrapiący niemal tak głośno jak ojciec Paula.

Do domu Paul wracał inną drogą — prowadzącą przez Gaylordsville, a potem wijącą się lasem aż do South Kent. Nie chciał oglądać scenerii wczorajszego wypadku samochodowego. Kiedy rano tamtędy przejeżdżał, pogięty i poczerwiał chevrolet stał jeszcze na dachu na skraju jezdni, otoczony wozami straży pożarnej i radiowozami z włączonymi kogutami na dachach.

Był kolejny chłodny dzień. Drzewa wokół płonęły żółcią, karmazynem i jaskrawym szkarłatem. Paul od czasu do czasu spoglądał we wsteczne lusterko, by sprawdzić, czy w jego oczach nie widać poczucia winy — albo jakiegokolwiek innej emocji. Ale czuł tylko satysfakcję. Zniknął wreszcie kłujący, dojmujący strach.

Gdy dotarł do skrzyżowania z drogą prowadzącą do New Preston, zwolnił. Kilkaset metrów dalej, osłonięty drzewami, stał pomalowany na żółto dom ciotki Katie Sayward, gdzie Katie zamieszkała po rozpadzie swojego małżeństwa. Ileż razy przejeżdżał tędy jako nastolatek, w nadziei, że ją zobaczy... Może powinien złożyć jej wizytę? Ale co jej powie? „Kiedy chodziliśmy do szkoły, uważałaś mnie za idiotę...”. „Przykro mi z powodu twojego małżeństwa...” czy coś w tym stylu?

Przejeżdżał powoli obok domu, miał na liczniku nie więcej niż dwadzieścia kilometrów na godzinę i pochylał się, zaglądając pod gałęzie drzew. Nikogo nie było widać. Kiedy wcisnął

pedał gazu, zamierzając odjechać, usłyszał nagle wyraźne SZSZIK! SZSZIK! SZSZIK!

Zwolnił. Szamański kompas, który leżał w schowku, przez chwilę grzechotał głośno, ale z każdym metrem, który oddalał Paula od domu Katie, grzechot słabł. Na najbliższym zakręcie ucichł całkowicie.

Paul zjechał na pobocze. Szamański kompas milczał. Próbuje mi powiedzieć coś mającego związek z Katie, pomyślał Paul. Chce zaprowadzić mnie do jej domu.

Zawrócił i zaczął powoli zbliżać się do żółtego domu. Szamański kompas w schowku znów zaczął grzechotać jak gaboński bęben. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Małżeństwo Katie się rozpadło. Może kompas chce mi powiedzieć, że ktoś jest jej potrzebny. Może próbuje mi powiedzieć, że Katie mnie potrzebuje.

Minał ostrożnie bramę i podjechał do domu. Nikt nie wyszedł na powitanie, dom wyglądał jak opuszczony. Nie było widać żadnego samochodu, z kominów nie leciał dym. Wysiadł, wszedł na werandę i zapukał do drzwi. Nie było żadnej reakcji, więc zapukał ponownie. Nie lubił kołatki z brązu, która wisiała na drzwiach — przedstawiała ślepego starca. Przez chwilę czekał, pogwizdując przez zęby.

Ale w domu nie było nikogo. Szamański kompas musiał się pomylić. Paul wrócił do samochodu i otworzył drzwi. Grzechot kompasu w schowku był niemal histeryczny, tykwa skakała w środku, jakby chciała wydostać się na zewnątrz.

Paul wyjął kompas ze schowka, ruszył z nim w kierunku domu i ponownie zapukał — tak głośno, że słyhać było odbijające się w holu echo. W dalszym ciągu nie było żadnej reakcji. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK!

Skierował kompas na drzwi wejściowe i grzechotanie zamilkło. Powoli powiódł dłonią w lewo i w prawo — kompas najgłośniej grzechotał, kiedy był skierowany na bok domu.

—

W porządku, sprawdźmy, co tam jest — mruknął Paul. Obszedł dom, minął rozrośniętą

glicynie i doszedł do drzwi

do kuchni. Zapukał w szybkę na wypadek, gdyby jednak ktoś był w środku, po czym nacisnął

klamkę. Drzwi nie były zamknięte, więc je otworzył i wszedł.

Halo! Jest tu kto?! SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Nie masz co grzechotać. Nikogo tu nie ma. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Szamański kompas zaprowadził go do holu i schodów prowadzących na piętro. U ich szczytu było okno z szybą w kolorze bursztynu i wewnątrz domu wyglądało jak stara sepiowa fotografia.

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

— Na górę? Jak chcesz. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz — mruknął Paul.

Wszedł na schody i szamański kompas zaprowadził go do ostatnich drzwi. Paul zapukał, ale nie było odpowiedzi, więc ostrożnie je otworzył. Kompas dygotał tak mocno, że Paul musiał go trzymać z całej siły, by mu nie wypadł z ręki.

Znalazł się w dużej sypialni ze staromodnym dębowym łóżem i ogromną komodą z orzecha.

Okna były zasłonięte grubymi firankami, więc panował w niej półmrok. Łóżko przykryto patchworkową narzutą, na której leżała Katie Say-ward. Była naga.

Szamański kompas ucichł. Paul wziął głęboki wdech i wstrzymał powietrze — nie wiedział, czy powinien natychmiast wyjść, czy zostać. Katie była oczywiście starsza i miała krótko obcięte włosy, była jednak tak piękna, jak pamiętał. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami i rękami rozrzuconymi na boki, jakby unosiła się — niczym Ofelia — na wodzie. Miała pełne piersi, płaski brzuch i długie nogi. Mój ideał kobiety, pomyślał Paul. Kobieta, jakiej zawsze pragnąłem.

Zrobił dwa kroki w kierunku łóżka. Deski pod jego stopami skrzypnęły, więc się zatrzymał, ale Katie nawet nie drgnęła. Zobaczył ciemny trójkąt między jej udami i zamarł.

Po chwili zrobił jeszcze jeden krok. Bardzo chciał dotknąć Katie, wiedział jednak, co się stanie, jeżeli spróbuje to zrobić — wyśmiej go tak samo jak wtedy, gdy ją zapytał, czy ma ochotę iść

z nim na hamburgera. Nie tylko naje się wstydu, ale jeszcze narobi sobie kłopotów z policją.

Nagle zauważył stojącą na nocnej szafce buteleczkę po temazipanie, leżącą na łóżku butelkę po wódce i list w prawej dłoni Katie.

Podszedł jeszcze krok bliżej, potem jeszcze jeden. Stanął przy łóżku.

— Katie... Katie, słyszysz mnie? To ja, Paul. Ale ona nawet nie drgnęła. Paul delikatnie klepnął ją w policzek. Oddychała, była ciepła, choć śmiertelnie blada. Uniósł kciukiem jej powiekę.

Błękitne oko wpatrywało się w niego nic nie widząc, źrenica była bardzo szeroka. Uniósł jej prawą rękę, by przeczytać list. Droga ciociu Jessie! Wiem, że to bardzo egoistyczne i okropne, ale życie bez Jamesa to nie życie...

Zbadał puls Katie. Był nitkowaty, jednak serce ciągle jeszcze biło. Gdyby wezwał teraz lekarza, mógłby ją jeszcze uratować. Byłaby mu wdzięczna do końca życia... i może nawet kiedyś...

Przesunął niechętny przedramieniem po jej nagiej piersi. Może byłaby szansa, że on i Katie w przyszłości się zejdą, jeżeli jednak miałby ją teraz, byłby to pewniak — pomyślał. Może będzie to pierwszy i ostatni raz, ale raz to zawsze lepiej niż nic.

Wstał i rozebrał się powoli, przez cały czas patrząc na Katie. Nigdy nie śmiał nawet marzyć, że mogłoby mu się coś takiego przydarzyć, a teraz okazywało się to realne: może zrobić z nią wszystko, a ona nie będzie się opierać.

Wszedł na łóżko. Był chudy i żyłasty i miał bardzo jasną skórę — z wyjątkiem twarzy, przedramion i kolan, które mocno zbrązowiły od równikowego słońca. Pocałował Katie w usta, w oczy, w policzki i szepnął jej do ucha, że ją kocha i jest najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał w życiu. Ścisnął jej piersi i possał sutki, a potem przeciągnął językiem w dół jej brzucha i zagłębił głowę między jej uda.

Pozostał w sypialni ponad godzinę, używając jej ciała na wszystkie sposoby, jakie



podpowiedziała mu fantazja. Nie potrafił uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę —  
gdyby mógł, sprawiłby, by trwało bez końca. Potem odwrócił ją na brzuch, wbijając jej twarz  
głęboko w poduszkę i wepchnął się w nią z całej siły. W tym momencie jej ciało przebiegł

dreszcz, który wstrząsnął nim całym — od czubka głowy po pięty.

Przysunął ucho do jej ust.

—  
Katie? Powiedz coś, Katie! Złap przynajmniej powietrze... niech usłyszę, że oddychasz!

Ale ona nie wydawała z siebie najmniejszego dźwięku, a jej ciało było zupełnie bezwładne.

Wysunął się z niej, wstał i grzbietem dłoni otarł pot z czoła.

Ubrał się i z powrotem ułożył Katie tak, jak ją znalazł. Czuł się odrętwiały. Wytarł jej krocze chusteczkami, otarł jej też twarz. Troszkę ją posiniaczył — na pośladkach i piersiach zostawił ślady palców, na szyi zrobił „malinkę”. Kto jednak pomyśli, że to on? Przecież wszyscy wiedzieli, że ledwo się znali.

Wyszedł kuchennymi drzwiami, pamiętając, by wytrzeć kławkę koszulą. Wrócił do domu tą samą drogą, którą przyjechał — przez Gaylordsville, przecinając Housatonic przy Fort Hill, więc mógł zaprzeczyć, że wracał do rodziców przez South Kent Road. Po drodze zatrąbił i pomachał pośrednikowi handlu nieruchomościami, Chariiemu Sheagusowi.

No i co, jak się czujesz? — spytał swoje oczy, które widział we wstecznym lusterku.

Usatysfakcjonowany — odpowiedziały oczy. Może nie w pełni, ale napięcie opadło.

Kiedy wrócił, ojciec czekał na niego w salonie. Ubrany był w koszulę w czerwoną kratę i za duże dżinsy i miał bardzo poważną minę. Matka siedziała w kącie, w cieniu, ręce trzymała złożone na kolanach.

Gdzie byłeś? — spytał ojciec.

U Randolpha, zapłaciłem rachunek.

Szkoda, że nie zapłaciłeś od razu wszystkich innych rachunków.

Słucham? O czym ty mówisz?

Mówię o Budget Rental Cars, skąd dzwoniło z informacją, że twoja karta nie ma pokrycia.

Mówię też o hotelu Marriott, gdzie wystawiłeś czek bez pokrycia na dwieście dolarów. A kiedy zadzwoniłem do Dennison Minerals w Gabonie, dowiedziałem się, że twój telefon jest odłączony. Paul usiadł w staromodnym drewnianym fotelu.

Miałem trochę problemów z płynnością finansową...

Dlaczego nic nie powiedziałeś?

—

Ponieważ nie chciałeś tego słyszeć. Chciałeś słyszeć wyłącznie o sukcesach.

Ojciec dźgnął w jego kierunku palcem.

Za kogo mnie masz? Jesteś moim synem. Jeżeli odnosisz sukcesy, triumfuję, jeżeli ponosisz porażki — martwię się i współczuję. Jestem twoim ojcem, na Boga!

Współczujesz? Te gabońskie dranie zabrały mi firmę, dom, wszystko. Nie chcę współczucia, chcę zemsty.

Ojciec podszedł do Paula, położył dłonie na jego ramionach i spojrzał mu głęboko w oczy.

—

Nie myśl o zemście. Zawsze możesz zacząć od nowa.

Tak jak ty, kiedy straciłeś pracę w Linke Obermeyer? Z maleńkim domem, jedną milionową akra działki i grządką fasoli? W Libreville miałem wspaniałą posiadłość! Siedem sypialni, cztery łazienki, basen, okrągły hol, w którym można byłoby jeździć na łyżwach...

No to co? Na tym polega życie. Raz się wygrywa, raz się przegrywa. Dlaczego kłamałeś?

Z twojego powodu.

Z mojego powodu? O czym ty gadasz?

—

Ponieważ zawsze oczekiwałeś, że będę lepszy od ciebie. Od kiedy zacząłem cokolwiek

rozumieć, nigdy nic innego od ciebie nie słyszałem. „Uda ci się. Któregoś dnia będziesz bogaty i kupisz mnie i matce dom. Ze stawem i łabędziami”. Jezus, Maria! Miałem dziewięć lat, a ty chciałeś, żebym kupił ci pieprzone łabędzie!

Ojciec na chwilę zamknął oczy, próbując uzbroić się w cierpliwość. Matka nie odzywała się,

siedziała w cieniu, widać było jedynie kontury jej sylwetki i odbicie światła od oprawki okularów. Z oddali dolatywał cichy pomruk grzmotu, przypominający burczenie w brzuchu. Nad Litchfield Hills co chwila przemykały po niebie błyskawice. Ojciec otworzył oczy.

---

Wracasz do Afryki?

---

Nie mam do czego. W Gabonie jestem winien adwokatom siedem tysięcy franków.

Więc co będziesz robić?

Nie wiem. W tej chwili nie mam na nic ochoty.

Będziesz musiał znaleźć sobie pracę, nawet jeśli ma to być kelnerowanie. Nie możemy cię z matką utrzymywać.

Rozumiem. To wszystko za pieprzoną kolację, która kosztowała czterysta dolarów? Ilu rodziców ma syna, który zaprasza swoich staruszków do takiej restauracji? Nawet nie zaproponowałeś, że zapłacisz choć część rachunku.

Przykro mi. Gdybym wiedział, że jesteś bez grosza, nie zaproponowałbym wyprawy do Randolpha. Mogliśmy zjeść w domu. Poza tym nie używaj takiego języka... nie w tym domu.

Przepraszam bardzo... najpierw nie chcesz mi pomóc, a teraz odbierasz mi prawa, gwarantowane przez Pierwszą Poprawkę...

Pierwsza Poprawka nie daje ci prawa używać wulgaryzmów w obecności matki.

Paul zamierzał coś powiedzieć, wziął jednak tylko głęboki wdech i ugryzł się w język. Jeszcze nigdy w życiu nie był taki wściekły, ale jaki sens miałby krzyk? Ojciec na pewno nie zmieni zdania. Z samowystarczalności uczynił niemal religię — nawet kiedy Paul był chłopcem, nigdy nie dostawał kieszonkowego. Na każdego centa, którego dostał, musiał zapracować

zmywaniem, grabieniem liści albo malowaniem płotów. Ojciec wolałby spalić pieniądze, niż dać je synowi ot tak po prostu, za darmo.

—  
Rozumiem — mruknął Paul.

Obszedł ojca i poszedł do swojego pokoju. Położył walizkę na łóżku i zaczął się pakować. W drzwiach stanęła matka.

—  
Paul... nie złość się. Nie musisz się wyprowadzać.

Ale to zrobię. Mogę przypadkiem wciągnąć w płuca nieco powietrza taty albo spuścić w toalecie trochę jego wody.

Synku, on nie miał na myśli tego, że nie możesz z nami zostać, jedynie to, że musisz stanąć na nogi.

Nic nie rozumiesz. Nie chcę stawać na nogi. Przez jedenaście lat urabiałem się po łokcie i zobacz, czym to się skończyło. Jeden tropikalny garnitur, dwie koszule i samochód z wypożyczalni, za który nawet nie mogę zapłacić. Chcę się jedynie położyć i nic nie robić. Nic więcej.

—  
Nie chciałbyś się zobaczyć z doktorem Williamsem? Paul przecisnął się obok matki.

Nie chcę się widzieć z nikim. Nie jestem chory, jestem tylko wykończony. Czy to przestępstwo?

Posłuchaj... — zaczął ojciec, kiedy Paul przechodził obok niego. — Przecież możemy o tym porozmawiać. Jestem pewien, że uda nam się coś wymyślić.

Na pewno. Mógłbym oczyścić ci kanalizację i naprawić dach i zapłaciłbyś mi za to hamburgerami. Daj sobie spokój. Wolę tłuc kamienie — odparł Paul i wyszedł z domu.

Wsiadł do samochodu i wyjechał z podjazdu, piszcząc oponami. Ojciec patrzył za nim ze smutną miną.

O dziewiątej wieczorem nad hrabstwem Litchfield lało jak z cebra, a wzgórza stały się polem bitwy, na którym ścierały się grzmoty i błyskawice.

Paul pojechał do New Milford, gdzie wydał ostatnie 138 dolarów w „Old Colonial Inn” na stek,

frytki i butelkę wina. Nie zostało mu dość pieniędzy, by wynająć pokój. Wszystko wskazywało na to, że czeka go spędzenie nocy w zaparkowanym na poboczu samochodzie.

Kiedy wyszedł z restauracji, podniósł kołnierz, jednak zanim doszedł do samochodu, cały był przemoczony. Starł wodę z twarzy i popatrzył na siebie we wstecznym lusterku. Gdyby miał jakieś miejsce do spania... ciepłe łóżko i dość pieniędzy

na pół roku, może siedem miesięcy, by móc nic nie robić, jedynie wylegiwać się w fotelu, pić piwo i o niczym nie myśleć...

Uruchomił silnik i wycieraczki zaczęły omiatać szybę. Nagle usłyszał cichutki grzechot.

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Poczuł mrowienie na karku. Szamański kompas znowu mówił mu, że może dostać to, czego chce. Łóżko i pieniądze. Ale jaką tym razem będzie musiał podjąć moralną decyzję?

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK, zagrzechotał kompas i Paul wyjął go z kieszeni.

Przez sekundę miał ochotę wyrzucić go za okno, był jednak taki gładki i przyjemny w dotyku... i dawał pewność, że zaprowadzi tam, gdzie można się wyspać i przez chwilę nie martwić się o nic.

Wyjechał na drogę, prowadzącą do New Preston. Skręcił kierownicę w prawo — kompas milczał. Skręcił kierownicę w lewo i kompas się odezwał. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Paula na chwilę oślepiła błyskawica, ruszył jednak przez deszcz — pochylony do przodu, by lepiej widzieć drogę. Jechał na północ.

Po

dwudziestu

minutach

ciszy



szamański

kompas

ponownie

zadrżał.

SZSZEK-SZSZEK-SZSZEK. Paul dojechał właśnie do skrzyżowania, na którym chevrolet wpadł na jelenia — zaczynała się tu kręta droga przez las, prowadząca do domu rodziców.

— O, nie... — jęknął, ale szamański kompas zagrzechotał gwałtownie, każąc mu jechać na wzgórze. Kolejna rozszczepiona błyskawica uderzyła z trzaskiem w ziemię, trafiając w stojący sto metrów dalej wielki dąb. Drzewo pękło na całej długości i zaczęło płonąć. Nad samochodem zadudnił grzmot, jakby niebo pękło na pół.

Paul wyjechał zza zakrętu. Szamański kompas dziko podskakiwał i było jasne, dokąd prowadzi. Dach domu rodziców odcinał się wyraźnie na tle drzew. Nagle z nieba spadła kolejna błyskawica i uderzyła prosto w komin. Kawałki cegieł roz-

204

prysnęły się we wszystkie strony, a płonące deski pomknęły wirując w noc.

Zaraz potem dało się słyszeć głębokie, basowe westchnienie — powietrze zapełniło próżnię, którą wytworzyła błyskawica. Po chwili huknął grzmot.

Paul zatrzymał się przed domem. Łomot deszczu w dach samochodu przypominał tarabaniecie

bębnow juju w Marche Rouge. Kiedy Paul wysiadł, natychmiast przemókł do suchej nitki.

Wszedł po schodach prowadzących do frontowych drzwi. Woda kapiała mu z nosa i brody.

Pchnął drzwi i ze środka wypłynął swąd spalonych przewodów elektrycznych i dym.

— O Boże... — jęknął.

Wszedł do kuchni, poczernionej koszmarnymi nadpaleniami, wyglądającymi jak tańczące demony. Wszystkie metalowe garnki, patelnie i tarki zostały pospawane ze sobą, tworząc

niezwykłą rzeźbę — jakby średniowiecznego księcia, który spadł ze swojego rumaka.

Na środku kuchennej podłogi leżeli ojciec i matka. Piorun zerwał z nich ubrania, ich nagie ciała były częściowo zwęglone, a z ust wydobywał się dym.

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK — zagrzechotał szamański kompas.

A więc to w ten sposób będę miał ciepłe łóżko na noc, pomyślał Paul. Ojciec zawsze mu mówił, że odziedziczy dom oraz wszystkie jego oszczędności i będzie jedynym beneficjentem wspólnej polisy ubezpieczeniowej rodziców. Koniec problemów. Koniec kłopotów z pieniędzmi. Teraz będzie mógł odpocząć...

Powoli opadł na kolana i wziął matkę za rękę. Skóra na jej dłoni była krucha, piorun spalił jej wszystkie paznokcie. Przycisnął dłoń matki do czoła i zaczął płakać.

— Tato... mamó... nie chciałem tego — wymamrotał przez łzy. — Przysięgam na Boga, że nie chciałem. Oddałbym prawą rękę za to, żeby to się nie stało. Wszystko bym oddał.

Płakał tak rozpaczliwie, że rozboleły go żebra. Burza na zewnątrz grzmiała i grzmiała, ale w końcu odeszła.

205

Zapadła cisza, jedynym odgłosem był plusk deszczu. Szamański kompas zagrzechotał  
SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Paul uniósł głowę. Tykwa leżała na podłodze obok niego, grzechotała cicho i kręciła się wokół własnej osi.

— Co mi teraz proponujesz, draniu? SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

— Nie musiało się to zdarzyć? Tata i mama nie musieli umrzeć?

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

— Co chcesz mi powiedzieć, gnoju? Że mogę cofnąć zegar? To chcesz powiedzieć?

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Puścił dłoń matki, która opadła bezwładnie na podłogę. Wziął do ręki szamański kompas i zaczął wodzić nim wokół siebie.

— No to pokaż, jak mogę cofnąć zegar. SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK.

Tykwa zaprowadziła go do kuchennych drzwi. Paul otworzył je i do środka wpadł deszcz.

Wiatr pchnął dłoń jego matki i popalone paznokcie zachrobotwały po plastikowej podłodze niczym uciekające karaluchy. Paul wyszedł na zewnątrz. Uniesionym przedramieniem zasłaniał twarz przed ulewą, a drugą ręką przyciskał szamański kompas do serca. Chciał czuć, dokąd tykwa zamierza go zaprowadzić. Tym razem chciał z góry wiedzieć, czego od niego chce.

Ale nie dowiedział się tego. Wychodząc z kuchni, poślizgnął się na mokrym kamieniu i ciężarem całego ciała poleciał do przodu, z prawą ręką uniesioną w górę. Upadł na nieosłonięte ostrze piły tarczowej ojca i zardzewiałe zęby wbiły się głęboko w mięśnie, przecinając ścięgna i tętnicę ramieniową ręki. Przez długą, straszliwą chwilę zwisał ze stołu piły, nie mając możliwości się podciągnąć. Deszcz smagał go po twarzy, a jego krew płynęła po patio szkarłatnym wachlarzem i wsiąkała w trawę.

206

Jonąuil czekała na niego na końcu Marche Rouge. Na stojącej przed nią, odwróconej do góry nogami skrzynce po owocach stała figurka kobiety z ustami zamkniętymi drutem, grzechotka z małpimi włosami i kilka słoików maści.

Paul szedł wzdłuż jasno oświetlonych straganów, aż doszedł do ciemnego końca bazaru. Stał przed Jonąuil i przez długą chwilę nic nie mówił.

— Twoje nogi przyprowadziły cię z powrotem.

— Zgadza się — odparł. — Przyprowadziły mnie nogi.

— Jak tata i mama? — spytała z szerokim uśmiechem, ukazując zażółcone nikotyną zęby.

— W porządku, dziękuję.

— Nie umarli? Śmierć to niedobra sprawa.

— Tak sądzisz? Nie jestem tego tak bardzo pewien.

— Przeżyjesz, zaczniesz od nowa. Wszyscy muszą żyć. Nie nauczyłeś się tego?

— Oczywiście, choć niewielu innych rzeczy poza tym. Sięgnął do kieszeni pomiętej marynarki i wyjął tykwę. Położył ją na skrzynce, obok hebanowej figurki kobiety.

— Nie zwracam zapłaconych pieniędzy — oświadczyła Jonąuil i zachichotała.

— Nie chcę ich.

— A co powiesz na nową rękę?

Paul popatrzył na pusty rękaw, przypięty do przodu marynarki. Pokręcił głową.

— Nie stać mnie. Nie przy twoich cenach.

Patrzyła, jak odchodzi przez równikową noc. Wzięła szamański kompas, przyłożyła go do ucha i lekko potrząsnęła.

SZSZIK-SZSZIK-SZSZIK — zagrzechotał cicho. Jonquil uśmiechnęła się i odłożyła go na skrzynkę, by czekał na następnego klienta.

